



**NIE-
UCHWYTNY**

**BARBARA
GORDON**



BARBARA GORDON

NIEUCHWYTNY

CZYTELNIK

BARBARA GORDON

Nieuchwytny

CZYTELNIK • WARSZAWA 1977

Okładkę projektował

MARIAN STACHURSKI

„Czytelnik”, Warszawa 1977.

Wydanie I.

Nakład 100 290

Ark wyd. 10,6; ark druk. 16

Papier druk satt 75 cm, kl. VII, 60 g

Oddano do składania 14 V 1976 r.

Podpisano do druku 25 XI 1976 r.

Druk ukończono w styczniu 1977 r.

Zakłady Graf „Dom Słowa Polskiego”

w Warszawie

Zam, wyd. 957; druk 3959 J-115.

Cena zł 30.—

Printed In Poland

Rozdział 1

—

Imię?

—

Eulalia.

—

Nazwisko?

–
Pstryk.

Zerknął na mnie spode łba, długopis w jego ręku zawisł nieruchomo nad blankietem protokołu. Na pocziwej, puciołowatej twarzy odmalowało się zgorzenie.

–
I czego ty się, Stasiu, wygłupiasz? – powiedziałam dość szorstko, bo byłam cholernie zdenerwowana. – To po to od dwu-nastu lat mieszkamy w jednym mieście, na jednej ulicy, w jednym bloku i na jednym piętrze, drzwi w drzwi, żebyś mnie pytał, jak się nazywam?

Co prawda, nigdy jeszcze z moim najbliższym sąsiadem nie zetknęłam się na jego terenie służbowym. Nie miałam więc pojęcia, że taki z niego formalista. Porucznik Stanisław Zdebniak przy swoim biurku w komendzie dzielnicowej usiłował dać mi do zrozumienia, że dobrosąsiedzka zażyła przyjaźń przyjaźnią, ale służ-

ba służbą. W domu może mi reperować popsute kontakty i ciekną-

ce krany, ja mogę całe wieczory spędzać w gronie jego licznej rodziny – lecz wszystko to razem nie powinno mieć żadnego wpływu na skrupulatne spełnianie przez niego służbowych obowiązków. Rozzłościł się:

–
Ale dowodu ci nigdy nie sprawdzałem. Przez dwanaście 5

lat. A może ty naprawdę nazywasz się Eulalia Pstryk? Protokół

milicyjny rzecz święta. Wszystko musi w nim grać. Dokładnie ma być podane, rozumiesz?

Westchnęłam z rezygnacją, podsunęłam mu pod nos zieloną książeczkę, wygrzebaną z torebki, i mruknęłam:

–
No to „podawaj”. Anna Jaroń, urodzona w Drohobyczu, siódmego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, zamieszkała w Świerniku, ulica Mickiewicza siedem, mieszkania numer dziesięć. Zawód: pielęgniarka, zatrudniona w rejonowym ośrodku zdrowia. Panna. Oczy brązowe, włosy ciemne, twarz owalna, znaków szczególnych brak. Wzrost sto siedemdziesiąt centymetrów.

Zamachał rozpaczliwie długopisem, żeby przerwać mój potok wymowy, i mruknął z dezaprobatą:

–
Te szczegóły to już zbędne. I tak wszyscy wiedzą, że w kinie za tobą siadać nie należy.

Kiedy indziej nie puściłabym mu płazem przytyku do mojego wysokiego wzrostu, ale teraz wcale nie miałam ochoty na przekomarzanie się. On zresztą też. Oboje zmarkotnieliśmy, kiedy, skończywszy zapisywanie personaliów, odezwał się tonem nieco oficjalnym:

– Powiedz dokładnie, jak znalazłaś zwłoki Brydowej.

Wstrząsnął mną dreszcz. Taki sam, jak niespełna godzinę te-mu, chociaż z racji mojego zawodu napatrzyłam się już w życiu na niejedno i uodporniałam się na rozmaite widoki. Wzrok mój mimo woli przylgnał do ciemnych prostokątów szyb. Można było przez nie dostrzec niewyraźne zarysy najbliższych domów i rozmazane, przyćmione światła ulicznych latarni. Była potężna mgła, jak zawsze w tych stronach w końcu października.

Za domami i światłami pograżał się w coraz gęściejszą ciemność odcinek pewnej drogi na przedmieściu, gdzie stała się ta 6

straszna rzecz. Pamięcią przebywam tę drogę jeszcze raz. Przeżyte przerażenie jest już za mną, należy do przeszłości, lecz tak bardzo jeszcze jestem jego pełna, iż zdaje mi się, że wszystko to dzieje się znów, teraz...

Oto przepycham mój motocykl przez dobrze mi znaną wyrwę w jezdni. Klnę na czym świat stoi zarząd dróg, dzielnicową radę narodową i epidemię grypy, która tego roku pokotem położyła do łóżek najmłodszych świernikowian. Dobry Bóg wie, o której skończę dziś domowe wizyty. Muszę porobić zastrzyki nie tylko moim malcom, ale także ich tatom i mamom w zastępstwie Janki.

Ta też rychło w czas wybrała się z grypą! Do diabła z tym wszystkim. I tak co najmniej za połowę godzin nadliczbowych nikt mi nie zapłaci, bo na pewno zapomnę je podać. Nie umiem upominać się o pieniądze – a i one jakoś o mnie się nie upominają. Mamona i ja chodzimy różnymi drogami.

Moja pocziwa WSK-a aż dygoce z wysiłku; w torbie, przy-mocowanej do siodełka, grzechocą moje strzykawki, ampułki, fiolki, aż mnie strach ogarnia, że zrobi się z tego kasza. Jeszcze parę metrów pod górę i droga zaczyna łagodnie opadać w dół. To dziwne: kawałek prawdziwego pustkowia w okolicy tak gęsto zamieszkaney. Mgła zaczyna się kłębić coraz gęściejsza, ale jeszcze nie tak nieprzenikniona, abym nie mogła zobaczyć ze szczytu pagórka panoramy, którą dość lubię za dnia. Nade mną ogromna kopuła nieba, obszerniejsza, zdawałoby się, w tym miejscu niż gdziekolwiek indziej. Podświetlają ją od spodu różowe, złociste albo błękitne pobłyski z terenu wielkich zakładów przemysłowych, którym Świernik zawdzięcza swoją prawie już wielkowiejską karierę. Leży teraz przede mną to nasze miasto, w dołku, jak w 7

niecce, zamknięte z jednej strony masywem lasów, z drugiej kompleksem zabudowań fabrycznych, ciągle jeszcze rozrastających się, z trzeciej zaś – pasmem wzgórz. Miasto roi się światłkami, dolatuje do mnie z daleka jego głuchy gwar, słyszę stłumiony zgrzyt tramwajowych kół na torach, biegnących tuż, niedaleko, za rachitycznym laskiem. Kiedy patrzy się na ten obraz w dzień, nieckę wypełnia niebieskawa mgiełka, zmacona odbłaskiem słoń-

ca, które jest tu nie złociste, lecz matowokremowe. Potężne, srebrzyste cylindry nowej elektrowni, gigantyczne, kuliste i walco-wate konstrukcje kombinatu wyglądają stąd jak dziecinne klocki.

Tam w dole nawet o tej porze nieprzerwanie kipi bujne, ludzkie życie, wre praca, trwa ruch. Tylko ja tutaj, na nędznie oświetlonej drodze, jestem sama – i czuję się okropnie samotna. Dookoła ani żywego ducha. Na lewo – zarośla, krzaki i chwasty, gęste, chociaż już ogołococone z liści, na prawo – łąka, na której latem tutejsza młodzież grywa w piłkę nożną i siatkówkę. Dopiero nieco dalej, w odległości około dwustu lub trzystu metrów, zaczynają się domki ciągnące się dwoma szeregami wzdłuż szosy. Małe domki z ogródkami, w jakich lubią mieszkać tutejsi ludzie, zwłaszcza na stare lata.

Moim najgorętszym pragnieniem jest dotrzeć do tych domków jak najszybciej. Instynkt osoby zupełnie w życiu samotnej każe mi nieustannie szukać ludzkiego tłumu. Najlepiej czuję się tam, gdzie dużo ludzi. Dlatego tak zżyłam się z rodziną Zdebniaków. Oprócz Staśka i Ireny, jego żony, rodzinka ta składa się jeszcze z czworga dzieci oraz babci i dziadka. Ale i tu, w tych małych domkach, mam wielu przyjaciół. Chcę być z nimi, a oni niecierpliwie czekają na mnie, na moją pomoc.

Naciskam gaz, jadę prędko, ale chyba nie robię więcej niż 8

osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Nagle czuję, że z moim motorem zaczyna się dziać coś niedobrego. Oczywiście, znów zalało świecę. Do licha, trzeba zsiąść i przetrzeć to paskudztwo.

Dobrze chociaż, że stało się to niedaleko jednej z tak nielicznych tu latarni. Czynię moją powinność i już mam zamiar ruszyć w dalszą drogę, kiedy mój wzrok przykuwa coś bardzo białego na samym środku drogi. Dzieli mnie od tej białej plamy kilka me-trów. Podprowadzam motor i pochylam się. Miałabym ochotę wybuchnąć śmiechem, bo widok jest zaiste groteskowy. Przypomina obrazy Salvadora Dali, których reprodukcje widziałam kiedyś w „Przekroju”. Pamiętam jedno z jego dzieł: wielka pustynia i na jej tle leży ogromny, staroświecki niklowany zegarek z dewizką. Otóż mnie właśnie przytrafia się coś podobnego. Październi-kowy wieczór, ciemna pusta szosa, a na samym jej środku – rozbity słoik ze śmietaną. A raczej już bez śmietany, bo biała, gęsta ciecz rozlała się szeroką kałużą po jezdni. Było jej chyba z litr. Już mi się nie chce śmiać. Ładnie bym wyglądała, żebym jechała z poprzednią szybkością i nie zauważyła tej przeszkody. W najlep-szym razie – leżałabym w rowie. A w najgorszym... no cóż, Janka musiałaby zrezygnować ze swojej grypy i strzykać od jutra nie tylko swoich starych, ale i moje maluchy. Przestaję źle myśleć i źle się wyrażać o funkcjonowaniu mojego motocykla. Poczciwe świece.

Ten słoik trzeba jednak stąd koniecznie uprzątnąć. Nie każde-mu zaleje się motocyklowa świeca w odpowiednim momencie.

Mgła robi się coraz podobniejsza do waty. W ogóle już prawie nic nie widać, cóż mówić dopiero o marnym słoiku ze śmietaną. Stawiam motor na poboczu, ujmuję ostrożnie rozbite szkło, zgarniam 9 większe ostre kawałki, które leżą rozprysnięte w sporym pro-mieniu, i niosę to wszystko do rowu.

W tym momencie dostrzegam w jamie pod krzakiem duży, nie-foremny kształt, ciemniejszy niż otaczająca mnie ciemność. Z

ciekawości pochylam się nad nim. Przyświecam sobie latarką, z którą nigdy się nie rozstaję. Bo to i moja prywatna elektrownia na wertepach, które muszę często zwiedzać wieczorami, i narzędzie

medyczne, kiedy wypada mi stwierdzić, czy malec ma rzeczywi-

ście anginę.

Krażek światła, skierowany przeze mnie ku dołowi, daje po-dwójne odbicie, jak gdyby natrafił na dwa małe, okrągłe lusterka.

Albo dwa małe księżycy, które rozjarzyły się nagle martwym, bo nie własnym, tylko odbitym światłem. Patrzą na mnie nieruchomo, bez wyrazu. To są czyjeś nieżywe oczy.

Chcę krzyknąć i nie mogę. Nieprzewyciężona niemoc skuwa moje ciało. Cała jestem kamiennym ciężarem, chociaż myśl pracuje bezustannie. Zaczyna mi brakować tchu. Tak chyba musi się czuć człowiek nagle sparaliżowany.

Po chwili biorę się w garść. Co mną tak wstrząsnęło – myślę.

Cóż to, nieboszczyka nigdy nie widziałam? Ocieram z czoła pot; jest chłodno, ale ja jestem mokra, jakbym wyszła z kąpieli. Ten mój szok to chyba rezultat scenerii, w której wszystko to się rozgrywa. Posępny wieczór, mgła, pustkowie, odludzie – iw środku tego wszystkiego trup znaleziony przypadkiem.

Nie od razu rozpoznaję, że to Brydowa. Najpierw orientuję się, że mam przed sobą zwłoki kobiety, potem – że jej śmierć nastąpić musiała dopiero co, bo krew na jej twarzy jeszcze nie zakrzepła i mięśnie nie zdążyły nabrać sztywności.

Z kolei świadomość moja rejestruje, iż kobieta zginęła śmiercią 10

nagłą, lecz bynajmniej nie na skutek przejechania w mgle przez nieostrożnego kierowcę. Jej szyję ciasno ściska zadzierzgnięty mocno elektryczny kabel. Czyli: została zamordowana.

Znów robi mi się aż niedobrze ze strachu. Bo jeśli tak – to morderca musi wciąż jeszcze być tu gdzieś niedaleko. Może wła-

śnie ja go spłoszyła? Może tkwi ukryty w krzakach po drugiej stronie drogi? Może czai się za skarpią pagórka? Obmiatam najbliższe otoczenie promieniem latarki, ale jej światło rozprasza się, jest bezsilne wobec mgły. Dookoła cicho, ani jednego szelestu, żadnego odgłosu. Nawet pies nie zaszczeka. Tylko jak dźwięk z innego świata dociera do mnie przeciągły, metaliczny zgrzyt i dzwonek tramwaju, który właśnie w tej chwili rusza chyba z przystanku za laskiem. Może ktoś nadejdzie od tego przystanku ścież-

ką, prowadzącą na przełaj przez krzaki ku drodze? Niestety, moja nadzieja nie sprawdza się.

Gdy podnoszę się z klęczek, światło latarki jak reflektor obejmuje już nie tylko twarz, lecz całą leżącą pod krzakiem postać. I teraz dopiero uświadamiam sobie, że to Michalina Brydowa. Poznaje ją i po długich, jasnych, splątanych włosach, i po płaszczu z zielonego skaju, bo była w nim dziś rano w przychodni, i po zielonych kozakach, i po dużej torbie w zielono-czarną kratę z błyszczącym zamkiem. Do tej torby wkładała recepty na lekarstwa dla Dzidki. Torba jest w tej chwili otwarta, jej

zawartość rozsypa-na po ziemi.

Nie mam siły, by wsiąść na motocykl. Doprowadzam go do najbliższego domku, do Hajduków. Wiem, że jest tam telefon.

Proszę starego Hajduka, aby zechciał pójść na drogę, w miejsce, które dokładnie mu opisuję, i dopilnował, by nikt się tam nie zbli-

zał. Muszę chyba wyglądać dość niesamowicie, bo Hajduk, 11

który lubi pomędrkować, zanim coś wykona, bez słowa sprzeciwu bierze ze sobą swojego starszego chłopaka, zdejmując ze ściany myśliwską strzelbę i wychodzi. Dzwonię na milicję.

Długoletnia praktyka często sprawia, że czynności związane z pracą przeradzają się w coś w rodzaju odruchu. Bo tylko tym wytłumaczyć mogę dalsze moje postępowanie. Zanim przyjechał

milicyjny radiowóz, zdołałam jeszcze zrobić zastrzyk penicyliny najmłodszemu Hajdukowi – potem zaś, po zwięzłym poinformowaniu milicjantów, jak to się stało, że znalazłam zwłoki Brydowej, zdążyłam zrobić wszystkie, przewidziane na ten wieczór w domkach na Zalipiu, zabiegi. W tym czasie ekipa techniczna MO

wykonywała swoje czynności, niezbędne w takich wypadkach.

Coś tam mierzyli, pisali, fotografowali, sprowadzili nawet psa, czemu przyglądała się – zachowując nabożne milczenie i pełen szacunku dystans – co najmniej połowa mieszkańców Zalipia, bynajmniej nie zniechęcona rozlegającą się od czasu do czasu perswazją, wygłaszaną bez przekonania przez milicjantów:

– Obywatele, proszę rozejść się, proszę nie przeszkadzać.

Oczywiście, wszyscy we wszystkich domkach już wiedzieli, że to ja odkryłam zwłoki Brydowej. W takich niedużych, izolowanych ludzkich siedliskach każda wieść rozchodzi się błyskawicznie, bez pomocy jakichkolwiek technicznych urządzeń. Jedni proponowali mi krople walerianowe, drudzy kieliszek „czegoś mocnego”, jeszcze inni filiżankę mocnej kawy lub herbaty słomkowe-go koloru, bo herbata dobra jest na wszystko, byle nie za mocna.

A zachowywali się z pełnym powściągliwością współczuciem, jak gdyby to mnie spotkało osobiste nieszczęście. Zalipianie już tacy 12

są: opanowani, flegmatyczni, trochę skryci. Wszyscy „tutejsi” od pokoleń, mało kto z innych stron, chyba że się przyżenił. Ich domki i ogródki są owocem długoletniego własnego trudu w pobliskiej hucie i kopalni. Stare, robotnicze środowisko z rodzowymi tradycjami. Mnie współczuli, ale swojego zdania na temat sedna sprawy nie wyrażali. Jedna tylko Hajdukowa westchnąwszy, mruknęła:

– Nie miała Michaśka fartu w życiu...

No, ale Hajdukowa nie jest „stąd”. Tylko ze wsi, odległej o pięćdziesiąt kilometrów.

Musiałam być także u Brydów. Starsza z ich dwu córeczek, Dzikka, miała grypę z komplikacjami. Już trzeci dzień wstrzyki-wałam jej penicylinę, mimo to gorączka nie spadała. Bałam się przekroczyć próg tego domku. Domku jak inne, parterowego z drewnianą „górką”, lecz murowanego, otoczonego starannie pielęgnowanym ogródkiem i drewnianym niskim parkanem.

Bałam się, bo wciąż jeszcze obraz zabitej kobiety w rowie nie kojarzył mi się z postacią gospodyni tego domku, matki Dzikki i Mirki, kobiety miłej, spokojnej, może za spokojnej, trochę nija-kiej, trochę chyba ślamazarnej. To nie może być, żeby ją właśnie spotkała taka gwałtowna, tragiczna śmierć.

Otworzę drzwi i Michalina wyjdzie mi naprzeciw, z wzrokiem spłoszonym, po swojemu jakby speszona, że musi kogoś absorbować swoimi kłopotami. Nerwowo zacierając ładne, lecz zniszczone pracą ręce zacznie się uskarżać na dziesiątki drobnych trudności i niepowodzeń minionego dnia.

Michalina należy... Wciąż myślę o niej w czasie teraźniejszym, nie przyjmuję do wiadomości, że od tej chwili będzie się już o 13

niej mówić tylko w czasie przeszłym, zatem nie „należy”, tylko

„należała”... a więc, Michalina należała do kobiet widzących i odczuwających życie w drobiazgach, w malutkich dawkach, w cząsteczkach. Składało się to jej życie z fragmencików, jak piaszczysta łąka z drobinek piasku, łatwo przesypujących się przez palce, łatwo unoszonych przez wiatr. Kiedy przychodziła do mojego gabinetu zabiegowego do ośrodka – a przychodziła często, bo obie dziewczynki były chorowite – rozpoczynało się, jak to kiedyś złośliwie ochrzciła Janka: „szemranie strumyczka”. Łagodnym, monotonnym głosem donosiła mi Brydowa o tym, że rano zacięła się jej furtka, że potknęła się, wsiadając do tramwaju, i rozdarła pończochę, że buty, które kupiła dla Dzikki, okazały się za ciasne, że znów nie można dostać w sklepach krochmalu. Taką samą litaniją obdarzała mnie, gdy ja z kolei przybywałam do jej domku na Zalipiu. Od dziś nie dowiem się już o żadnym z jej małych, co-dziennych pechów. To okrutny paradoks, ale w moich oczach dramatyczny zgon nadał nagle posępny wprawdzie, lecz mocny, jaskrawy koloryt bezbarwnej, jakby wypłowiej postaci Michaliny Brydowej.

Jej matka już wiedziała o nieszczęściu; dzieci – nie. Siedziała przy nakrytym do kolacji stole, zgarbiona, ale z kamienną twarzą.

Podniosła na mnie suche oczy, podobne do jasnoniebieskich oczu córki, i przyłożyła palec do ust, wskazując mi ręką drzwi do sypialni. Zrozumiałam. Weszłam tam po cichu. Trzyletnia Mirka już spała, tuląc w objęciach ukochanego misia. Jedenastoletnia Dzikka z wypiekami na twarzy chłonęła „Anię z Zielonego Wzgórza” i koniecznie chciała się ode mnie dowiedzieć, czy Ania kiedyś 14

wyjdzie za mąż za Gilberta, czy będą mieli dużo dzieci i czy będą szczęśliwi.

– Bo, pani Anno, jak ludzie się pobierają i mają dzieci, to są szczęśliwi, prawda? Muszą być szczęśliwi...

Nie wiem, czy mi się zdawało, czy rzeczywiście w głosie Dzikki dał się wyczuć głębo-

przejmujący smutek. Pomyślałam, że będzie z niej kiedyś ładna dziewczyna. Po matce odziedziczyła duże, niebieskie oczy, lecz włosy miała ciemne, po ojcu. W obrazowaniu długich, ciemnych rzęs niebieska barwa oczu nabierała intensywności i wyrazu. Wszystko, co w matce było zaledwie zadatkiem piękna i co, przygaszone, czyniło Michalinę niedostrzegalną wśród otoczenia – w tej małej kwitło, promieniało i zwracało uwagę. Po ojcu widocznie wzięła ten szlif i blask, wszystko to, czym czarował kobiety. Miała Dzidka prawo marzyć o domowym, rodzinnym szczęściu, o szczęśliwym małżeństwie: nie napatrzyła się na nie zbyt wiele we własnym domu.

Matka Michaliny odprowadziła mnie do furtki. Tu dopiero dała upust łzom i rozpaczy. Ale płakała niemal bezgłośnie, tak jak się płacze przy najboleśniejszym życiowym ciosie.

W tym momencie przed furtką stanął Karol Bryda. Nagle i cicho wyłonił się z mgły. Jego rosłą, barczystą postać zgrabnie opinała skórzana kurtka. Jedną ręką trzymał kierownicę roweru, w drugiej ręce widniały trzy piękne herbaciane róże, owinięte w celofan. Jego ciemne oczy prześliznęły się błyskawicznie po mojej twarzy i sylwetce. Poruszyłam się niespokojnie, chociaż wiedzia-

łam, że Karol Bryda patrzy tak zawsze na wszystkie kobiety. Jak gdyby każda do niego należała – a jeżeli jeszcze nie, to i tak mu nie umknie.

15

–
Co się stało? – zapytał swoim miękkim, niskim głosem, który jego liczne wielbicielki określały jako „aksamitny”.

Teściowa odwróciła się od niego gwałtownie i ciężkim krokiem odeszła bez słowa w stronę domu. Mnie więc przypadło w udziale powiadomienie go o tym, co się stało.

–
Z której strony pan przyjechał? – zapytałam przezornie, aby się upewnić, iż demonstrowana nieświadomość nie jest z jego strony notoryczną zgrywą.

Zrobił zaskoczoną minę i wskazał dłonią, uzbrojoną w kwiaty, kierunek przeciwny temu, z którego nadeszło nieszczęście.

Droga, przy której znalazłam Michalinę, była długa, przecinała całe Zalipie i zataczała duże półkole. Jej oba końce dotykały miasta. Można więc było dojechać nią do centrum obierając zarówno kierunek, który mnie tu przywiódł, jak i przeciwny.

–
Co się stało? – powtórzył, już nie siląc się na uprzejmość.

W głosie jego zadrgała nutka zdenerwowania.

Może rzeczywiście nadjechał z miasta nie od tej strony, gdzie tłumne zbiegowisko na drodze na pewno przykułoby jego uwagę.

Straciłam tupet, chociaż nie należę do nieśmiałych. Zresztą Karol Bryda zawsze mnie peszył, raczej wolałam unikać stykania się z nim. Nie lubię takich żywiołowych, zdobywczych mężczyzn. Odpowiedziałam mu cicho, trochę zacinając się:

—

Pana żona... Pani Michalina... nie żyje. Leży zabita tam...

przy drodze.

Puścił rower, który z brzękiem upadł na jezdnię. Oburącz chwycił mnie za ramiona i potrząsnął mną. Zduszonym, nagle zachrypniętym głosem krzyknął:

—

Michalina? Co pani bredzi? Michalina? To niemożliwe.

To nieprawda! To nie może być!

16

—

Niech pan tam pójdzie. Sam się pan przekona – odparłam z gniewem.

Już mi przeszło skrępowanie. Cóż on sobie myśli? Będzie mi tu udawał zrozpaczonego małżonka, ten uwodziciel? Mało się Michalina przez niego napłakała, o czym wszyscy wiedzą? Szarpnęłam się i wyswobodziłam ramiona z prawdziwie niedźwiedziego uścisku jego potężnych łap. I odepchnęłam go z całej siły. Ostatecznie mam rzeczywiście dość okazały wzrost i do figurynek z porcelany nie należę.

Cisnął mi pod nogi wiązankę i podniósłszy z ziemi rower wskoczył na niego w rozbiegu. Znikł w mgle tak samo nagle, jak się przed furtką pojawił, a ja zostałam, pełna rozterki i nieokreślonego żalu. Przez krótki bowiem moment wydało mi się, że w świetle ulicznej latarni dostrzegłam w oczach Karola Brydy łzy.

Nie weszłam już do domu Brydów, róże w celofanie położyłam na balustradzie przy schodkach. Wolnym krokiem ruszyłam w tę samą stronę, w którą oddalił się Karol Bryda. Mój motocykl zostawiłam przy domu Hajduków, nie miało przecież sensu raz po raz uruchamiać go, aby przejechać kilkanaście metrów od domu do domu. Po drodze spotkałam radiowóz. Szukali mnie. Potrzebna im byłam jako osoba, która odkryła zwłoki. Prawie naoczny świa-dek morderstwa. Z wozu wychylił się do mnie Stasiek Zdebniak:

—

Siadaj, siostró – zawołał, wskazując miejsce na tylnym siedzeniu.

–

A mój motor? – oponowałam.

–

Już pojechał do komendy. Tam go sobie odbierzesz...

Tak to się wszystko odbyło. A teraz siedziałam przed biurkiem, przy którym z namaszczeniem urzędował mój przyjaciel, i miałam mu dokładnie opowiedzieć wszystko od początku i po kolei, 17

jak było. Ujęłam rzecz o wiele zwięźlej, niż utrwaliła się w mojej pamięci. Wyrecytowałam:

– Jechałam do Zalipia na zabiegi. Na górce zalało mi świecę.

Kiedy ją przecierałam, zobaczyłam na jezdni przewrócony słoik ze śmietaną. Musiałam go uprzątnąć, no nie? Właśnie wrzucałam stłuczkę do rowu, kiedy o coś się potknęłam. To były zwłoki Brydowej. Zadzwoiłam do was od Hajduków, No i już. To chyba wszystko.

Rozdział 2

Tego wieczora, pierwszy raz od niepamiętnych czasów, nie wstąpiłam do moich sąsiadów na tradycyjną szklankę herbaty i telewizyjny seans. Przystanęłam nawet na chwilę pod drzwiami, do których przypięta była karteczka ze starannie wykaligrafowa-nym nazwiskiem „Stanisław Zdebniak” – ale nie zapukałam do nich.

Co mnie powstrzymało? Chyba kilka powodów.

Po pierwsze, ze strony Irenki i starszych państwa (a staruszko-wie są bardzo ciekawscy) nie obyłyby się bez pytań, dotyczących tragicznego wypadku. A ja, doprawdy, nie miałam już siły mówić na ten temat.

Po drugie, nie chciałam, żeby Stasiak Zdebniak pomyślał, że chcę prywatnie dowiadywać się od niego jakichkolwiek szczegó-

łów sprawy, prowadzonej przez porucznika Stanisława Zdebniaka.

Nie jestem wścibska, nie lubię się nikomu narzucać. Wprawdzie różni ludzie, z którymi się stykam, opowiadają mi mnóstwo rzeczy o sobie i o innych, ale czynią to wyłącznie z własnej woli i potrzeby zwierzenia się. Wysłuchuję zawsze tych jeremiad i plo-tek cierpliwie, komentuję skąpo, przeważnie kiwam głową, co może oznaczać i „tak”, i „nie”, albo „no, no, kto by pomyślał”.

Ludziom to wystarcza. Nie po to do mnie mówią, kiedy z odwinie-

tym rękawem czekają na zastrzyk, pocą się z bańkami na plecach 19

albo w zwolnionym tempie zapinają płaszczyki swoich dzieci, przyprawdzonych na zabieg – żeby oczekiwali ode mnie ingerencji w ich sprawy.

Po prostu: kiedy człowiek ma kłopoty, zwłaszcza z rodziną, albo odwrotnie, rozpira go radość, musi się przed kimś wygadać. I to właśnie przed kimś takim jak ja – dość dobrze znanym, a jednak dość obcym na to, aby nie mógł być posądzony o stronniczość.

Nigdy, w żadnym wypadku, nie powtarzam nikomu tego, co mi ktoś naopowiadał. I ludzie o tym dobrze wiedzą. Nie byłam jednak pewna, czy w tym wypadku Staś Zdebniak nie potraktowałby mojej prywatnej wizyty w jego domu, w dwie godziny po przesłuchaniu mnie w komendzie, jako chęci tak zwanego „pociągnięcia po za język” albo jako objawu babskiej ciekawości łakomej i nie-nasyconej, gdy sprawy bliźnich przybierają obrót niezwykły i dramatyczny.

A po trzecie. Po trzecie poczułam nagle, że w moje dobrosą-

siedzkie stosunki wkraść się coś w rodzaju skrępowania. Było mi po prostu głupio. Nigdy dotychczas nie miałam do czynienia z milicją. Nigdy mi niczego nie ukradziono, nigdy nie byłam naocznym świadkiem wypadku drogowego. Tylko dowód mi kiedyś tam wydali, kilka lat temu. To wszystko. Teraz zostałam zamieszana osobiście w kryminalną, bądź co bądź, sprawę. Wprawdzie przypadkowo – ale dla pana domu, w którym bywałam, nie jestem już tylko nieszkodliwym, może nawet lubianym, choć trochę nudnym gościem. Jestem od dziś człowiekiem, z którym ma on do czynienia służbowo. Człowiekiem z przeciwnej strony jego biurka. Człowiekiem „z akt sprawy”.

Tak, pomyślałam sobie, mijając drzwi Zdebniaków, muszę dopiero rozważyć, w jakiej formie mam nadal utrzymywać tę 20

sąsiedzką poufałość... I czy w ogóle mogę tam bywać, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona, czyli dopóki morderca Brydowej nie zostanie ujęty.

Było mi głupio i nieprzyjemnie tego wieczora w czterech ścianach mojej staropanieńskiej kawalerki. Jak zawsze bywa człowiekowi, gdy w przykry sposób naruszony zostaje uświęcony zwyczajem porządek życia.

W przewidywaniu bezsenności zażyłam glimid. Mimo to spa-

łam tej nocy źle. Śniło mi się wciąż, że pędzę moim motocyklem wśród mgły pustą i ciemną szosą, ale nie sama. Za moimi plecami na siodełku mam pasażera. Nie wiem jednak, kto nim jest. W

pewnym momencie słyszę szept: „Teraz ty zginiesz” i czuję, że na mojej szyi zaciska się pętla. Padam do tyłu, na wznak... W tym momencie budziłam się. Gdy zasypiałam, sen rozpoczął się od nowa.

W przychodni od rana panował nieopisany tłok. Mam powody, aby podejrzewać, że wiele osób zjawiało się tylko dla popatrzenia na mnie, jeżeli już nie porozmawiania. Stałam się czymś w rodzaju bohaterki dnia, chociaż bynajmniej mi to nie schlebiało. Oczywiście, całe miasto już od świtu wiedziało o morderstwie na Zalipiu.

Zjawiała się nawet w pracy moja koleżanka, Janka Wąsikówna, świadcząca pielęgniarskie usługi

świernikowianom powyżej lat czternastu. Chrypiała jak stara płyta, siąkała zaczerwienionym jak burak nosem, szyję miała obwiązaną wełnianym szalikiem, ale ciekawość przemogła w niej niemoc. Oświadczyła mi, że zwlokła się z łóżka bóleści tylko ze względu na mnie.

– Mogę cię zastąpić – zazgrzytała swoim zachrypniętym głosikiem. – Myślałam, że dziś nie przyjdiesz. Ależ ty masz nerwy: mnie po takiej kraksie musieliby zawieźć do szpitala...

21

Zapewniłam ją, że czuję się na siłach, aby spełniać nadal moje obowiązki, i że nie było żadnej kraksy.

–

Ach tak? – powiedziała przeciągle, jak gdyby z niedowierzaniem lub zawodem. – A ja myślałam, że ty po ciemku na trupa najechałaś...

–

Też coś! – wzruszyłam ramionami i wróciłam do gabinetu pediatrycznego.

Doktor Leon Kosma już przyjmował naszych małych pacjentów i był bardzo zły, że nie ma mnie pod ręką. No bo kto mu wyjmie z kartoteki następną kartę chorobową, kto poda wyparzoną łyżeczkę, by mógł zajrzeć do kolejnego obolałego gardziółka?

Moim zdaniem doktor Kosma jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Nie tylko dlatego, że reprezentuje rzetelną zawodową wiedzę, a jego lekarska intuicja graniczy z jasnowidzeniem. Doktor Kosma został stworzony do leczenia maluchów.

Wyglądem przypomina bowiem krasnoludka, chociaż byłby to krasnoludek-staruszek. Wzrost ma tak niski, że nie dorównuje niektórym ze swych pacjentów, jeżeli ma na przykład do czynienia z trzynastolatkiem-dryblasem, jak to się dziś często zdarza. W

pomarszczonej; rumianej twarzy pod gęstymi, siwymi brwiami błyszczą młodzieńczo wesołe, szare oczka. Nos ma jak kartofelek i starannie pielęgnuje malutką, siwą bródkę. Poza tym – anioł

dobroci i cierpliwości. Ze swymi pacjentami jest za pan brat i traktuje ich dość bezceremonialnie.

Nie każdy delikwent wykazuje zrozumienie dla tej lekarskiej troski, ale starsze nieco dzieci uwielbiają naszego „kosmatka”.

Wszyscy zaś ubolewamy, że doktor Kosma żyje tak samotnie.

Żona jego zmarła kilka lat temu, jedyny syn doktorostwa zginął na wojnie. Kosma powiada jednak, że nie może się czuć samotnym, 22

gdy ma tyle dzieci. Wszystkie dzieci, które leczy, uważa za swoje.

Może jednak właśnie ta życiowa, osobista samotność nas obojga, bardziej jeszcze niż wspólna praca, ogromnie zbliżyła mnie i doktora Kosmę. Inna sprawa, że musimy wyglądać tak razem obok siebie dość pociesznie: on małe, okrągłe, siwy, ja – wysoka, chuda, ciemnonoka, z włosami prawie czarnymi.

–

Hm, hm... – chrząknął znacząco, gdy w pewnym momencie nastąpiła króciutka przerwa w napływie pacjentów.

Doktor Kosma często tak pochrząkuje, gdy jest czymś zaamba-rasowany.

–

Słucham, panie doktorze – wyłączyłam kocher ze strzykawkami i podeszłam do małego biurka, na którym obok bloczku z receptami, słuchawek lekarskich i innych przyrządów królował wielki, nadmuchiwany, żółty słoń. Słoń miał zeza i słu-

żył do rozweselania małych pacjentów, kiedy trzeba było odwró-

cić ich uwagę od jakiegoś bolesnego zabiegu. Poprzedni słoń nie miał zeza – i nie skutkował. Temu poprzednikowi Jurek Hajduk odgryzł trąbę podczas usuwania drzazgi z pięty. W sklepie z zabawkami nie mieli już wtedy gumowych słoń. Spod lady sprzedawczyni na moją usilną prośbę wyciągnęła tego z zezem. „Ostatni – powiedziała. – Uprzedzam, że ma feler. Wadę wzroku.” Ja go jednak kupiłam i stał się cud.

Dzieci pokochały „zyzola”.

Doktor Kosma obracał słoń w swoich małych, pulchnych dłoniach i nie patrzył na mnie. Mruknął z zażenowaniem:

–

Hm... Co to ja chciałem powiedzieć? Hm... Może siostra chciałaby wziąć króciutki urlop? Okolicznościowy. To się da usprawiedliwić.

23

Aha, pomyślałam, „kosmatek” już wywęszył niezdrową sensację, jaką moja osoba wzbudza w ośrodku. W głębi duszy przyznawałam rację poczciwemu Kosmie. Może to przeczulenie, ale podczas dzisiejszych wizyt zwrócił moją uwagę taki na przykład fakt. Kiedy jak zawsze chciałam pomóc matkom przy ubieraniu malców, niektóre z nich niecierpliwie, inne delikatnie, lecz stanowczo, odsuwały moją rękę. „Dziękuję, dziękuję, siostrze – mó-

wiły – dam sobie radę.” W ich oczach byłam kimś, kto dopiero co zetknął się z trupem. Może niektóre robiły to nieświadomie.

Wstręt do śmierci, lęk przed niezwywym ciałem: jakie to stare, się-

gające najdawniejszych dziejów ludzkich!

Ludzie, którzy grzebali nieboszczyka tysiące lat temu, musieli poddawać się specjalnym obrzędom oczyszczającym. W Indiach istniała jeszcze do niedawna kasta grabarzy, których nikomu nie wolno było dotknąć. Pobierali się tylko w ramach tej kasty i żadnemu z jej członków nie wolno było wykonywać innego zawodu.

Ludzie „nieczyści”.

Ale ja nie miałam zamiaru kapitulować. Nie poddam się przesądom. Udałam, że nie rozumiem, o co Kosmie chodzi. Odpowiedziałam z niewinną miną:

–

Och, panie doktorze, serdecznie dziękuję za troskliwość.

Ale ja naprawdę czuję się zupełnie dobrze. A sprawa Brydowej absolutnie mnie nie absorbuje. Zznałam na przesłuchaniu, jak ją znalazłam, i chyba nie będę już miała z tym wszystkim nic do czynienia.

–

Hm, hm – chrząknął dając mi do zrozumienia, że nie pochwala mojej decyzji. – Jak siostra uważa...

Na moje szczęście, w tej chwili wtargnęła do gabinetu jak huragan Bronia Wiśniewska, kierowniczka naszego największego 24

domu towarowego, z synalkiem, który bawiąc się w pancernych, wcisnął sobie na głowę zamiast hełmofonu rondelek. Dziecko wyglądało jak przybysz z obcej planety. Dla niepoznaki rondelek owinięty został przez przezorną Brońcie płachtą gazety i przewią-

zany sznurkiem. Uwalnianie Wacia od „hełmofonu” zajęło nam całą godzinę i było tak wyczerpujące, że Kosma zapomniał o naszej rozmowie. A może nie chciał do niej wracać.

Mój skromny obiad zjadłam jak zawsze w pobliskim barze mlecznym „Pod Jagódką”. Potem wróciłam do domu, żeby przebrać się w spodnie, które zawsze wkładam, kiedy jadę motocyklem, i przygotować się do popołudniowych wizyt domowych.

Moja WSK-a stała już jak zwykle w jednym z boksów garażu na naszym osiedlowym podwórzu. O garaż toczyła się swego czasu ostra walka pomiędzy zwolennikami motoryzacji i obrońcami świeżego powietrza wokół bloków. Wygrali ją zmotoryzowani. O

boks – trwała jeszcze wojna pomiędzy mną i Andrzejem Rotem, głównym inżynierem huty, który od niedawna sprowadził się do naszego miasta i okazał się właścicielem syrenki. Ja wprawdzie byłam w boksie pierwsza, ale boks był przeznaczony dla samochodu. Ładnie by to wyglądało, gdyby jeden

marny, zgrzebny motocykl marki WSK zajmował cały samochodowy boks. Stańło na kompromisie: wpuściłam do boks syrenkę Rota, ale on musiał

się zgodzić na mój motocykl w charakterze sublokatora. Ciągłe jednak zgłaszał do mnie jakieś pretensje: to o porysowany rzekomo przeze mnie lakier na drzwiczkach jego wozu, to znów, że stawiam złośliwie motocykl w sposób uniemożliwiający mu wy-prowadzenie rano samochodu z garażu. A w ogóle – wyznał mi kiedyś w momencie gniewu – widok kobiet na motocyklach budzi w nim najgłębsze obrzydzenie.

25

Przyglądałam się mojemu środkowi lokomocji z zadumą. By-

łam do niego bardzo przywiązana. Niezawodny przyjaciel, oszczędzający moje siły na długich, wieczornych trasach. Dziś żywiłam do niego jeszcze większą czułość: może to on właśnie uratował mi życie? Gdybym szła pieszo, może nie Brydowa, lecz ja padłabym ofiarą zabójcy? Bo kto wie, może to był mord rabun-kowy? Nurtował mnie jednocześnie nieokreślony niepokój. To głupie powiedzenie Janki o trupie na jezdni... I dlaczego wczoraj wieczorem milicja nie pozwoliła mi wrócić do miasta z Zalipia moją WSK-ą, dlaczego Zdebniak zabrał mnie do samochodu? Co robili w komendzie z moim motocyklem, który przyjechał do niej nie na własnych dwóch kółkach, lecz załadowany do furgonetki?

Późnym wieczorem przyprowadził mi go pod dom jeden z pod-komendnych Zdebniaka. Westchnęłam melancholijnie. Nie, nie pojedę dziś na motorze. Wynałazłam sobie nawet dwa preteksty: po pierwsze pada deszcz i jest ślisko, po drugie, lepiej będzie, jeżeli przed następną jazdą oddam mojego konika do małego remontu. Jakoś stanowczo za często zalewa się świeca.

Na Zalipie pojechałam tramwajem. Skwapliwie przyłączyłam się na końcowym przystanku do sporej grupy pasażerów, którzy tak jak ja wybrali ścieżkę na skrót przez krzaki, łączącą się z drogą zalipiańską dopiero za szczytem pagórka, w miejscu, w którym wczoraj znalazłam zwłoki Brydowej. Zauważyłam, że wszyscy starali się iść razem, zwłaszcza kobiety. Gdy tylko któraś z nich pozostawała w tyle, natychmiast przyśpieszała kroku, by wrócić do stadka.

26

Na Zalipiu moi pacjenci byli tego dnia milczący i ponurzy.

Nikt mnie o nic nie pytał, nikt się z niczego nie zwierzał, nikt niczego nie proponował. Właściwie odpowiadało mi to. Nie miałam ochoty na pogwarki o byle czym, a tym bardziej o Brydowej.

Najprzykrzejsza dla mnie była oczywiście wizyta u Brydów.

Powtórzył się obraz z poprzedniego dnia. Znów matka Brydowej siedziała przy stole w jadalni, tyle tylko, że tym razem stół nie był

już ładnie nakryty.

Współczująco położyłam starszej pani dłoń na ramieniu. Podniosła na mnie wzrok. Na jej twarzy malowała się rozterka. Wy-szeptała:

–

Wróciłam dopiero teraz z milicji. Chcieli, żebym im powiedziała, co zginęło z torby Michaśki.

–

A zginęło coś? – zapytałam.

Pokręciła głową, nadal pełna niedowierzania:

–

Tak jakby nic. No, prawie nic. Bo tylko taka mała bro-szczka. Mewa z bursztynu. To była jej pamiątka, dostała od ojca.

–

Pani Michalina nie miała przy sobie pieniędzy?

–

Kilka złotych drobnymi – odparła staruszka. – Jak wychodziła, wzięła z gospodarskiej szuflady dwadzieścia złotych. Powiedziała, że ma tylko dziesięć, a chce kupić litr śmietany, więc to jej nie starczy. No i zostało jej z trzydziestu złotych trochę reszty.

Mój Boże, żeby nie ta śmietana... A to wszystko przez niego. Tak czy owak, on ją zabił. Choćby nawet sam tego nie zrobił.

„Przez niego”, „on”. Nie powiedziała: „Karol”. Nigdy nie mó-

wiła o zięciu, używając imienia. Nie lubiła go. Przeciwna była temu małżeństwu, kiedy córka zamożnego i szanowanego sztygara poszła za męża za „przybłędę”, za „obcego”, poznanego na barbórkowej zabawie, chociaż miał dobry fach, był elektrykiem ²⁷

i zarabiał duże pieniądze.

Nie przerywałam matce Michaliny. Pokiwałam tylko bez słowa potakująco głową. To ją zachęciło do dalszego mówienia:

– Już się mieli rozejść. Ja tam byłam za tym, chociaż to nie po bożemu. Ale dziś tak bardzo się nie uważa, co po bożemu, a co nie. Myślałam sobie: i tak zgorszenie boskie, co on wyprawia. Od jednej kochanki do drugiej, a na dom coraz mniej dawał. Michaś-

ka chciała do roboty wrócić, co ją rzuciła, bo on wolał, żeby w domu siedziała, o świecie

zapomniał. Przecież była buchalterką, dobra praca, czysta, spokojna. I ja pomyślałam: pójdzie do pracy, młoda jest, niebrzydka, może jeszcze pozna jakiegoś po-rządneho człowieka i życie sobie ułoży. Dzieci mi tylko szkoda.

Bo Dzidka bardzo była za ojcem. A on za nią też, mnie na złość.

Jak ja czegoś jej wzbroniłam, on pozwalał. Śmiał się: co tam babka wie! No i wczoraj Michaśka spotkała się z nim, bo on już z tydzień w domu nie nocował, tylko u jakiegoś kumpla. Pokłócili się z Michaśką o tę rudą Heńkę z komisju. Latał za nią jak głupi...

No i miał być szlus między nim i Michaśką. Ale on, jak to on.

Zawsze znalazł na nią sposób. Zaczarował ją czy co. Nie wiem.

Wraca Michaśka, tak koło czwartej, i powiada: „Mamo, pogodzi-

łam się. On już nie będzie, dał mi słowo. A ja go kocham i życia bez niego nie widzę”. No i powiedziała mi jeszcze, że on wróci na kolację, a że to w sam raz wczoraj była dwunasta rocznica ich ślu-bu, chce, żeby było wszystko, co on lubi. A on lubił nadziewane pyzy ze śmietaną. Żeby śmietany było dużo. Mówię jej: śmietany mam w domu mało, tylko żdziebko. Na to ona, że pójdzie po śmietanę. No i poszła... Nasz kiosk był zamknięty, bo sprzedawczyni 28

chora na grypę, więc musiała Michaśka tramwajem do pawilonu pojechać. Żeby nie ta śmietana...

Staruszka umilkła. Nie wiedziałam, co mówić, jak ją pocieszać i czy w ogóle można kogokolwiek w takiej sytuacji pocieszyć. Na szczęście ułatwiła mi sprawę. Potarła czoło, jak gdyby pragnęła rozproszyć jakąś natrętą, złą myśl, i mruknęła:

—

No, siostru, niech pani idzie do Dzidki.

Dzidka już nie czytała „Ani z Zielonego Wzgórza”. Leżała w swoim łóżecku cicha, blada i ogromnie smutna. Kiedy pochyli-

łam się nad nią, objęła mnie za szyję szczupłymi ramionkami i rozplakała się.

—

Dlaczego – szeptała rwącym się i łamiącym głosem – dlaczego on to nam zrobił? Nie ma mojej mamusi. Już nigdy nie będę miała mamusi... Siostru Anno, dlaczego?

Co mogłam odpowiedzieć niebieskookiej dziewczynce, tak gorliwie jeszcze wczoraj marzącej o szczęściu rodzinnym? Jak można wytłumaczyć jedenastoletniemu dziecku, dlaczego jeden człowiek zabija drugiego, odbiera go życiu, odbiera go bliskim?

Dałam małej oprócz penicyliny środek uspokajający, posiedziałam przy niej chwilę, głaszcząc ją po

ciemnej główce, a gdy trochę przycichła i zdrzemnęła się, wyszłam. Z Mirką nie było tyle kłopotu. Na szczęście, niewiele jeszcze rozumiała z tego, co się dzia-

ło dookoła niej. Siedziała w kąciku z zabawkami, ubierała i roz-bierała misia, wygłaszając do niego tyrady, niezbyt zrozumiałe dla postronnych.

W jadalni oprócz matki Michaliny zastałam również Hajdukową. Minę miała zakłopotaną, unikała patrzenia mi prosto w twarz.

Ale chciała mi coś powiedzieć, i to nie tylko od siebie, lecz także 29

w imieniu innych moich pacjentów z Zalipia:

– Niech nas siostra dobrze zrozumie... Dopóki tego zabójcy nie złapali... Może on tu gdzieś grasuje... My nie chcemy siostry narażać na chodzenie tą drogą po ciemku. My już sobie jakoś po-radzimy. Grypa mija. Te zastrzyki, co jeszcze zostały do zrobienia, zrobi pani Aniela. Ona tu na miejscu, ma blisko, każdy chłopak ją doprowadzi...

Pani Aniela jest emerytowaną pielęgniarką. Rzeczywiście mieszka w samym środku Zalipia, ale zabiegów już właściwie nie wykonuje. Mówi, że niedowidzi, że rękę ma niezbyt pewną. Ot, czasem po sąsiedzku wyświadczy komuś przysługę w nagłym przypadku. Oczywiście, może pani Aniela robić te zastrzyki. Nie mam nic przeciwko temu. Odpadnie mi jedna z najdłuższych i najbardziej męczących tras. Co jednak kryje się za tą zbiorową petycją moich pacjentów? Prawdziwa troska o całość mojej osoby czy niechęć i brak zaufania? Nie chciałam o to nikogo pytać.

Do przystanku tramwajowego wracałam już sama. Nikt o tej porze widocznie nie wybierał się do miasta. Gdybym powiedziała, że nie odczuwam żadnego lęku, kłamałabym. Strach, natrętny i duszący, oblegał mnie, oblepiał ze wszystkich stron. Czułam go i w sobie, i jak gdyby na zewnątrz. A dookoła było tak samo mroczno, cicho i bezludnie, jak poprzedniego wieczora. Mgły tylko nie było i to chyba tym gorzej, bo wyostrzone przez strach słuch i wzrok rejestrowały wszystko: każdy szelest, każde najmniejsze kołysanie się przydrożnych badyli pod naporem lekkich podmuchów wiatru. Deszcz ustał, lecz spadło go tego popołudnia dość, by zmyć bez reszty z jezdni białą kałużę śmietany. Toteż z trudem zdałam sobie w pewnej chwili sprawę, iż znajduję się 30

właśnie w tym samym miejscu, gdzie wczoraj...

Nie zdążyłam doprowadzić mojej myśli do końca. Od skarpy, wznoszącej się stromo nad rowem i nad krzakiem, pod którym leżała poprzedniego wieczora Michalina Brydowa, oderwał się wysoki cień i przesunął się ku jezdni. Miał najwidoczniej zamiar przeciąć mi drogę.

Strach ścisnął mi gardło tak mocno, że nie byłam w stanie nawet krzyknąć. Tylko nogi, moje długie, wyćwiczone w nieustan-nych wędrówkach, nie kierowane wcale moją wolą, a jeżeli wpra-wione w ruch, to podświadomie, jak gdyby były obcym mi kawał-

kiem ciała, nabrały nagle lekkości i szybkości. „Biegnę jak wa-riatka” – pomyślałam samokrytycznie.

Cień jednak nie zrezygnował ze spotkania ze mną. On także biegł. Ja przyspieszałam kroku – on też.

Ja przebiegałam na pobo-cze – on za mną. Ja na środek jezdni – on tuż, tuż.

Dopadł mnie, a ja wtedy nagle odzyskałam głos. Krzyknęłam.

Twarda dłoń spoczęła mi na ustach. Silne ramię obróciło mnie jak frygą. Daleko było do najbliższej latarni, ale my staliśmy twarzą w twarz i nie mogłam nie poznać, kto mnie gonił i komu nie zdołałam uciec, mimo sprintu, na jaki się zdobyłam. Musieliśmy biec bardzo szybko, bo oboje dyszeliśmy ze zmęczenia.

Miałam przed sobą Karola Brydę.

Zdjął z moich ust rękę i wziął mnie pod ramię. Teraz już naprawdę nie wiedziałam, co mam robić. Wyrwać się? Uciec? Krzyczeć?

Szedł obok, ale mnie wciąż jeszcze się zdawało, że słyszę za mną, że czuję, na odsłoniętym skrawku szyi między beretem 31

i kołnierzem jesionki jego gorący, przyśpieszony oddech. Mignęła mi myśl: zanim zaczął mnie gonić, stał tam pod skarpą, przy krza-ku, w rowie... W tym miejscu. W tym miejscu! A może to prawda, co mówią: że morderca wraca na miejsce zbrodni? Że coś go w to miejsce ciągnie... Że po prostu musi...

Nabrałam odwagi i spojrzałam mu prosto w twarz. Uśmiechnął

się ponuro, jednym kącikiem ust. Wyglądało to bardziej na grymas niż na uśmiech.

–

Przestraszyłem panią? – Głos miał zachrypnięty, nieswój.

Nie oczarowałby nim żadnego kociaka.

W milczeniu skinęłam głową. Nie odzyskałam jeszcze daru mowy.

–

Niech się pani nie boi. Nie zabiję pani – mruknął drwiąco.

– Wiedziałem, że będzie pani tędy wracać, i czekałem. Odprowadzę panią do przystanku.

Energicznie potrząsnęłam głową na znak, że obejdzie się. Trafie sama. Usiłowałam wyswobodzić ramię i uwolnić się od towarzystwa, tak gwałtownie mi narzuczonego.

–

No, no, niech się pani nie wrywa. Naprawdę, tak będzie dla pani lepiej. Bezpieczniej.

Zrezygnowałam z dalszego oporu. Trudno, co ma być, to bę-

dzie. Zdobyłam się wreszcie na kilka słów:

–

Co pan tu robił?

Nadal jakby drwił ze mnie:

–

Na mordercę czekałam. Podobno tacy wracają w to miejsce, gdzie zabili. Ale, jak pani widzi, nie przyszedł. Za to pani się zjawiała...

–

No, ale ja nie jestem mordercą! – zawołałam ostro.

– To nie jest takie pewne – powiedział, cedząc słowa.

32

Z ulgą stwierdziłam, że w jego tonie brzmi nutka kpiny. Bo gdyby mówił serio...

–

Nie ja tak uważam – dorzucił. – Tego zdania jest co najmniej połowa mieszkańców Zalipia. Ukochani pacjenci siostry Anny. Dokładniej mówiąc, pacjentki.

Zachnęłam się:

–

A cóż to im do głowy strzeliło?

–

Nie zastanowiła się pani, dlaczego nikt nie zaproponował, że odprowadzi panią na przystanek?

Wzruszyłam ramionami. Od dawna przywykłam radzić sobie sama w życiu. Niczyja opieka mnie nie rozpieściła i od nikogo jej nie oczekiwałam. Bryda mówił dalej:

–

To przez motocykl. Milicja badała wczoraj na jezdni wszystkie ślady kół. Pani motoru również. I stąd ktoś sobie wy-myślił, że przejechała pani po ciemku Michalinę. Kiedy zorientowała się pani, że ona nie żyje, przestraszyła się pani odpowiedzialności. No i zawiązała jej ten kabel na szyi. Że to

niby nie wypadek z pani winy, ale popełnione przez kogoś innego morderstwo. Już rozumie pani?

Skinęłam głową. Teraz rozumiałam wszystko. Ale przecież to absurd. Sekcja zwłok wykaże bez najmniejszej wątpliwości, jak było naprawdę. Powiedziałam o tym Brydzie.

–

Jasne – zgodził się ze mną i dodał z goryczą: – Ale niech się pani pocieszy, że tylko połowa Zalipia oskarża panią. Bo druga jest zdania, że to ja zabiłam Michalinę. Tu już rej wodzi moja kochana teściowa.

Nie zaprzeczyłam, bo chyba tak było w istocie. Zagadnęłam wprost:

– Ale pan tego chyba nie zrobił?

33

Znów obrócił mną jak dziecinnym bąkiem i przystanął. Jego palce zwały się na moim ramieniu z taką siłą, że syknęłam, ale nie zwrócił na to uwagi. Miałam teraz jego twarz tuż przed sobą.

Przestraszyłam się jej. Wykrzywił ją wyraz gniewny i okrutny, oczy płonęły niesamowitym blaskiem. Wycodził przez zaciśnięte zęby:

–

A jak pani myśli?

Skoro już zabrnęłam w tę wymianę zdań, musiałam odpowiedzieć. Powiedziałam to, co myślałam naprawdę:

–

Nie wiem. Ale sądzę, że to nie pan zabił Michalinę.

Odetchnął głęboko i mruknął niewyraźnie:

–

Przepraszam...

I znów szliśmy pustą drogą, wijącą się środkiem płytkiego wąwozu między skarpą wzgórz i zaroślami, wśród posepnego krajobrazu, pod pochmurnym niebem bez gwiazd.

Zaczął mówić, tym razem już spokojnie, choć szybko, a kiedy raz czy drugi chciałam wtrącić jakąś uwagę, silniej ścisnął moje ramię, dając mi do zrozumienia, żebym mu nie przerywała.

–

Jeden tak o mnie myśli, drugi inaczej... A co wy wszyscy o mnie wiecie? Co wiedzieli o mnie i Michaśce ci, co się w nasze sprawy wtrącali? Nic. Jakżebym ją mógł zabić, ja, który tak ją kochałem? Nie było dla mnie innej na świecie, która byłaby jej warta. Żadnej innej, z którą byłoby mi lepiej, jak z nią. Pan Bóg nas dla siebie stworzył, ją dla mnie i mnie dla niej. Miałem w życiu różne kobiety i wie pani... To bywa tak, że jak się tak jest razem, najbliżej, to czasem kobieta jest szybsza, czasem mężczyzna.

Ale my tak umieliśmy się kochać, że to było jak chodzenie krok w krok. Żadne z nas drugiego ani nie wyprzedzało, ani nie goniło, czuliśmy jak jeden człowiek, nie jak dwoje ludzi... Niech pani nic 34

nie mówi, niech mi pani nie przerywa, siostró. Ja muszę to komuś powiedzieć, bo zwariuję. Niech mnie pani wysłucha, chociaż mo-

że to głupio tak komuś opowiadać małżeńskie sekrety, a pani krę-

puje się tego słuchać. Ale proszę... Pani pewnie chciała zapytać, jak pogodzić, że kochałem Michaśkę i latałem za innymi babkami.

Sam nie wiem, jak to było, dlaczego. Taką widać mam naturę.

Chciwy jestem życia. Mnie zawsze wszystkiego mało. A jak już zobaczę ładną babkę, diabeł we mnie wstępuje. Na nic już wtedy nie zważam. Muszę ją mieć. Ale jak już ją mam, to mi zaraz brzydnie. I do żadnej drugi raz nie wracam. Tylko do Michaśki wracałem, jej jednej nigdy nie miałem dość. I po każdej innej mo-ja miłość z Michaśką była jeszcze lepsza. To było tak, jakbym wciąż sprawdzał, czy to prawda, że tylko my dwoje aż tak może-my się kochać. Porównywałem sobie Michaśkę z różnymi babkami i zawsze ona była górą. Wracałem do niej jak na skrzydłach.

To było dla mnie zawsze jak jakie wielkie święto – kochać się z moją żoną... Pani powiedziała, siostró: „Czy ona”... zdaje się, dobrze dosłyszałem. Chciała pani pewnie spytać, czy ona wiedziała o tym, czy mnie rozumiała. Czasem tak, a czasem nie. Dopóki była ze mną, wiedziała. A jak tylko szła do ludzi, jak jej zaczynali plotki o mnie znosić, jak jej matula zaczynała o mnie truć, był koniec pieśni. Płacze, dąsy, awantury. Ja tego nie cierpię, to się urywa-

łem. Tak było i z tą Heńką z komisju. Ale co mi tam Heńka. Jak tylko Michaśką do mnie do warsztatu, do huty zadzwoniła, że chce się ze mną widzieć, żeby się rozmówić, co i jak ma z nami być, już wcale nie pamiętałem, że w ogóle jakaś Heńka po świecie łązi. No i pogodziliśmy się. Wróciła do domu, ale potem spotkali-

śmy się jeszcze raz, po mojej zmianie, jeden przystanek stąd. Ja 35

piwo piłem, a ona śmietanę w pawilonie kupowała. Tam jest taki mały pawilon spółdzielczy. Potem wracaliśmy razem i rozmawialiśmy o naszych sprawach. Nie mogliśmy jechać tramwajem, bo był tłok, a ja miałem ze sobą rower, jak zawsze. Więc szliśmy tą właśnie drogą, co my teraz idziemy, piechotą, ja prowadziłem rower za kierownicę. Przed pagórką pomyślałem sobie, że chciałbym zrobić Michaśce jakąś przyjemność. Bo wczoraj była nasza rocznica ślubu, i jakże ja tak, bez kwiatka chociażby, pomy-

ślałem. Więc powiedziałem jej, że skoczę tylko na chwilę do miasta i zaraz wrócę. Że przyjadę od drugiej strony tamtą, bliższą drogą. Żeby było prędszej. I tak rozstaliśmy się. Ona poszła do domu, a ja pognąłem na rowerze do miasta. Kupiłem róże, takie, jak lubiła, herbaciane, trzy, i gazem z powrotem. A wtedy pani mi powiada: „Nie żyje żona”. Piorun we mnie strzelił. I jak ja mam teraz żyć, no jak? Ja tego, co ją zabił, spod ziemi wykopię...

Zamilkł. Wątpię, aby kiedykolwiek w życiu do kogokolwiek wygłosił taką długą mowę. Po chwili znów zaczął:

—

Widzi pani, tak to było ze mną i z Michaśką. A głupie ba-by plotą – to on, to on, to on... Pewnie mnie wsadzą przez babskie gadanie. Bo ja alibi nie mam. Tyle, że te kwiaty kupowałem, ale jaką drogą wracałem, z tego końca czy z tamtego, nikt nie potwierdzi, bo i nikogo nie spotkałem znajomego, kiedy jechałem.

Ale do pani to ja mam jedną sprawę...

—

Słucham. Jaką? – Doprawdy, nie miałam pojęcia, w czym mogłabym pomóc Karolowi Brydzie.

Mówił poważnie, z naciskiem, czułam, że bardzo zależy mu na tym, aby mnie przekonać:

—

Czekałem na panią tutaj naumyślnie. Nie chciałem

zaczepiać pani przy ludziach. Lepiej dla pani, bezpieczniej, żeby nikt nie słyszał, o co panią zapytam. Ja sobie pomyślałem tak: może pani widziała kogoś tu w pobliżu, kiedy pani znalazła wczoraj Michaśkę? Może to ktoś, kogo pani zna albo poznałaby pani, dajmy na to, na ulicy? Ale pani boi się powiedzieć na milicji ze strachu, że on szybciej panią zabije, niż milicja go złapie... Mnie może pani powiedzieć, ja sobie już z nim poradzę. I nikt nie bę-

dzie wiedział, że to pani go wydała. Będę pilnować, żeby nic się pani nie stało.

Zdumiała mnie ta prośba. Gdybym rzeczywiście kogoś widzia-

ła... Ale w tym rzecz, że właśnie nie dostrzegłam nikogo. Jeszcze raz ożył w mojej pamięci obraz mgły, kłębiącej się dookoła w przejmującej, głuchej ciszy. Wzdrygnęłam się. Nie chciałam jednak, żeby uznał moje zachowanie za tchórzostwo. Odpowiedzia-

łam prędko i stanowczo:

– Niech mi pan wierzy, panie Karolu, naprawdę nikogo nie widziałam. Droga była puściuteńka. No i ta mgła. Mógł być o dwa kroki ode mnie, ale i tak bym go nie zobaczyła. Bardzo chciałabym panu pomóc, ale po prostu nic nie poradzę na to, że tak było.

Niech mi pan wierzy.

Spochmurniał. Weszliśmy już na ścieżkę, prowadzącą przez krzaki na przełaj do przystanku. Teraz, ponieważ ścieżka była wąska, musieliśmy iść w pojedynkę. Szedł za mną i pomyślałam: jakie to dziwne, taki wysoki barczysty mężczyzna, a chodzi tak cicho, niemal bezszelestnie, jak gdyby płynął. I jeszcze jedno po-myślałam: a może to jednak on zabił? Może w taki podstępny sposób chce przekonać się, czy nie będę świadczyć przeciwko niemu? Zatrzymał się. Byliśmy już niedaleko przystanku. Przez kępy mizernych drzewek migotała latarnia i w jej świetle 37

dostrzegłam kilka osób, kulących się pod daszkiem. Z daleka rozlegało się dudnienie kół tramwajowych po szynach.

—
Ja już dalej nie pójde z panią – mruknął. – Po co mają nas widzieć razem. Byłby nowy temat do gadania. Przekłete baby.

Czułam się już teraz dość bezpieczna. Wystarczyłoby krzyknąć, ktoś z przystanku na pewno przybiegłby mi na pomoc. Stanę-

łam i odwróciłam się, żeby pożegnać towarzysza dość nieprzyjemnej drogi. Powiedziałam półzartem, wyciągając do niego rękę:

—
Nie myślałam nigdy, że z pana taki wróg kobiet, panie Karolu. Wszystko wskazywało zawsze na to, że jest odwrotnie.

Nie spodziewałam się, że moje niewinne słowa wywrą pioru-nujący skutek. Znów wyglądał tak jak wtedy, kiedy pytał mnie, czy wierzę, że to nie on zabił swoją żonę Michalinę. Zduszonym, chrapliwym głosem rzucał mi w twarz oskarżenia i słowa nienawi-

ści:

—
Tak. Tak. Nienawidzę bab. Za to, że właśnie tak mnie do nich niesie... Że tylko wtedy czuję się coś wart, kiedy się z nimi bawię... Że głupia baba mi potrzebna, żebym się sprawdził jako mężczyzna... Tak... jakbym sam przez siebie był tylko śmieciem.

Gardzę nimi, że takie łatwe, takie głupie, a żyć bez nich nie mogę.

A teraz jeszcze... Jak pomyślę, że tej jednej jedynej, tej, co była moja własna, nie ma, a tamte wszystkie, tamte inne będą sobie po świecie chodzić, będą się w lusterkach mizdrzyć, pyszczki sobie pacykować, ze swoimi chłopami się kochać... To ja... To ja bym je wszystkie... pozabijał. Pozabijał. Rozumie pani? A teraz niech pani prędko idzie. Niech pani ode mnie ucieka, bo...

Cofałam się, krok za krokiem, pod naporem jego wielkiej, na-cierającej na mnie postaci. Potknęłam się. Byłabym upadła, gdyby nie podtrzymał mnie za łokieć. Obrócił mnie twarzą w stronę przystanku i popchnął. Pobiegłam, kalecząc sobie ręce o kłujące gałęzie krzaków, aby tylko dalej, jak najdalej od tego człowieka, który chyba oszalał.

Po schodach mojego domu gnałam, przeskakując stopnie. Ze zdenerwowania nie mogłam trafić kluczem do dziurki zamka.

Kiedy już wreszcie znalazłam się w mojej norce, nie tylko spuści-

łam zatrząsk, ale jeszcze założyłam łańcuch i zamknęłam drzwi na dodatkową zasuwę. Opadłam na tapczan bez sił. Poczułam się wprawdzie nareszcie jako tako bezpieczna, ale w głowie myśli kłębiły mi się na podobieństwo wczorajszej mgły. Te insynuacje, te podejrzania pod moim adresem, takie nonsensowne, takie krzywdzące. I to ze strony ludzi, którzy tak dobrze mnie znali, którym wyświadczyłam tyle przysług. I ta dziwna, niepojęta dla mnie spowiedź Karola Brydy. Dlaczego, po co mi to wszystko opowiadał? A może on ma rację? Może rzeczywiście grozi mi niebezpieczeństwo ze strony zabójcy Michaliny, jeżeli morderca nie jest pewien, czy go przypadkiem nie zauważyłam?

I w co ja się wplątałam? Ta sprawa, niby zupełnie nie moja, nagle stała się jak najbardziej moja, własna, osobista. Cóż za chaos w moim unormowanym, szarym życiu!

Gonitwę splątanych myśli nagle przerwało czyjeś pukanie do drzwi. Najpierw postanowiłam w ogóle nie odzywać się. Ktokol-wiek stoi tam za drzwiami, ja nie mam do niego żadnego interesu.

Wolę nie wiedzieć, kto to jest i czego ode mnie chce. Pukanie powtórzyło się jednak i to tak natarczywie, tak donośnie, że w 39

końcu nie wytrzymałam. Zwlokłam się z tapczana, podeszłam do drzwi i zapytałam, przezornie nie otwierając:

—

Kto tam?

Odpowiedział mi pełen szczerego niepokoju głos Irenki Zdebniakowej:

—

Hanka, otwórz, to ja, Irena.

Nie będę się przecież wygłupiać. Otworzyłam. Stała przede mną, malutka, okrągłutka, rumiana, z wielkim, jasnym warko-czem, upiętym niezbyt modnie w koronę dookoła głowy, bezu-stanne uosobienie najżywotniejszej energii, jaką znam. Wpijała we mnie badawczo swoje duże, jasnoorzechowe oczęta:

–
Co ty, Hanka, wyprawiasz?

–
A bo co? – spytałam bardzo nieinteligentnie, czyli z głupia frant.

–
Ukrywasz się czy jak?

–
Właśnie, przed milicją – burknęłam niezbyt uprzejmie.

–
Idiotka – skwitowała bezlitośnie i, nie czekając, aż oprzytomnieję, przeciągnęła mnie siłą prosto w otwarte naprzeciwko drzwi. Ledwo zdołałam zamknąć moje mieszkanie i wsadzić klucze do kieszeni.

Na stole czekała przygotowana już dla mnie filiżanka mocnej herbaty. Piłam ją tak, jak gdybym od nie wiem jak dawna nie mia-

ła w ustach żadnego płynu. Poprosiłam o następną.

Szkraby już spały, starsi państwo poszli do kina, Irka była sama i koniecznie chciała, żebym obejrzała z nią w telewizji jakiś kryminalny film. Na ogół przy podobnych seansach Stasiak nie dotrzymywał nam towarzystwa albo siedział i śmiał się do rozpuku. Mawiał zawsze, że gdyby milicja czy policja tak pracowały, 40

jak to w kinie pokazują lub opisują w kryminalnych powieściach, przestępcy grasowaliby bezkarnie całymi hordami. Robił też rzecz jeszcze gorszą: z góry zapowiadał nam, jaki będzie dalszy ciąg akcji. Wtedy Irka brutalnie eksmitowała go do kuchni. W domu bowiem porucznik Zdebniak jest bez wątpienia podkomendnym, i to w bardzo niskim stopniu służbowym. Wynosił się zawsze potulnie, zabierając ze sobą stertę pamiątek historycznych, w których pławi się bez opamiętania.

Ale tego wieczora Staśka jeszcze nie było w domu. Byłam wdzięczna Irenie, że nie porusza w ogóle sprawy Brydowej. Film, na szczęście, odwołano z powodu przedłużającej się transmisji sportowej. Byłam uszczęśliwiona: na dłuższy czas mam dość wątków kryminalnych. Gadałyśmy z Ireną o byle czym. Opowiadała o zabawnych tarapatach swojej parki bliźniąt, a ja zrewanżowałam się barwną opowieścią o tym, jak uwalnialiśmy z Kosmą głowę Wacia z emaliowanego garnka.

– Cóż to wam tak wesoło? – rozległ się w pewnej chwili męski głos z sionki.

Jeszcze nie zdążył usiąść, gdy już parował przed nim na stole talerz wspaniałej kartoflanki z zacierkami. Irena jest znakomitą gospodynią i bardzo dba o swojego Stasia. Zupa była godna poematu: foremne zacierki lśniły jak perełki, skwarki pulchnością i kolorem przypominały rodzyunki, nad złocistym płynem unosił się aromat, drażniący nozdrza.

Skorzystałam z okazji, kiedy wpakował do ust pierwszą kopia-stą łyżkę przysmaku, i bąknęłam złośliwie:

– Już teraz wiem, dlaczego Irka musi ci co tydzień guziki w mundurze przesuwać...

Była to aluzja do jego tęgawej sylwetki, która rzeczywiście 41

zaczęła się ostatnio niefortunnie zaokrąglać. Łypnął na mnie złym okiem i wymamrotał, przetykając łakomie następną porcję:

–

Poganiałabyś tak cały dzień jak ja, bez obiadu...

Irka znalazła się jak trzeba: żeby mnie unieszkodliwić i nas pogodzić, postawiła przede mną taki sam talerz zupy. Nie odmówi-

łam. W moim barze mlecznym „Pod Jagódką” kuchnia zepsuła się, od kiedy jego kierowniczka poszła na macierzyński urlop.

–

No – powiedział Stasiak, wyławiając skrzętnie ostatnią zacierkę z dna talerza – możesz już, Eulalio, jeździć spokojnie swoim mercedesem na Zalipie.

–

Dlaczego „Eulalio”? – zdziwiła się Irena zbierając talerze ze stołu.

Popatrzyliśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem. Wyjaśni-

łam:

–

Bo wiesz, on mnie pytał na przesłuchaniu, jak ja się nazywam. Powiedziałam, że Eulalia Pstryk.

–

Uwierzył? – roześmiała się swoim miłym i dźwięcznym śmiechem.

–

Prawie. Ale zaraz sprawdził, czy nie bujda.

–

Wszytko musimy sprawdzać, siostró – powiedział tonem osoby dorosłej, pouczającej małe dziecko.

–

Ładnie byś wyglądała, gdybyśmy nie posprawdzali każdego drobiazgu. Zanimby się doszło prawdy, daliby ci wycisk na Zalipiu...

–

To już i do was dotarło? – zapytałam niechętnie.

–

A jak myślisz?

–

Co takiego? – zniecierpliwiła się Irena. – O czym wy mówicie?

–

Na tematy służbowe w domu nie rozmawiam – powiedział

pół żartem, pół serio – ale tym razem zrobię wyjątek. Ktoś 42

wymyślił, że Hanka przejechała Brydową, a potem sfingowała morderstwo. Trzeba było oczywiście tę wersję wykluczyć. Ani ślady kół jej motocykla, ani stan pojazdu nie wskazują na to...

–

No i chyba sekcja też – warknęłam.

–

Sekcja wykazała, że najpierw ktoś uderzył Brydową czymś ciężkim w głowę, a potem udusił. Ale zmarła nie od ciosu, tylko od uduszenia.

Przez chwilę milczeliśmy, a potem zdobyłam się na pytanie, obawiając się, iż z góry mogę przewidzieć odpowiedź:

–

Czy tylko dlatego mogę już jeździć na Zalipie, że stwierdziliście moją niewinność?

Stasiek Zdebniak to dobra dusza. Kiedy złapie przestępcę, oczywiście, zdaje sobie sprawę, że to jego zawodowy sukces, ale nigdy nie zauważyłam, żeby się tym szczególnie entuzjasmował.

Tak było i tym razem. W jego głosie było więcej powagi niż du-my:

—

Nie, nie tylko. Przed godziną aresztowaliśmy mordercę.

Nie zapytałam, kim on jest. Pomyślałam tylko, że musiało się to stać wkrótce potem, gdy Karol Bryda kazał mi uciekać od siebie w kierunku przystanku tramwajowego. Ale Irka nie wytrzyma-

ła:

—

Kogo? Powiedz nareszcie! I tak jutro w gazecie przeczytam. Ty wiesz, Hanka, że ja się takich rzeczy z gazet muszę dowiadywać?

—

Aresztowaliśmy Karola Brydę.

Rozdział 3

Nie należę do modniś ani elegantek. Ubieram się dość porządnie, lecz skromnie – tak jak mnie na to stać. Na kreacje, proponowane przez „Przekrój”, patrzę zawsze z pobłażliwym rozbawieniem: niechbym tylko spróbowała włożyć na siebie coś takiego i pojawić się w przychodni albo w domach moich pacjentów! O

staranny wygląd muszę jednak dbać – nawet, jeżeli nie bardzo mam dla kogo się upiększać...

Tak więc wśród zamieszania, spowodowanego przez tragedię na Zalipiu, nadszedł w końcu moment, gdy opamiętałam się i stwierdziłam, że koniecznie muszę pójść do fryzjera. Tym bardziej iż zostałam oficjalnie zaproszona na imieniny Irki Zdebniakowej.

Z tej okazji przychodzi do niej zawsze mnóstwo osób, jeżeli już nie na herbatę z doskonałą szarlotką, to chociażby po to, aby wrę-

czyć jej kwiatek. Irka jest bardzo popularna nie tylko w naszym bloku, ale i w całym osiedlu, które wyrosło od niedawna na peryferiach miasta. Ta mała kobietka, prowadząca dom i zajmująca się troskliwie czworgiem dzieci (dwoje z nich to parka bliźniąt), znajduje jeszcze z powodzeniem czas na zajmowanie się tysiącem spraw jako członkini komitetu blokowego. Jej dziełem jest i plac zabaw dla dzieci, i zorganizowanie sąsiedzkiej pomocy dla samotnych staruszków, i młodzieżowy klub „Kaktusy”. Stało się już 44

tradycją, że w dniu imienin ułatwiam jej zmagania z procesją hoł-

downiczą wdzięcznych mieszkańców osiedla, wielbicieli jej organizatorskich talentów.

W Świerniku istnieje, oczywiście, sporo małych, peryferyjnych, jedno- czy dwuosobowych zakładów fryzjerskich, ale do dobrego tonu należy popieranie jednego z dwóch okazałych i – na miarę Świernika – wykwinnych salonów fryzjerskich. Oba mieszczą się przy głównym placu, jeden po jednej jego stronie, drugi – po drugiej, jak na przeciwległych biegunach Ziemi. Konkurencja, trwająca między nimi od lat, przerodziła się już od dawna w zacieklą wojnę bez pardonu, w której orężem są nie tylko grzebienie, szczotki i wałki do nawijania loczków, lecz przede wszystkim – języki.

–
Czy pani mecenas nie uważa – cedzi słodziutko pan Feliks, pochylając się konspiracyjnie nad znaną w Świerniku adwokatką, panią Zofią Lister – że pani sędzina Kwapieniowa ostatnio chodzi tak bardzo niekorzystnie uczesana?

Pani sędzina Kwapieniowa jest przyjaciółką pani Zofii i wiadomo, że ta krytyczna ocena dotrze do niej jeszcze tego samego dnia. Pani sędzina czesała się zawsze u pana Feliksa, ale obraziła się na niego, gdy w przedświątecznym tłoku pomylił kolejność czekających pań i poprosił do czesania przed sędziną jakąś osobę zupełnie nieważną w społecznej hierarchii. Pani sędzina opuściła wówczas salon pana Feliksa, fukając jak rozzłoszczona kotka, i zapowiedziała, że noga jej nie przestąpi już nigdy tego progu.

Czesze się teraz naprzeciwno u pani Ewy i wysłuchuje tam prawdopodobnie komentarzy:

–
Pani sędzino! Niech pani szepnie na ucho pani Zofii, żeby nie pozwoliła się tak okropnie czesać. Nietwarzowo. Ta fryzura 45

postarza ją najmniej o dziesięć lat. Zdaje się... że to pan Feliks ją czesze? No, właśnie...

Ewa, gwiazda salonu fryzjerskiego, konkurującego z panem Feliksem, czesze rzeczywiście niebrzydko, nowocześnie, modnie i co najważniejsze – szybko. Może jednak właśnie – za szybko. Bo każda z nas, kobiet, chociaż wpada do fryzjera tradycyjnie jak po ogień, wołając od drzwi: „Okropnie się śpieszę, mam tylko godzinę czasu” – lubi sobie u fryzjera posiedzieć. Każda zabiegana, zapracowana, najczęściej obciążona pracą zawodową i domem, zakłopotana licznymi potrzebami swoich bliskich – w zakładzie fryzjerskim staje się sama przedmiotem starań i wyłącznej troski.

Nareszcie może rozsiąść się spokojnie, nie zmuszana przez nikogo co chwilę do jakiegoś działania. Może sobie spokojnie przejrzeć tygodniki, może pogrymasić, wysłuchując duserów pana Feliksa i jego klasycznego sformułowania: „Nie ma brzydkich kobiet, zdarzają się tylko brzydko uczesane”.

Pan Feliks szorstkim włosom nada miękkość, matowym –

blask, bezbarwnym – kolor, i każdą twarz, bodaj najmniej urodziwą, oprawi w kunsztowną fryzurę, jak w ozdobną ramkę. Przy tym wszystkie te zabiegi wyraźnie sprawiają mu przyjemność. Bawi go ta jego praca, czy jest taki sumienny – nie wiem, ale przeciąga w nieskończoność stadium wykańczania fryzury. To wysunie jeszcze jakiś kosmyk, to loczek nastrzępi, to falę skieruje w inną stronę, to podniesie czubek koafiury, to go przyklepie. I nic nie pomaga argument, że i tak włożony za chwilę kapelusz lub zawiązana chustka naruszą tę misterną konstrukcję.

Czasami żartuję:

46

–
Pan, panie Feliksie, powinien być zostać jubilerem. Albo rzeźbiarzem. Albo architektem.

Na to pan Feliks odpowiada pogodnie, delikatnym ruchem swoich ładnych, przyjemnych rąk przyplaszczając zbyt sterczące nad uszami loczki:

–
No i widzi pani, zostałem fryzjerem. Co robić, tak się złożyło.

–
Ale przecież pan lubi swój zawód – nalegam, bo byłoby mi przykro, gdyby sądził, że uważam fach damskiego fryzjera za gorszy od innych.

–
O tak! – potwierdza moją sugestię, a oczy jego w tym momencie przybierają rozmarzony wyraz.

Przede wszystkim jednak myślę, że my, kobiety, lubimy chodzić do fryzjera, gdyż jest to jedno z niewielu już miejsc, gdzie można zbiorowo poplotkować. W każdym razie w takim stosunkowo niedużym mieście, jak nasz Świernik, w którym większość ludzi zna się, jeżeli już nie osobiście, to w każdym razie z widzenia czy słyszenia. No cóż, w erze pralek elektrycznych i pralni miejskich odpadł nam magiel, a w kolejce u rzeźnika każda jest zbyt zaabsorbowana wypatrywaniem odpowiedniego kawałka mięsiwa, aby zajmować się sprawami bliźnich.

Tego dnia, kiedy zdecydowałam się złożyć panu Feliksowi wizytę, miał sporo klientek. W dodatku żadna nie chciała przejść ani na fotelik, przy którym cesał pan Bronisław, ani powierzyć swojej głowy równie jak Feliks zręcznemu panu Zdzisławowi. Zbiły-

śmy się w gromadkę, czekając cierpliwie, i oddałyśmy się nałogowi gadulstwa. O czym mówiliśmy? Oczywiście o sprawie Michaliny i Karola Brydów.

– Ja wam powiadam, że Karol zabił żonę z zazdrości –

47

mówiła tonem nie znoszącym sprzeciwu Bronia Wiśniewska, kierowniczką domu towarowego.

–

Też coś – zaoponowała pani Gienia Nowakowa, nauczycielka z technikum mechanicznego – przecież to on ją zdradzał, a nie ona jego.

–

Każdy mąż żonę zdradza, ale swego pilnuje – upierała się pani Bronia, pretendująca do miana znawczyni spraw małżeńskich z tej racji, że dwukrotnie już zmieniła życiowego partnera. – Mówiła mi Brydowa nie dalej jak tydzień temu, kiedy po rajstopy dla Mirki przyszła, że z Karolem się rozejdzie i za Franka Kuczmę za mąż pójdzie. No, wiecie, tego z kopalni, gdzie jej ojciec robił. On za Michašką latał, kiedy jeszcze panną była. A widać nie zapomniał, bo do dziś się nie ożenił. Miałaby z nim dobrze, wyższe studia zaocznie skończył i w nadzorze ma wysokie stanowisko...

–

Ja tam w żadną zazdrość nie wierzę – wtrąciła się Jula Kordaszewska, mieszkająca na Zalipiu niedaleko Brydów. – Zwyczajnie, Heńka swego nic nie ma, bo na ciuchy wszystko przepuszcza. Co by mieli, ona i Karol, gdyby nawet Michaška rozwód mu dała? Nic. Niebo nad głową. Przecie ojciec jeszcze przed śmiercią dom na Michaškę przepisał, jej to było, własne. Co innego jak Michaška nie żyje. Nie ma żadnej racji, żeby Karol z domu się wynosił. Przejdzie rok, dwa, matka umrze i ożeni się Karol z kim wola. Choćby i z Heńką.

To obszerne wyjaśnienie nie zadowoliło wszystkich pań. Widziałam po ich minach, że nie każda gotowa była kamienować Karola Brydę.

–

A czy to takie pewne, że on ją zabił? – odezwała się jakaś młoda dziewczyna, której nie znam.

Sekretarka z Powiatowej Rady Narodowej, Bożenka Pieścik, 48

zrobiła tajemniczą minę i półgłosem oznajmiła:

–

Mają niezbite dowody. Ktoś to mówił naszemu przewodniczącemu. Ślady kół roweru Brydy, zupełnie świeże, kończyły się w tym miejscu, gdzie ją zabito. I widać było, że potem zawrócił i pojechał do miasta.

Pomyślałam sobie w tym momencie: przecież mówił mi o tym.

Ale jak to było naprawdę? Tak jak mnie wyznał, czy tak jak wnio-skują jego oskarżyciele?

—

A najgorzej – dorzuciła jeszcze Bożenka – że on żadnego alibi nie ma. W tym czasie, kiedy Brydowa zginęła, nikt Brydy w mieście nie widział.

—

Właściwie o której zginęła Brydowa? – zainteresowała się pani Gienia.

Teraz wszystkie obróciły głowy w moją stronę. Uważały mnie za osobę najbardziej kompetentną. Słuchałam dotychczas gorliwie, ale przyznam się, że włączyłam się do wymiany zdań niechętnie. Gdybym jednak odpowiedziała po prostu, że nic na ten temat nie wiem, po pierwsze byłoby to nieprawdą, a po drugie kumy poobrażałyby się na mnie na śmierć. Mruknęłam w miarę możliwości beznamiętnie:

—

Ja znalazłam Brydowa o siódmej. A lekarze stwierdzili, że jej zgon nastąpił między szóstą trzydzieści i szóstą czterdzieści pięć.

Teraz przyłączyła się do nas Mariolka Kozubówna, śliczna, czarnooka bruneteczka, ekspedientka z kwiaciarni o dźwięcznej nazwie „Anemon”. Właśnie skończono zakładać jej wałeczki z płynem do trwałej ondulacji i musiała odczekać swoje dziesięć minut pod plastikowym kapturem. Głosik miała cieniutki, jak mała dziewczynka:

—

Mnie bardzo dokładnie wypytywali, o której pan Karol 49

kupował kwiaty. Powiedziałam, jak było. Już zamknęłam sklep, bo minęła siódma. Jeszcze ubierałam się i chowałam róże na za-pleczu. Ale jak pan Karol zaczął walić w szybę, to myślałam, że drzwi rozbije. Więc otworzyłam i mówię do niego, i pokazuję zegarek, że pięć po siódmej. Na to on do mnie: „Mariolka, zlituj się, daj mi tylko trzy herbaciane róże. Migiem. Jutro dostaniesz ode mnie za to czekoladki”. Powiedziałam mu, że może mi czeko-ladek nie przynosić, i tak mu sprzedam. Herbacianych róż wolę się szybko pozbywać, bo delikatny towar, szybko wędną. Ale ciekawa byłam dla kogo, bo Henec tylko czerwone goździki kupował.

Pytam go: „Cóż to, panie Karolu, coś się panu odmieniło?” A on popatrzył na mnie tak jakoś dziwnie i odpowiedział: „Żebyś wiedziała, jak się odmieniło”...

Wysłuchałyśmy Mariolki z dużym zainteresowaniem. Podsu-mowała dyskusję Bronia Wiśniewska, bo zawsze lubiła mieć ostatnie słowo:

– Swoją drogą trzeba by było popytać ludzi. Może go kto widział w mieście w tym czasie, a nie wie, że to ważne. Szkoda chłopca, gdyby naprawdę nie był winien...

Cała ta rozmowa tak wytrąciła mnie z równowagi, że pan Feliks aż trzy razy musiał mnie wzywać do zajęcia miejsca przed lustrem. Roztargniona, odpowiadałam coś bez sensu, gdy pytał

mnie jak zwykle, z nadskakującą uprzejmością, czy ma przyszczyć włosy, czy też zrobimy to dopiero następnym razem. Bo ja strzygę się dość krótko, fryzurę noszę prawie męską, sprawia mi ona po prostu mniej kłopotu. Mamrotałam „tak” i „nie”, aż pan Feliks roześmiał się i oświadczył, że zrobi po swojemu, gdyż lepiej wie, czego mi potrzeba. Zgodziłam się potulnie i pograżyłam w kłopotliwych rozważaniach. A miałam nad czym się zastanawiać.

50

Jest może jakiś człowiek – powiedziała Bronia – który mógłby i powinien pomóc Karolowi Brydzie, jeżeli jest on niewinny. A czy ja nie mogłabym pomóc? Nie powiedziałam Zdebniakowi ani słowa o moim spotkaniu i o rozmowie z Brydą na drodze w Zalipiu. Tymczasem może to jego wyznanie, które mi wtedy zrobił, jest ważne? Może odciążyłoby go, oczyściło z podejrzeń? Ale, z drugiej strony, cóż jest ono warte? To były słowa, tylko słowa. Ja sama nie bardzo skłonna byłam im wierzyć. I to nasze dziwne rozstanie, jego brutalne zachowanie się... Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Dlaczego zataiłam to wszystko przed Staśkiem? Cóż, trzeba się przyznać do grzechu tchórzostwa. Dość miałam tej sprawy. Nie chciałam wplątywać się w nią jeszcze bardziej, kiedy mnie samej udało się wyjść cało z opresji. Czy powinno się jednak tak robić, skoro chodzi o czyjeś życie? W mojej głowie kłębiło się od wątpliwości i tak się zamyśliłam, że aż drgnęłam, kiedy pan Feliks poświęcający się dotychczas w nabożnym milczeniu mojej fryzurze przerwał je i odezwał się niespodziewanie:

– Panie rozmawiały, zdaje się, o Karolu Brydzie? To taki wysoki, przystojny brunet, prawda? Jaki dziwny zbieg okoliczno-

ści... Wie pani, ja go widziałem o pół do siódmej. Pracowałem tego dnia na porannej zmianie i miałem popołudnie wolne. Poszedłem do kina, a potem spacerowałem trochę po mieście, żeby się rozejrzeć, co w sklepach nowego. Może źle mówię, to nie było pół

do siódmej, ale chyba za dwadzieścia siódma. Tak, na pewno.

Spojrzałem wtedy na zegarek, bo chciałem zdążyć na siódmą do domu. Umówiłem się na tę godzinę z jedną sąsiadką. To staruszka i nie wychodzi już zupełnie z domu. Wpadam do niej czasami, żeby ją uczesać. Rozumie pani, taka sąsiedzka przysługa... No i 51

właśnie wtedy potrafił mnie taki gość, wysoki, brunet, przystojny.

Znajoma twarz. Kurtkę miał skórzaną. Prowadził rower. Chciałem mu coś przygadać, ale tak wyglądał, że wolałem się nie narażać.

Ja jestem człowiek spokojny, nie lubię awantur.

Ocknęłam się z zamyślenia natychmiast.

–
Fanie Feliksie! – zawołałam żywo. – Ależ to bardzo ważne, co pan mówi. Gdzie go pan spotkał?

–
Na Kraszewskiego.

– Zaraz, zaraz... Obliczmy to. Milicja wyliczyła, że z tego miejsca, gdzie zabito Brydową, trzeba jechać rowerem pół godziny do kwiaciarni. Więc gdyby Bryda zabił żonę wpół do siódmej, czy nawet za dwadzieścia pięć siódma, mógłby być w kwiaciarni pięć po siódmej. Ale jeżeli był na Kraszewskiego za dwadzieścia siódma, a to więcej niż połowa drogi od Zalipia do kwiaciarni, to znaczy, że naprawdę rozstał się z Michaliną kwadrans po szóstej, tak jak twierdzi. Czyli wtedy, kiedy ona jeszcze żyła. Ale w takim razie powinien był zjawić się w kwiaciarni za kwadrans siódma, a nie pięć po siódmej. Czy nie? Coś tu jednak nie sztykuje.

Mariolka Kozubówna przysiadła się do nas. Umyto już jej głowę. Pomyślałam, że tak ładnej dziewczyny, jak ona, nic nie potrafi zeszpecić, ani wałki na głowie, ani mokre, zwisające kosmyki. Miała cygańską urodę, śliczną figurkę i była tak drażniąco, żywiołowo młoda, że niedobra zazdrość zakołatała we mnie jak serce przy szybkim biegu. Mariola wtrąciła się:

–
Kiedy Bryda otwierał teczkę, żeby zapłacić za kwiaty, bo tam miał portfel z pieniędzmi, widziałam w niej zakupy. Była chyba butelka wina, cytryny i zdaje się ciastka. Może właśnie 52

przez te dwadzieścia minut robił zakupy i dlatego do mnie podjechał dopiero pięć po siódmej.

–
To by się zgadzało – przyznał pan Feliks – zdaje się, że kiedy mnie minął, wszedł do jakiegoś sklepu czy cukierni. Rower oparł o latarnię.

–
Panie Feliksie – powiedziałam uroczyście – musi pan koniecznie to wszystko zeznać na milicji.

Skrzywił się niechętnie:

–
Ależ panie energiczne... Żałuję, że się przyznałem. Widzi pani, ja strasznie nie lubię wtrącać się w czyjeś sprawy. No i w ogóle... Jak zaczną potem człowieka po sądach ciągać, to kiedy ja będę pracować? Kto moje panie uczesze?

—
Panie Feliksie, musi nam pan przyrzec, że pan to zrobi.

Nie można przecież dopuścić, żeby Bryda za kogoś pokutował.

Ktoś inny zabił, a wszystko na niego spadło.

—
Może pani ma rację – westchnął z rezygnacją. – Zastanowię się jeszcze. Pomyślę. Dziś i tak już za późno. Jutro pójdę na milicję.

Zdjął mi z ramion kolorową narzutkę w kwiatki, strzepnął ją profesjonalnym gestem i z satysfakcją orzekł:

—
Gotowe.

Przejrzałam się w lustrze. Rzeczywiście, nie powinnam się wtrącać w styl mojego uczesania. Pan Feliks istotnie wie lepiej, jak uczynić moją przeciętną urodę zupełnie pociągającą. Chciałam już iść, kiedy złapała mnie za rękę Mariola:

—
Siostro Anno, niech pani na mnie trochę poczeka. Boję się wracać sama przez te nasze wertepy. I chciałam jeszcze z panią o czymś porozmawiać. Musi mi pani w jednej sprawie poradzić.

53

—
Czy koniecznie dziś? – popatrzyłam na zegar ścienny, wskazywał szóstą. O siódmej muszę być u Zdebniaków.

—
Tak, tak. Bardzo proszę!

Trudno mi było jej odmówić. Zgodziłam się i cierpliwie rozwiązywałam kolejno wszystkie nie dokończone przez klientki krzyżówki w różnych tygodnikach, dopóki Mariolka nie opuściła fotelika przed lustrem. Na pięknej fryzurze niedbale związała chustkę i wzięła mnie pod rękę:

—
Idziemy.

Nadal byłam spieszona, gdyż mój motocykl powędrował do warsztatu remontowego. Pojechałyśmy więc tramwajem, a potem szłyśmy od przystanku do osiedla wolnym krokiem. Wszystkich dróg tu jeszcze nie wykończono, rzeczywiście o niektórych przej-

ściach można było bez przesady powiedzieć: wertepy. Gdzieś tam leżały jeszcze porozrzucane resztki materiałów budowlanych, jakieś popsute elementy betonowe, stopy żelastwa, przewrócone taczki, rury i deski. Mijało nas sporo osób, lecz Mariolce to nie przeszkodziło, gdy wybuchnęła nagle płaczem i rzuciła mi się w objęcia:

—
Och, Anno, siostró Anno, jaka ja jestem nieszczęśliwa! Ja się chyba zabiję!

Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że ta śliczna dziewczyna, promieniejąca radością życia, może pragnąć ucieczki w śmierć.

Więc może lepsze to moje szare, monotonne bytowanie, w którym nie dzieje się nic bardzo dobrego, ale też nic najgorszego? Przytuliłam ją lekko do siebie i usiłowałam dowiedzieć się, o co chodzi:

—
Cóż to takiego ci się stało, Mariolko? Pewnie posprzecz-

łaś się ze swoim chłopakiem. Przyznaj się.

54

Mariolka nie mieszkała wprawdzie w moim bloku, tylko w są-

siednim, ale w naszym osiedlu wszyscy się znamy. Wiedziałam więc, że odnajmuje sublokatorski pokój u swojej dawnej nauczycielki z technikum ekonomicznego, że pochodzi ze wsi, że ma osiemnaście lat i że praca w „Anemonie” to jej pierwsza w życiu posada. Widywałam też ją czasami ze szczupłym, rudawym młodzieńcem o zmierzwionej czuprynie i ładnych, zielonkawych oczach. Nie był wysoki, lecz sprawiał wrażenie silnego, wysportowanego, trzymał się prosto i chodził sprężystym, a jednocześnie płynnym krokiem. Wyglądali na bardzo w sobie zakochanych. O

cóż mogłam posądzać Mariolkę? Dziewczęta w jej wieku na ogół

nie mają zwyczaju lamentować wniebogłosy z powodu jakiegoś niepowodzenia w pracy. Jeśli natomiast zdarza się im tragedia, w której upatrują utratę jakiegokolwiek życiowego celu – jest nią zawsze miłość.

Nie omyliłam się i tym razem, lecz sprawa miała się o wiele gorzej, niż przypuszczałam. Przerywane szlochem słowa rwały się potokiem nie do powstrzymania. Widziałam kiedyś w Tatrach ślady huraganu. Na trasie, którą przeszedł wiatr, znikła cała uroda górskiej przyrody. Piękne świerki leżały pokotem poprzelamywane jak zapałki albo powyrywane z korzeniami. Warstwę gleby jak gdyby ktoś przeorał gigantycznym pługiem: zdarta darń i zmieciona ściółka jak zerwana skóra obnażały żywe

ciało zbocza – litą skałę wnętrza z wgłębieniami, śladami ran po wyłamanych i po-rozrzucanych głazach. Chaos i ruina. Miną dziesiątki lat, zanim na takie spustoszone zbocze, na taki wiatrołom powróci żywa zielen.

Beztraskie, trochę może lekkomyślne, lecz ładnie zapowiadające się życie Marioli uległo podobnemu przeobrażeniu. Ze złudzeń, 55

marzeń i nadziei po kataklizmie nie pozostanie w nim nic. W to miejsce przyszły ból, zawód i strach. Ufna miłość zmieniła się we wstręt. Mariola mówiła:

– Pani mnie nieraz nim widziała. Ma na imię Rysiek. On tu najpierw przy budowie elektrowni pracował. Z domu uciekł od matki, już dawno, bo ona drugi raz za męża wyszła, a jemu ojczym się nie podobał. I uczyć się nie chciał. Obijał się, ale potem sam zapisał się do cyrkowej szkoły. On jest okropnie zręczny. I silny.

Ale w cyrku mu się nie podobało, bo straszna harówka. Potem tańczył w jednym zespole regionalnym, ale go wyrzucili, bo za-czął pić. Koledzy go wciągnęli. A potem boks trenował. I też się skończyło. Powiedzieli, że jak nigdzie nie pracuje, to go nie mogą trzymać. No i wtedy przyszedł tutaj na zwyczajnego robotnika przy budowie. Mieszka w hotelu robotniczym, w tych drewnia-nych barakach, wie pani, jak się do Zalipia jedzie, to się je mija.

Mówię to, żeby mnie pani zrozumiała. Dlaczego ja, głupia, poza-

łowałam go i dałam się wziąć na ładne słówka. Jak chłopaki mó-

wią – na bajer. No bo jak się ktoś tyle po świecie naobijał, ma o czym opowiadać. Jakie on różne historie zna! Jakie miał przygo-dy, ojej, mówię pani! Ja to aż oczy wytrzeszczałam. Wprost wierzyć się nie chce... Jak raz po linie w cyrku chodził z takim długim drągiem, noga mu się omsknęła i byłby się rozbił, ale zaczął się z tym drągiem dookoła liny obracać. Wszyscy myśleli, że tak ma być, i bili mu straszne brawa. I takie tam jeszcze inne hece opowiadał. Ja wtedy jeszcze do szkoły chodziłam, to było w zeszłym roku.

Chłopaki mnie raz w parku zaczepiły, a on mnie wybronił.

Ciach, ciach, patrzę, jeden leży, drugi nogami się nakrył, trzeci wyrywa w krzaki. To on ich tak urządził. Jeden – trzech. No i 56

zaczęliśmy ze sobą chodzić. Do kina, na tańce. Latem do lasu, na wycieczki. Mówił, że takiej jak ja jeszcze nie spotkał i że mu okropnie źle na świecie, bo jest sam i nie ma domu ani nikogo.

Przeniósł się z elektrowni na budowę bloków i obiecywali mu, że za rok czy dwa w takim bloku mieszkanie mu dadzą. „Jak już będę miał chatę – mówił – to się pobierzemy...” Ja już nawet do domu napisałam, że mam narzeczonego, że go na święta przywiozę ro-dzicom pokazać. Raz, w sierpniu to było, poszliśmy do lasu na grzyby. W sobotę, specjalnie prosiłam moją szefową, żeby mnie wcześniej zwolniła. Patrzę, a on przychodzi tam, gdzie umówili-

śmy się, z dużą paką. „Co to jest?” – pytam. „Namiot – odpowiada. – Prześpimy się w lesie, o świecie

grzyby najlepiej zbierać, zanim wycieczkowicze nie wydrapią wszystkiego.” No i nie wiem... Nie wiem, jak to się wtedy stało. Tak mnie całował, tak mnie pieścił, tak namawiał, że ja... w tym lesie... w tym namiocie...

Urwała, zmęczona płaczem i mówieniem. Otarłam jej łzy moją własną, czystą chusteczką i posadziłam ją na dużym odłamie be-tonu jakieś dwa, trzy kroki od chodnika. Usiadłam obok i wyrazi-

łam moje przypuszczenie.

–
No i co, jesteś pewnie teraz w ciąży, a on nie chce się że-nić, bo nie macie gdzie zamieszkać. Myślisz, że tobie jednej taka rzecz się przytrafiła. Zawsze jakieś wyjście się znajdzie. Trzeba tylko będzie pomyśleć nad tym.

Popatrzyła na mnie swoimi pięknymi czarnymi oczyma spod długich, wywiniętych rzęs, ni to z politowaniem, ni to ze zdumieniem, że jestem taka naiwna, taka stara, a niedoświadczona w porównaniu z nią, osiemnastolatką.

–
Nie to! Nie tak! – prawie krzyknęła zniecierpliwiona. –

Siostro! On jest chory. On mnie zaraził. Siostro, rozumie siostra?!

57

On nie tylko zrobił mi dziecko. Ja teraz jestem tak samo chora jak on.. Wołała „siostro, siostro” i z całej siły szarpała mnie, to za rękaw płaszcza, to za klapy.

Próbowałam sprowadzić rozmowę na rzeczowe tory, bez rozpacz i hysterii.

–
Czy to pewne? Skąd wiesz? Czy byłaś u lekarza?

Teraz była wściekła. W jej głosie brzmiała nienawiść i pogarda:

–
Pewnie, że wiem. Pewnie, że byłam u lekarza. Najpierw do ginekologa poszłam, a on mnie do poradni „W” skierował.

Myślałam, że się ze wstydu spalę albo pod ziemię zapadnę. Oni mi tak mówią: „Podaj kontakt”. To ja im uciekłam. No i mówię do niego: „Rysiek. Tak i tak. Leczyć mnie nie będą, jeżeli nie powiem im, z kim”. A on na mnie z pyskiem, za przeproszeniem:

„Spróbuj tylko powiedzieć. Już ja cię urządzę”. I wyśmiał mnie.

Powiedział, że naumyślnie mi to zrobił. Bo go denerwowało, że ze mnie takie niewiniątko. Że oddał mi to, co sam od babki dostał.

Od jakiejś bardzo eleganckiej pani nad morzem, kiedy tam występ-

pował z tym swoim regionalnym zespołem. I że teraz jego łaska będzie zostać ze mną czy nie. Potem zaczął płakać, przeproszał

mnie, że taką krzywdę mi zrobił. Namawiał, żebym z nim pojechała gdzieś w Polskę, wszystko jedno gdzie. „Wszędzie da się żyć” – powiedział. A jak mu powiedziałam, że nie chcę zgnić za życia, uderzył mnie i mówi nagle: „Ty, uważaj, bo ja już niejedną babkę ukróciłem”... I że mnie już wcale nie chce, bo mnie nie kocha. I poszedł sobie. A dzisiaj rano przyszedł do „Anemona” i kazał czekać na siebie wieczorem, ale nie w domu, tylko tam, w naszej kawiarni – wskazała ręką na blok, do którego przybudowano 58

mały pawilonik; można w nim było napić się kawy, kupić ciastka i cukierki, nie wiadomo czemu nazywał się szumnie „Cristal”.

—

Bo on chce rozmówić się ze mną ostatecznie i coś wymy-

ślił na nasz kłopot. Tak to nazwał, kłopot. Dla niego to tylko „kłopot”. I co ja mam teraz robić, siostrze? Co mu powiedzieć?

Zamyśliłam się nad osobliwością kobiecej natury. Ta mała przeżywa tragedię: pierwszy kochanek złamał jej rozpoczynające się dopiero życie, ale ona, gdy ma się z nim spotkać, maszeruje do fryzjera. Żeby ładnie wyglądać. Czy liczy, że coś przez to wskóra?

—

Czy ty go kochasz? – zapytałam ostrożnie.

—

A bo ja wiem? Sama już nie wiem. Czasami aż palce sobie gryzę, jak pomyślę, że mogę go już nigdy nie zobaczyć. A czasem to aż mi mdło, jak go sobie przypomnę. I przeklinam, jak tylko umiem. Żeby go co najgorszego spotkało.

Jak radzić dziewczynie, która sama nie wie, co czuje? Czy mam ją namawiać, żeby związała swoje życie z łobuzem i obieży-

światem? Ale znów z drugiej strony: może on nie jest taki zły, tylko po prostu nieszczęśliwy? I wstydzi się swojej choroby, wstydzi się zła, które wyrządził? Jeżeli ją będę namawiać do roz-stania, może oboje się załamią? Może dałoby się pomóc jakoś jej i jemu? Zaproponowałam:

–
Wiesz co, Mariola, idź na to spotkanie. Jeżeli go naprawdę kochasz, namów go, żebyście się razem leczyli, bo to przecież można wyleczyć. A jeżeli już ci na nim nie zależy, powiedz mu, żeby się wynosił na cztery wiatry. I żeby ciebie nie straszył, bo jest ktoś, kto będzie świadczyć przeciwko niemu, jeżeli stanie ci się coś złego. Nie mów mu nawet, że to ja, po co. Niech się 59

pohamuje. A jutro wieczorem przyjdź do mnie. Spróbuję ci po-móc. Jeszcze jedno mogę dla ciebie zrobić, gdybyś sobie życzyła.

Mogę sama z nim porozmawiać, przemówić mu do rozumu. Ale teraz, przepraszam cię, kochanie, muszę już naprawdę iść. Czekają na mnie w jednym domu i już spóźniłam się. Biegnij szybko do siebie i umyj buzię. Nie powinnaś iść na to spotkanie taka zapła-kana i z zapuchniętymi oczyma. Trzeba trzymać fason w każdej sytuacji. No, głowa do góry!

Moja zachęta niewiele pomogła, choć Mariolka podziękowała mi za radę i nawet gorąco wycalowała w oba policzki. Widziałam ją jeszcze przez pewien czas, wlokącą się noga za nogą w kierunku swojego bloku, potem znikła mi z oczu w cieniu, jaki rzucał na podwórze wysoki dom. Ja zaś sama ruszyłam galopem do mojej

„siódemki”, bo taki numer nosił nasz blok, i, nie wstępując już do siebie, zdyszana wpadłam do mieszkania Zdebniaków prosto w objęcia solenizantki.

Gości było mnóstwo, jedni wychodzili, następni wchodzili, każdego trzeba było czymś poczęstować. Zwijałyśmy się jak w ukropie, wszystkie trzy, to znaczy Irka, Irki mama i ja. Brakowało mi jednak tego humoru, jaki cechuje mnie zazwyczaj przy podobnych okazjach. Przygnębiła mnie rozmowa z Mariolą, nie mogłam po prostu przestać o niej myśleć. Irka zauważyła moją osowiałość.

Jej oczom nic nie ujdzie.

–
Co ci jest, Hanka? – zapytała wprost.

Nie mogłam jej przecież powiedzieć. Nie zdradzam nigdy niczyich tajemnic – a cóż dopiero mówić o tajemnicy Marioli.

–
Głowa mnie boli – mruknęłam niechętnie – mam nadzieję, 60

że to grypa. Odpocznę sobie kilka dni w chałupie, niech Kosma sam niańczy oseski.

Pogroziła mi palcem. Nie wiem, czy uwierzyła w bajeczkę o grypie, którą mam zamiar przeleżeć. Wszyscy wiedzą, że tylko dzuma jest w stanie mnie unieszkodliwić;

Niewiele już pozostało gości. Stasiek przyrządził ostatnią na ten wieczór porcję lemoniady sobie

tylko znanym sposobem, a ja zmywałam z mamą Irki talerze, gdy drzwi kuchni otworzyły się nagle.

–

Mąż jest tutaj – usłyszałam głos Irki.

Wpuściła kogoś i zamknęła za nim drzwi od pokoju, żeby gwar i śmiech zgromadzonych przy stole nie przeszkadzał spóźnionemu interesantowi w porozumieniu się z panem domu.

Odwróciłam się od zlewu i zdziwiłam się bardzo. Oparty plecami o drzwi, stał mieszkający nad nami o piętro wyżej inżynier Andrzej Rot, współnajemca mojego boks w osiedlowym garażu, wróg mojego motocykla i mój przeciwnik. Był trochę zdyszany, widocznie biegł, spiesząc się, aby jak najszybciej podzielić się jakąś wiadomością.

–

Panie poruczniku... – wyjąkał ze zdenerwowaniem – tam...

niedaleko naszego garażu... leży trup. Zamordowana kobieta. Zdaje się, że to ta ładna czarnula z szóstego bloku, sprzedawczyni z kwaciarni przy placu Wolności.

Talerz – na szczęście nie ze ślubnego Irki serwisu – wymknął

mi się z rąk i rozprysnął w zlewie na drobne kawałki.

Rozdział 4

To było prawie w tym samym miejscu, gdzie siedziałam z Mariolką, wysłuchując jej dramatycznych zwierzeń. Rozstałam się z nią o wpół do ósmej, obecnie dochodziła dziesiąta. Jeszcze dwie i pół godziny temu z jej czarnych ocząt lały się tu strumienie łez –

teraz już nikt nie usłyszy od niej nigdy żadnej skargi.

Stałam nieruchomo nad jej ciałem, jak gdyby mnie ktoś w ziemię wkopał albo zamienił w kamień, którego było tu pełno. Stasiek bynajmniej sobie nie życzył, żebym mu towarzyszyła. Jest przecież taka zasada: od chwili wykrycia zbrodni nie dopuszczać nikogo do miejsca, w którym została dokonana. No i w ogóle: z jakiej racji mam się przy nim pętać? Jestem pracownikiem służby zdrowia, nie milicji. Ale ja się uparłam. Mruknęłam, że później mu powiem, dlaczego się narzucam – i że to będzie z pożytkiem dla śledztwa. Zdziwił się niepomiernie, ale w końcu przystał na moje fanaberie.

Czekaliśmy na ekipę techniczną, którą już Stasiek wezwał

przez telefon, a inżynier Rot wyjaśniał, w jaki sposób natknął się na zwłoki Mariolki Kozubówny:

– Muszę zawsze zajeżdżać do garażu od tej strony, robiąc spory łuk, a to z racji, że szanowna sąsiadka – tu wykonał przesadnie uprzejmy ukłon pod moim adresem – blokuje swoim motocyklem miejsce tuż przy wjeździe do boksu. Wprawdzie od kilku 62

dni motocykla nie ma, ale ja z nawyku zajechałem jak zawsze.

Włączyłem długie światła szosowe, bo już mi się raz zdarzyło potrącić tu psa. Wszystkie psy z całego osiedla wesela koło tych rupieci odprawiają. Ja uważam, że jeżeli ktoś hoduje psa, to powinien trzymać go w domu i wyprowadzać na smyczy, ale to już inna sprawa...

Dosłyszałam, że Stasiak wzdycha melancholijnie. Wiem, że nie znosi gadułów. Ja zaś nie cierpię takich pedantów, maniacko dba-

łych o przestrzeganie przepisów. Nie dziwią się, że pan inżynier pędzi żywot w starokawalerstwie. Która żona by to wytrzymała?

Nieświadom naszej niechęci, truł dalej:

–

Gdybym miał włączone tylko miejskie światła, pewnie bym niczego nie zauważył. Ale w zasięgu szosowych zobaczyłem, że coś ciemnego leży wśród resztek prefabrykatów. Jaki to nieporządek, swoją drogą, żeby przedsiębiorstwo budowlane nie uprzętnęło po sobie placu budowy... Pomyślałem, może jakiś pijak albo komuś niedobrze się zrobiło. Wysiadłem z wozu, o, w tym właśnie miejscu, gdzie teraz stoi... Podszedłem, a kiedy stwierdzi-

łem, że ta osoba już nie żyje, miałem za swój obowiązek natychmiast dać znać o tym panu porucznikowi, jako funkcjonariuszowi milicji. Przepraszam, że zakłóciłem panu porucznikowi rodzinną uroczystość.

O Boże – pomyślałam – jak on się wysławia! Na pewno w szkole miał piątkę z polskiego. Jakież on jest denerwujący!

–

Dobrze pan zrobił, dziękuję panu – Stasiak uważał za wła-

ściwe pochwalić gorliwego obywatela. – A jeśli idzie o domowe zacisze, to wie pan, jestem przyzwyczajony, że wyrywają mnie 63

z niego o różnych porach dnia i nocy.

Kiedy nadjechała ekipa techniczna i przystąpiła do pracy, od-ciągnęłam Staśka trochę na bok i opowiedziałam mu pokrótce o moim niedawnym spotkaniu z Mariolą. Niestety, wypadło to dość chaotycznie.

Coś niecoś jednak z tego zrozumiał, bo zapytał mnie:

–

Czy ty wiesz, jak ten chłopak wygląda?

Skinęłam głową.

—

No to chodźmy teraz do „Cristalu”. Trzeba się dowiedzieć, czy Kozubówna spotkała się tam z tym swoim Ryskiem.

Pawilonik nie był daleko. Na ogół o dziesiątej jego kierowniczką, pani Katarzyna, już go zamyka, ale tym razem kraty na drzwiach nie były jeszcze zasunięte i w środku świeciło się. Przez siatkowe firanki można było dojrzeć z ulicy połyskującą niklem i szkłem ladę bufetu, baterie butelek lekkich win, owocowych napojów i wody mineralnej na stelażu oraz jaskrawe malowidła na ścianach, którymi jakiś plastyk – amator – przyozdobił wnętrze.

Pani Katarzyna krzątała się przy bufecie, ale przy stolikach nie dostrzegłam nikogo.

Była najwidoczniej w złym humorze, o czym świadczyło dość hałaśliwe obchodzenie się z kawiarnianą zastawą. Zdziwiła się naszym późnym nalotem. Sądziła z początku, że zabrakło nam napojów na imieninowym przyjęciu. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją moje pytanie, czy nie było tu dzisiaj wieczora Mariolki Kozubówny z jej chłopakiem. Burknęła z gniewem:

— A nie było, siostró, nie było. Ten jej chłopak, Rysiek, czy jak mu tam, cały wieczór na nią czekał. Dopiero co poszedł. Przez 64

to kawiarni jeszcze nie zamknęłam, ledwo udało mi się go wypro-sić.

Stasiek Zdebniak wtrącił się:

—

O której godzinie przyszedł, nie pamięta pani?

—

Chyba koło siódmej, ale dokładnie nie powiem.

—

A przez ten czas, co tu siedział, wychodził?

—

Prawdę mówiąc, nie zwróciłam uwagi. Było trochę ruchu, rachunki robiłam. Ale chyba nie wychodził. Ja mu nawet radzi-

łam, żeby poszedł do Mariolki do domu, przecie to parę kroków.

Że może rozmyśliła się. Jak to z dziewczynami bywa. Ale on powiedział, że nie pójdzie, bo nie

cierpi, jak ją nazwał: tej starej nudziary, u której Mariolka mieszka. Ach, ta dzisiejsza młodzież!

Nic a nic szacunku dla starszej osoby.

–

Zna pani bliżej tego Ryśka?

–

Skądże. Z widzenia. Wysiadywał tu u mnie z Mariolką całymi godzinami.

–

Czy przypadkiem nie wie pani, jak on się nazywa?

–

Tyle wiem, że Rysiek.

Prawdopodobnie pani Katarzynie niesłuchanie doskwierała ciekawość, dlaczego tak nas interesuje osoba adoratora Mariolki Kozubówny. Wyszliśmy jednak, nie udzielając jej wyjaśnień.

Stasiek obawiał się, że na wieść, iż w odległości pięćdziesięciu metrów od „Cristalu” leży trup dziewczyny, pani Kasia dostałaby nerwowego szoku – a my nie mieliśmy czasu na doprowadzenie jej do przytomności. Trzeba było ścigać Ryśka.

Któż bowiem bardziej niż on był zainteresowany w radykalnym pozbyciu się „kłopotu” z Mariolą? Z tego, co opowiadała mi o swoim lubym Mariola, zbudowałam sobie o nim zdecydowanie ujemną opinię. Oto jeszcze jeden zatracony typek, cwaniak i cynik, 65

egoista, obojętny na czyjekolwiek cierpienie, brutal, dla którego nie ma nic świętego. Z całą gotowością przystałam na propozycję Staśka, abym mu towarzyszyła w poszukiwaniach chłopaka. Wiedziałam, jak ów Rysiek wygląda. To było ważne. Albowiem ani pani Zawadzka, u której mieszkała Mariolka, ani kierowniczką

„Anemona”, zbudzona ze snu naszym telefonem, nie wiedziały, jak brzmi nazwisko Ryśka.

Poszukiwania nasze trwały całą noc.

Najpierw pojechaliśmy do hotelu robotniczego, o którym wspominała mi Mariola. Sprawa nie okazała się jednak prosta.

Wznosiły się przed nami trzy potężnych rozmiarów baraki, przy-pominające mrowiska. Naród tu mieszkał niespokojny, różnoco-wany, raczej niepokorny, kąśliwy. Przybycie milicji nie wzbudziło

niczyjego entuzjazmu. Rozmowy nasze, czy to z kierownikiem, czy z lokatorami hotelu, wyglądały mniej więcej tak:

—

Czy tu mieszka jakiś Rysiek?

—

Rysków mamy piętnastu. A co on niby robi, ten Rysiek?

—

Na budowie pracuje.

—

Aha! – w tym momencie rozległ się po korytarzach dono-

śny okrzyk naszego rozmówcy: – Hej! Łopata! Chodź no tu! Masz gości!

Rysiek-”Łopata” nie spełnił naszych oczekiwań. Zjawił się przed nami zaspany dryblas około dwumetrowej wysokości, czar-nowłosy, czarnooki. Niczym nie przypominał sylwetki, która dość dobrze utrwaliła mi się w pamięci. Odesłaliśmy go na zasłużony spoczynek. I w ogóle, żaden Rysiek z tego bloku ani z pozostałych dwóch baraków nie był tym, którego poszukiwaliśmy.

Siedliśmy w pokoiku, zwanym szumnie świetlicą. Nieprzytulnie, 66

zimno. W kącie popsuty telewizor. Na ścianach resztki bibułkowej dekoracji po jakiejś zabawie. Mdłe światło żarówki w odrutowanym klosiku. Otaczały nas twarze pochmurne o spojrzeniach nieufnych.

Nie wszyscy jednak byli Zdebniakowi obcy i nie znani. Miał

wśród nich i takich, z którymi zawarł już dawniej znajomość raczej dla nich niemiłą i krępującą. Wyłuskał ich z otaczającej nas grupki. Innym kazał sobie iść. Wybrańców sprawnie przydusił do muru:

—

Słuchaj no, Ambasador. I ty, Mecenas. Ja tego Ryśka mu-szę dziś mieć, rozumiecie?

Wykręcali się, jak mogli. Któż z nich byłby skory ujawniać kolegę, do którego, jak widać, milicja ma jakieś pretensje... W końcu przyznali zgodnie: żadnego z budowy, co by miał na imię Rysiek, nie znają. Ale gdybyśmy o nim wiedzieli coś więcej, może zorientują się, o kogo chodzi. Zdarzają się przecież i tacy wśród nich, którzy nie używają własnego imienia. Wyliczyłam fakty z życia Ryśka, które były mi znane. Że w cyrku kiedyś występował, w jakimś zespole regionalnym tańczył.

Pryszczate oblicze jednego z delikwentów rozjaśniło się.

–

Aha! Cyrkowiec! Od razu trzeba było nam powiedzieć.

Drugi dorzucił:

–

Nikt tu na niego nie woła Rysiek. Mówimy: Cyrkowiec. A on Jaskólski się nazywa. Robiliśmy kiedyś razem na budowie.

Trzeci mruknął od niechcienia:

–

Nie ma go. Nie wrócił jeszcze na noc. Może dziś na drugą zmianę gdzieś robi.

Kierownik wyjaśnił nam sprawę: rzeczywiście, jest tu taki Ja-skólski. Budowlany. I opis nasz odpowiada jego wyglądowi. Ale 67

on ma w dowodzie imię Jan. Na drugie imię dopiero ma Ryszard.

Obiecał, że da nam znać, gdy tylko Jaskólski się zjawi w hotelu.

–

No i szukaj wiatru w polu – powiedziałam, kiedy wyszli-

śmy przed barak i wsiadaliśmy do służbowego samochodu Staśka.

Jeżeli jest winien śmierci dziewczyny, jasne, że zwiął. A dokąd, któż to może wiedzieć? Taki obieżyświat zna tysiące sposobów ucieczki. Ile stron świata, tyle kierunków.

Nie doceniłam jednak zawodowego doświadczenia Stasia Zdebniaka. On wiedział, gdzie i jak należy szukać takich kawalerów. Znał ich obyczaje. Gdzie podziewają się w krytycznych momentach życiowych, kiedy wszystkie knajpki i piwiarnie są już zamknięte? Idą na meliny. Objechaliśmy kilka takich przystani, ale w żadnej z nich tej nocy nie zakotwiczył zbłąkany amant Marioli. Istniała wszakże jeszcze jedna szansa, jak mi oświadczył

Stasiek.

–

Jedziemy na dworzec – wydał rozkaz kierowcy. Do mnie zaś mruknął: – Trzeba nam było od razu to zrobić. Nie wiem, czy nie spóźniliśmy się. Mógł już pofrunąć.

Ale dworce, jak wiadomo, spełniają w nocy dwojaką funkcję.

To już nie tylko miejsce startu do podróży. To także przytulisko różnych wędrownych ptaków, z którymi przeważnie daremną walkę prowadzi zatrudniony tam personel i służba ochrony kolei.

Przyjdzie tu i pijaczek, który czuje potrzebę zaprawienia się jeszcze jednym piwkiem, i uciekinier z rodzicielskiego domu, i ludzie dotknięci nieprzepartym nałogiem włóczęgostwa, i „nieciężka” dziewczyna, szukająca partnera. Jeżeli Rysiek Jaskólski nie zamierzał w ogóle nam uciec, byłoby to rzeczywiście miejsce dla niego w sam raz, żeby przebałaganić noc.

68

Weszliśmy do dworcowego bufetu. Już od progu buchnął na nas ciężki zaduch: było tu szaro od papierosowego dymu. Jak w mgłę majaczyły w nim grupki mężczyzn, rozprawiających bełkotliwie i popierających swoje wywody szerokimi, niepewnymi gestami ramion. Pili piwo, nawoływali głośno bufetową, by dołała im jeszcze. Niektórzy szeptali po kątach omawiając jakieś tajemnicze interesy, nie nadające się widocznie do publicznego rozgłoszenia. Paru spało przy stolikach, wtuliwszy głowy w splecione na blatach ramiona.

Jeden tylko człowiek był samotny w tym tłumie mężczyzn spoufalconych z sobą, najwidoczniej stałych bywalców lokalu, czynnego przez okrągłą dobę. Siedział w kącie, przy małym stoliku, w pozycji dość nonszalanckiej. Stał przed nim nie dopity kufel piwa. Na popielniczce piętrzyły się niedopałki papierosów. Długie, szczupłe palce odruchowo obracały w kółko prostokątną tekturkę biletu kolejowego. Czyżby Zdebniak miał rację?

Nie mogłam się mylić: to był Rysiek. Poznałam go od pierwszego wejrzenia. Miał charakterystyczną, szczupłą, trochę jakby ptasią twarz, uwieńczoną bujną i niesforną rudawą czupryną. Pamiętałam dobrze jego pochylone nieco ku przodowi ramiona –

można byłoby pomyśleć, że jest stale zziębnięty i kuli się z zimna.

Należał niewątpliwie do ludzi, których wygląd zapada w pamięć.

Nieznacznym ruchem głowy wskazałam go Zdebniakowi.

Stasiek podszedł do stolika w rogu energicznym krokiem i zapytał urzędowym tonem:

– Pan się nazywa Jan Ryszard Jaskólski? Młody człowiek potwierdził, nie wstając z miejsca. W twarzy jego nie drgnął ani jeden mięsień.

69

–

Pan pozwoli ze mną – Stasiek zrobił zapraszający gest ramieniem.

–

A bo co? – warknął chłopak arogancko.

–

Pańska znajoma, Mariola Kozubówna, została zamordowana – palnął Stasiek.

Ma swoją teorię. Głosi ona, że pierwsza reakcja człowieka na wieść o popełnionym morderstwie jest wiele znacząca. Zwłaszcza jeżeli się nią zaskakuje kogoś, kto wchodzi w rachubę jako podejrzany. Nie należy dawać mu ani sekundy czasu na przygotowanie sobie maski.

Chłopak zbladł i poderwał się z miejsca. Potrącił stół, kufel przewrócił się. Cienka strużka złocistego płynu polala się na za-deptaną błotem podłogę. Ale młody człowiek natychmiast opanował się. Wyminął Zdebniaka i ruszył w stronę drzwi. Nie miał

chyba jednak zamiaru uciec. Przy wyjściu zatrzymał się, zapiął

ortalionową kurtkę i odwrócił twarz w naszą stronę, jakby upewniając się, czy idziemy za nim. Rzucił twardo:

–

Uprzedzam: nie będę odpowiadać na żadne pytania.

Następnego ranka czułam się fatalnie, tak jak gdybym naprawdę miała zapowiadaną grypę. Wszystko mnie bolało, przede wszystkim zaś głowa. Oczywiście z niewyspania. Moje nocne wędrówki nie zakończyły się przecież w momencie zatrzymania przez Zdebniaka Ryśka Jaskólskiego. Musiałam jeszcze wraz z całą ekipą pojechać do komendy, żeby tam dokładnie wypowiadać się z całego przebiegu mojej wieczornej rozmowy z Mariolą.

Do pracy jednak poszłam. Zbyt trudną mieliśmy w ośrodku sytuację w związku z epidemią grypy, abym mogła pozwolić sobie na dogadzanie moim słabościom. I znów mówili wszyscy o morderstwie, nowym, drugim morderstwie. Niektórzy usiłowali 70

dopatrywać się jakiegoś związku między dwiema zbrodniami, których terenem stał się w ostatnich dniach nasz spokojny Świernik. Mówiono: coś musiała ta Mariolka wiedzieć niedobrego o Brydzie i może to jakiś jego kumpel wyświadczył koledze przysługę. Bzdura, powiedziałam na to. Bo jeżeli nawet założymy, że to rzeczywiście Bryda zabił żonę, to każdy przecież, kto zna tego człowieka, poświadczy: kobieciarz – prawda, hulaka – też prawda, ale żadnej bandzie skorej do mokrej roboty nie przewodzi. Mariolki szczerze żałowano. Wszyscy ją w mieście lubili, była taka pogodna, przychylna ludziom i całemu światu. Przypominaliśmy sobie, jak ładnie i zręcznie wiązała bukiety, jak skrzętnie pilnowa-

ła, żeby na czas były gotowe zamówione wiązanki, jaki cienki miała głosik, wciąż jeszcze jakby dziecinny. O Ryśku krążyły różne wieści. Jedni mówili, że się do niczego nie przyznaje, drudzy, że załamał się. Ktoś puścił gadkę, że usiłował w więzieniu popełnić samobójstwo. Zapytałam Staśka, czy to prawda. Zaprzeczył. Informował mnie jednak o całej sprawie skąpo i niechętnie.

Dowiedziałam się od niego tylko tyle, że Rysiek rzeczywiście zamierzał nad ranem wyjechać ze Świernika. Miał wykupiony bilet do Gdyni.

Po pewnym czasie publiczne wzburzenie opadło, gadanie przycichło, każdy zajął się swoimi sprawami. Ja też. Od czasu do czasu tylko, gdy mijałam nasz garaż, mimo woli czułam dreszcz trwogi i odwracałam głowę. Mknęły dni pracowite, nijakie, podobne do siebie.

Po jakichś dwóch tygodniach pewnego dnia pod koniec dyżuru wpadła do mojego dziecińca jak bomba Janka Wąsikówna.

Wiecie co?! – wrzasnęła od progu, aż doktor Kosma podsko-czył na swoim foteliku. – Brydę zwolnili!

71

Coś ty?! – zakrzyknęłam równie donośnie, nie zdając sobie sprawy, że w moim głosie brzmi ulga.

Rany boskie, dziewczyny, nie wrzeszczcie tak! – mitygował nas Kosma. – Macie miny, jakbyście po milionie w totka wygrały. Nie wiedziałem, że donzuan ma tyle wielbicielek.

Skąd wiesz, Janka? – dopytywałam się niecierpliwie, nie zważając na zrzęczenie mojego szefa.

Kordaszewska była, wiesz, ta z Zalipia. Co dzień przecież nas nawiedza, ja twierdzę, że mogłaby w ośrodku zamieszkać na stałe. Cierpi na wszystkie choroby świata, jak usłyszy, że ktoś kichnie, zaraz też ma katar.

Wiedziałam, że Kordaszewska jest nie tylko chorą i urojona, ale i najtęższą plotkarką na Zalipiu. To głównie ona snuła u fryzjera rozważania na temat przyczyn, które skłoniły Brydę do zabicia żony. Mruknęłam powątpiewająco:

Też mi źródło informacji...

A jednak to była prawda. Przekonałam się o tym, kiedy zawę-

drowałam późnym popołudniem na Zalipie. Od pewnego czasu uznałam już bowiem, że dość tego zastępowania mnie przez panią Anielę. Doszłam do wniosku, że ludziom, którzy tak pochopnie mnie oskarżali, powinnam dać szansę do okazania należytej skru-chy.

Bryda czekał na mnie przed swoim domem, gdy po zrobieniu zastrzyku Dzidce wybierałam się już w powrotną drogę. Pozwolił

sobie nawet na pochmurny żart:

–
Nie chciałem, żeby pani znów się tak przestraszyła mojego widoku...

Szliśmy jak wtedy, razem, wolnym krokiem w stronę przystanku. Ciekawa byłam, co mi ma do powiedzenia. Sam zaczął: 72

–
No i widzi pani. Głupio tutaj teraz niektórym.

–
Ja myślę – potwierdziłam skwapliwie, mając na uwadze także i siebie. Wielu moich pacjentów miało rzadkie miny.

–
To bardzo dziwne – odezwał się po chwili milczenia – takie dziwne, że i uśmieć by się można, gdyby na płacz się człowiekowi nie zbierało. Mogłem nie wiem na co przysięgać, że jestem niewinny, i nikt mi nie wierzył. No, pani może trochę wierzyła, ale też niezupełnie. „Zabiłeś” – mówili i tyle. Prokuratorowi rączka nie drgnęła, kiedy na mój areszt sankcję dawał. Taki był pewny, że mnie ma. No bo jakżeby inaczej? Wszystko się na mnie sprzy-sięgło... Całe moje życie. Czego się oni już nie dokopali! Nawet, że nos rozkwaśiłem jednej koleżance w szkole jako szczeniak, zdaje się, za skarżypoctwo... Wszystkie babki przepytawali, z jakimi tylko miałem do czynienia. Pół Zalipia na przesłuchaniu w milicji było. Gdyby im wierzyć, to ja miałbym powód żonę zabić.

Mówili, że mnie wygnała, bo żadna by nie wytrzymała z takim hultajem jak ja. I podrywaczem. Więc ja... niby z zemsty. A najgorzej, że nie miałem żadnego dowodu na to, że naprawdę do miasta po kwiaty pojechałem kwadrans po szóstej, kiedy Michaśka jeszcze żyła. Już myślałem: powieszą mnie jak nic.

–
Ale jednak uwierzyli. Wypuścili pana.

Wzruszył ramionami.

–
Wypuścić, owszem, wypuścili. Ale czy uwierzyli, nie wiem. Ciurkiem któryś z nich za mną łazi.

—
Jak to się stało, że pana zwolnili? Przekonał ich pan? Czy znalazł się jakiś dowód? – Pomyślałam w tej chwili o moim fry-zjerze, panu Feliksie. Zaambarasowana nową tragedią Mariolki, prawdę mówiąc, zapomniałam o tym, co mi powiedział Feliks.

73

Powinnam była przecież jakoś doprowadzić tę sprawę do końca...

Poczułam się winna wobec Brydy.

Ale on, nieświadomy mojej rozterki, wyjaśnił spokojnie:

—
Dwie rzeczy mnie uratowały. Pewien facet, którego mało znam. Fryzjer. Parę razy go widziałem w życiu, bo Michaśkę czesał i nieraz do niego wstąpiłem po nią po robocie. Mówi, że widział mnie na Kraszewskiego za dwadzieścia siódma. To by się zgadzało. Ja tam go nie widziałem, mało to kogo człowiek na ulicy mijają i nie spojrzę. W jednym tylko się pomylił: że ja rower o latarnię oparłem. A ja go postawiłem przy ścianie cukierni, jak ciastka poszedłem kupować. Ale może tam jakiś inny rower stał i on myślał, że to mój. No, więc okazało się, że mam alibi, jak oni to nazywają.

—
A druga rzecz? – zapytałam, gdy zamilkł na chwilę.

—
Drugi trup.

—
Nie rozumiem.

Rzeczywiście nie rozumiałam. Wyjaśnił mi niechętnie, słowa wydobywały się z niego z oporem:

—
Tę małą... Mariolkę z kwiaciarni... zabił ktoś tak samo, jak moją Michaśkę. Taką samą ma ranę na głowie, z tyłu, w tym samym miejscu, co Michaśka miała... Jakby tym samym narzę-

dziem. I tak samo ją ktoś udusił. Kablem. Takim samym. Tylko, że...

—
Tylko co?

—
Ech, takie tam... A zresztą, siostra nie dziecko. I tak wszyscy zaraz będą o tym mówić, bo już się rozniosło. Ten, co zabił, chciał kobiety. No, rozumie już siostra?

Zrozumiałam. To się nazywa fachowo mord seksualny. Biedna Mariolka, której to, co może być takie piękne między kobietą i 74

mężczyzną, co może być źródłem szczęścia i największej radości, przyniosło najpierw nieszczęście, a potem śmierć.

Zrozumiałam też jeszcze jedno: milicja łączy oba morderstwa.

Uważa, że popełnił je ten sam człowiek. Muszą mieć na to dowody całkowicie pewne, skoro zwolnili Brydę. Bo przecież Bryda nie mógł zabić Mariolki. Alibi miał na ten wieczór, gdy zginęła Mariola, niewzruszone: przebywał w więzieniu. A jeśli nie zabił Marioli, to nie zabił i Michaliny, swojej żony. To było nawet bardziej przekonujące alibi od tego, którego mu dostarczył pan Feliks.

Swoją drogą pocziwa dusza ten Feliks. Trzeba mu będzie przy okazji wyrazić uznanie.

Podchodziliśmy już do przystanku. Tym razem Bryda nie krył

się w zaroślach, odprowadził mnie pod sam daszek. Nikogo tu zresztą teraz nie było. Mocno uściśnął mi rękę.

—
A ja jeszcze chciałem siostrze podziękować.

—
Za co? – zdziwiłam się.

Nic przecież dla niego nie zrobiłam. Miałam nawet z tego powodu wyrzuty sumienia.

—
Za to, że siostra nic nikomu nie mówiła o naszym spotkaniu. I o tym wszystkim, co siostrze opowiadałem.

Tramwaj już nadjeżdżał. Bryda puścił moją rękę i dodał na pożegnanie:

—
A tego, co o babkach mówiłem... Niech siostra nie bierze poważnie. Ot, tak sobie wtedy palnąłem.

Mówił po swojemu, szorstko, trochę kpiąco i widocznie przychodził już do siebie, bo głos jego odzyskał melodyjne brzmienie

– ale jeszcze nie do końca, jeszcze nie tak bardzo, abym mogła zapomnieć tamte chrapliwe, groźne tony, gdy wykrzykiwał swoją nienawiść do kobiet.

75

Wskoczyłam do tramwaju i pomachałam ręką, wołając.

– A ja już wcale nie pamiętam, co takiego pan bąkał!

Mniej więcej w tydzień po rozmowie z Brydą przeżyłam drugie kolejne, dramatyczne spotkanie.

Późnym wieczorem wróciłam do domu. Byłam taka skonana po całym dniu pracy, że minęłam na palcach drzwi mieszkania Zdebniaków. Już nie z powodu skrępowania, które powstrzymało mnie od wizyty w tym miłym domu tamtego straszego wieczora, kiedy znalazłam zwłoki Brydowej. Po prostu chciałam się wyspać.

Należało mi się.

Napiłam się herbaty, przegryzłam starą bułką, bo zapomniałam kupić sobie pieczywa, i już miałam zamiar rozebrać się, kiedy ktoś zapukał do moich drzwi. Byłam pewna, że to jednak Irena dopomina się o moją duszę, bo ona znieść nie może myśli, że ktoś wy-myka się spod jej władzy i opieki. Otworzyłam więc, nawet nie pytając, kto stuka.

Przede mną stał Rysiek Jaskólski, w niedbale rozpiętej ortalio-nowej kurtce, z rękoma w kieszeni spodni.

Oniemiałam. Takiej wizyty się nie spodziewałam.

Skorzystał z mojego osłupienia i natarł na mnie, zmuszając do cofnięcia się od progu. Wszedł za mną do sionki i zatrzasnął

drzwi. Byliśmy sam na sam w moim mieszkanku i wiedział o tym.

Nie wątpiałam, że potrafi zmusić mnie do milczenia, gdyby mi nawet przyszło do głowy krzyżeć albo próbować ucieczki. Nie pozostawało mi nic innego, jak zaprosić go niemym gestem ręki do pokoju. Przemknęło mi przez myśl, że w najgorszym razie będę mogła podbiec do okna i stłuc szybę.

On wszakże nie miał morderczych ani awanturniczych zamiarów. Rozsiadł się przy stole, zapalił papierosa nie pytając mnie 76

ani czy można, ani czy ja bym nie zapaliła również – i patrzył na mnie. Usiłowałam odgadnąć wymowę tego nieruchomego spojrzenia. Oczy miał bardzo ładne, jasnozielone, w oprawie ciemnych rzęs i brwi. W ogóle był, jak to się mówi, ładnym chłopcem. Moje usiłowania były daremne, chociaż umiem czytać w ludzkich twarzach. W tych oczach... Co było w tych oczach? Okrucieństwo?

Gniew? Pogarda? Drwina? Podejrzliwość? Nie, żadnego z tych uczuć nie było w jasnozielonych tęczęwkach bez połysku, przy-pominających kamień, zwany nefrytem. Nie było w nich po prostu nic. Były zimne, obojętne i bez wyrazu. Jak nieżywe. Uświadomi-

łam sobie w tym momencie, że Jan Ryszard Jaskólski wzbudza we mnie nie tyle niechęć, ile żywiołowy sprzeciw. Protest przeciwko takiemu kształtowi człowieka.

–

No i co? – odezwał się drętwym głosem.

–

O co panu chodzi? – zapytałam siląc się na spokój.

–

Nie oczekiwała mnie pani, prawda? Myślała pani, że uda się mnie w to wrobić, tak? Otóż to. Nie udał się babski spisek.

–

O jakim spisku pan mówi?

–

Ech – machnął pogardliwie ręką – nie będziemy sobie oczu mydlić. Powiedział mi jeden koleś, jak szedłem do „Cristalu”, że widział was obie. Panią i Mariolę. Szłyście razem od tramwaju i długo siedziałyście na kamieniach. Jak szedł po papie-rosy i jak wracał, to was widział. A przedtem, też pewnie na mnie zmawiałyście się. To pani ją na mnie napuszczała. Żeby wszystko popsuć. Pewnie przez zazdrość. Taka stara pannica, suchy wiór.

Gryzło pania, że młoda i ładna dziewczyna ma kochanka.

77

Tego już było za wiele. Jeżeli mi ktoś zaczyna wypominać mo-je staropanieństwo, wpadam w furję. Tak było i tym razem.

Krzyknęłam:

–

Idiota! Głupi gnojek! To ciebie, jak się sam zapaskudziłeś, żre nienawiść do świata, do wszystkich ludzi, do wszystkiego, co zdrowe! Na nic ci się to nie zda. Nie będzie ci od tego lżej, nic a nic. Też mi bohater, też mi sztuka: siać chorobę! Parszywy, nędz-ny tchórz jesteś, ot co! Odwagi potrzeba i siły, i mężczyzną trzeba być, ale prawdziwym, żeby powiedzieć: stop i szlus. Żeby z tym koniec

zrobić. Żeby samemu się wyleczyć i dziewczynę wycią-

gnąć. Wynoś mi się stąd! Ale już! – i grzmotnęłam go z całej siły w szczękę, a ja mam łapę jak z ołowiu.

Mój wybuch oszołomił go. Poczł się nim tak zaskoczony, że nie zareagował w sposób, jakiego należałoby się spodziewać po chłopaku, nie wyglądającym na opieszalego w oddawaniu ciosu.

Powinien był zerwać się, a ja powinnam była poczuć na sobie cały ciężar i siłę jego sękatych pięści. Tymczasem Rysiek Jaskółski tkwił nadal bez ruchu przy moim stole, rozpierając się zuchwale na wyściełanym krzeselku, założywszy nogę na nogę. Prawie nie drgnął, ożyły tylko martwe oczy. Potarł lekko policzek, na którym wylądowała przed chwilą moja ręka, i spojrział na mnie z zainteresowaniem. Kiedy się odezwał, w głosie jego nie było jednak śladu emocji:

–
W porządku. Pardon, pomyliłem się. Nie jest pani taką głupią starą krową, jak myślałem. Bo ja bardzo nie lubię świętosz-kowatych panieł. Załgane, cholery. Obrońcynie cnoty, a naprawdę to najgorsze rozpustnice.

Nie wiedziałam, czy mam się czuć zadowolona z tego, że nie jestem uważana za obrońcynie cnoty. W każdym razie nie jestem

„głupią starą krową”. I to dobre. Nie zanosilo się na to, aby 78

nieproszony gość w najbliższym czasie miał zamiar opuścić moje mieszkanie. Uznałam więc, że w tej sytuacji najbardziej właściwe będzie, jeżeli zajmę się parzeniem herbaty. Obserwował moje krzątanie się w milczeniu.

Pił gorący, parujący płyn łapczywie. Kiedy skończył, nalałam mu drugą szklanke i pokroiłam na plasterki drugą suchą bułkę odłożoną na śniadanie. Mruknął:

–
To było dobre. Włóczę się już tu pod pani domem dwie godziny. Zmarzłem.

Sięgnął po bułkę. Nie zwrócił uwagi na to, że czerstwa, widocznie nie był zbyt wybredny. Zjadł wszystko, do ostatniego okrucha. Potem, gdy ja nadal milczałam, zaczął mówić spokojnie, beznamiętnie swoim dziwnym, drewnianym głosem, który przypominał brzmieniem dźwięk pękniętych skrzypiec:

–
Pani mnie uderzyła. Ja przecież nie z takich, co się pozwalają bezkarnie bić. Ale nie oddałem pani. Bo to wszystko prawda, co pani powiedziała. A ja za prawdę nikogo palcem nie tknę. Tylko za łgarstwa tobym zabijał. A łgarstwa na świecie tyle, że urwać się można. Łżą wszyscy. Oszukuje, kto może, jak może. I mnie oszukali. A kto mnie oszukał? Ten, kto powinien był mnie tylko prawdy uczyć.

Matka. Moja własna, rodzona matka. Ojca mało co pamiętam. Mieszkaliśmy na Pomorzu w takim jednym małym miasteczku, mniejszym od Świernika. Kochałem ojca, bo huśtał

mnie na kolanach i podśpiewywał taką śmieszną piosenkę: „Jedzie, jedzie pan na koniku sam”, a ja krzyczałem, że boję się, że spadnę i będzie mnie bolało. Wtedy przybiegła matka i zabierała mnie ojcu siłą, i mówiła: „Nie widzisz, że dziecko się boi?”, na co ojciec gniewał się i wołał: „Mężczyzna nie może być tchórzem”.

79

A matka traktowała mnie, jakbym był ze szkła. Tu nie idź, bo się przewrócisz, tego nie rusz, bo się skaleczysz, i tak w kółko. Ale najwięcej to ja jej samej się bałem. Nie, żeby mnie łąjała albo biła.

Nie, przez co innego. Miałem wtedy chyba sześć lat. Jednego dnia kazała mi iść do ogrodu bawić się i nie wracać, aż mnie zawoła.

Ale mnie się zachciało jeść czy pić, już nie pamiętam, pamiętam tylko, że zamknięte były drzwi i nie mogłem dostać się do domu.

Przestraszyłem się wtedy, że jestem sam, a świat poza domem wydawał mi się taki wielki. Nieznany i pełen niebezpieczeństw.

Zobaczyłem otwarte okno od kuchni. Mieszkaliśmy na parterze, przystawiłem jakąś skrzynkę i wlałem przez to okno do środka.

Drzwi do pokoju były uchylone i zobaczyłem przez szparę moją matkę w sypialni na łóżku. Z kimś, ale tym kimś nie był mój ojciec. Nie rozumiałem, co tych dwoje tam robi, ale to, co oni robili, wydało mi się potworne. I ona wyglądała wtedy tak... tak strasznie, do siebie niepodobna. Śni mi się to jeszcze czasami. Do dziś.

Na przykład, że obejmuję jakąś kobietę i nagle poznaję, że to ona.

I znów ma taką okropną twarz... Przeraziłem się wtedy i zacząłem krzyczeć. Co było dalej, nie pamiętam. Ale i ojca nie pamiętam już, żeby go jeszcze potem kiedyś widział. Jak byłem trochę większy i pytałem ją o niego, powiedziała mi, że umarł. To była nieprawda. Ludzie mi powiedzieli, bo ludzie takie rzeczy zawsze chętnie powiedzą, ich denerwuje, jeżeli ktoś nie wie wszystkiego najgorszego o swojej rodzinie... Ojciec miał broń, jeszcze z czasów wojny gdzieś schowaną, zabił tego faceta i sam się zastrzelił.

Poszedłem do niej i powiedziałem, że wiem, jak było. A ona mi na to, że nie tak. Że ojciec w spółdzielni, której był kierownikiem, 80

manko miał i mieli go sądzić, a ten drugi właśnie ojca wydał, i przez to ojciec go zakatrupił.

Coś z tego musiało być prawdą, ale nie ze wszystkim, bo i to mi powiedzieli ludzie, że jeżeli ojciec nawet kradł, to przez nią, przez moją matkę. Bo ona lubiła bogate życie, wszystkiego jej było mało. Wciąż groziła, że go rzuci, a on ją kochał, bo była bardzo piękna. I tak mnie oszukała tym sposobem

już drugi raz. Przez nią ojca straciłem i jeszcze mu honor zabrała. Nie mogłem szanować jego pamięci. Zrozumiałem wtedy, że nie ma na świecie nic, co można i trzeba szanować, no bo jeżeli nie mogłem szanować ani ojca, ani matki, to jak miałem się szacunku uczyć? Samego siebie przestałem szanować. Nauczycielka w szkole mówiła, że jestem zdolny do muzyki, ale ja wszystko rzuciłem. Myślałem o sobie najgorsze rzeczy. Nie wierzyłem, że w ogóle coś potrafię w życiu zrobić. I wtedy ona sprowadziła sobie jakiegoś faceta, a do mnie powiedziała: „Teraz to będzie twój ojciec”. Jaki ojciec? Ob-cy gość. Tym razem miała za swoje. Pomiałał nią jak śmieciem.

Bił ją, ubliżał. Miałem dość takiego domu. Zabrałem się i uciekłem. Nawet mnie nie szukała. Taka matka.

Umilkł. Herbata już wystygła, zanadto czułam się zmęczona, żeby parzyć nową porcję. Miałam w szafce trochę spirytusu i sok malinowy, służyły mi nieraz jako deska ratunku przy zaziębie-niach. Zmieszałam oba płyny, nalałam dwa kieliszki. Wypił jednym haustem, cmoknął z uznaniem. Postanowiłam, że nie będę go zachęcać do dalszych wyznań, może prędzej sobie pójdzie. Brak reakcji z mojej strony jednak nie pomógł, odwrotnie – podniecił

Ryśka. Mówił dalej:

– Pani powiedziała: tchórz. Tak. Prawda. Zrobiła ze mnie tchórza, moja matka. Mój Boże, ile razy chciałem to zmienić.

81

Zaprzeczyć. Do cyrku poszedłem. Tam trzeba odwagi. Mówiłem potem wszystkim, kolegom i dziewczynom, że zwałem, bo w cyrku za duża harowa. Nieprawda. Ze strachu zwałem. Bałem się.

Że spadnę, że będzie bolało. Tak jak się bałem na kolanach ojca.

Tańczyłem w zespole. Tam znów się bałem. Czego? Sceny, światła, publiczności. Że patrzą na mnie, że każdy widzi, jak się pocę.

Piłem, żeby się nie bać. I kobiet się bałem, a tyle ich było dookoła mnie, koleżanek, tancerek. W końcu dorwała mnie jedna, nie z zespołu, zupełnie obca. Na plaży w Sopocie. No i ona właśnie prezent mi zrobiła. Co ja się jej potem naszukałem. Udusiłbym babę, ale nie wiedziałem nawet, jak się nazywała. No i skończyło się moje tańczenie. Niektórych figur nie mogłem robić, bolało mnie w kroku. Jak zacząłem się boksować, posłali mnie do lekarza, raz, drugi, wyniuchali, co i jak. Gdyby mnie nie wyleli, sam bym uciekł i tak. Bo jak leciałem na deski, a bez tego się nie oby-

ło, znów mnie ten strach łapał. Za gardło ścisnął. Dusił. Tyle zyskałem, przez ten cyrk, przez tańce, przez boks, że mnie już teraz nikt nie rozłoży na cztery łopatki. Ale tchórz we mnie dalej, siedzi w środku. Nienawidzę tego tchórza, i siebie. A najwięcej nienawidzę bab. Że to wszystko przez nie. Że bać się muszę i że łąać mu-szę. Łgać, że się nie boję...

Miałam już dość. Skorzystałam z momentu, kiedy dopijał

resztki mojej piekielnej mieszanki, i wtrąciłam brutalnie:

—
Właściwie po co mi pan to wszystko mówi?

Wzruszył ramionami.

—
A bo ja wiem? Nie wiem. Może dlatego, że pani pierwsza powiedziała mi prawdę. Odkryła mnie pani. Że jestem podłym gnojkiem, zafajdanym tchórzem. Że mszczę się za moją krzywdę 82

na niewinnych ludziach. A może dlatego, że pani się mnie nie przestraszyła... Inni się mnie boją i jak widzę w ich oczach strach, to jest wtedy tak, jakbym się w lustrze przeglądał i sam siebie widział. I nienawidzę ich wtedy, tak jak samego siebie. I pozabijałbym ich wszystkich, gdybym mógł. Ale zabić — też się boję...

Mruknęłam z przekąsem:

—
Uwierzyli panu, że nie zabił pan Marioli?

Pogardliwie wydał wąskie usta:

—
Dlaczego mieli nie uwierzyć? Mówią, że ten, co to zrobił, zabił ją o ósmej. A o ósmej to ja siedziałem grzecznie w „Cristalu”. I nie ruszyłem się stamtąd na krok. Nie tylko ta stara żyrafa, Katarzyna, potwierdza, że tak było. Siedział tam jeszcze mój majster z budowy ze swoją cizią, siedziała taka jedna, z rady narodowej, Bożenka, co z naszym inżynierem kombinuje i przez niego swojego chłopaka rzuciła, bo wy już takie jesteście...

Przypomniałam sobie: hotel robotniczy, w którym mieszka Rysiek, znajduje się tak niedaleko Zalipia. Zapytałam od niechcienia:

—
Czy nie pytali pana czasem, co pan robił tego wieczora, kiedy zginęła Brydowa, ta z Zalipia?

Przymrużył cwaniacko oczy.

—
Hej, hej, paniusiu. Gotów jestem odwołać moje pochwały na pani cześć. Ciągnie mnie pani za język, jakby była pani z milicji. Ale mogę powiedzieć, czemu nie. Pytali gliniarze, pytali. I w tym sęk, a w tym sęku dziura. Niech pani nie myśli, że jestem głupi. Ja już też wiem, że Mariolkę zabił ten sam, co

Brydową. A co do Brydowej, to ja jestem czysty. Jak aniołek. Cały wieczór z kole-siami w karcie-ta rżnęliśmy w świetlicy. Pół baraku widziało.

83

Skwitowałam to wyjaśnienie obojętnie:

—

Ja tam śledztwa nie prowadzę. Mnie nie musi się pan tłumaczyć. Tak sobie tylko zapytałam, z ciekawości.

—

Ciekawi krócej żyją – zauważył filozoficznie.

—

Zdarza się – nie pozostałam mu dłużna.

—

Gadane to pani ma...

—

Dlaczego chciał pan wyjechać ze Świernika? To pana ob-cięża.

—

Mariola nie przyszła na spotkanie do „Cristalu”... Pomy-

ślałem: do diabła ze wszystkim... Zbrzydł mi Świernik.

—

Po co właściwie pan do mnie przyszedł? – powtórzyłam pytanie, które zadałam na początku, gdy tylko wtargnął przemocą do mojej kawalerki.

Tym razem nie usłyszałam oskarżeń ani impertynencji. Ton miał jednak wciąż lekceważący, tyle tylko, że ja już wiedziałam, co ukrywa ta poza.

—

Chciałem dowiedzieć się od pani, o czym gadałyście z Mariolą na kamieniach... Co ona pani o mnie nabujała.

—

Po co to panu? Nic już jej to nie pomoże.

—

Ale ja chcę wiedzieć.

Odparłam ze zniecierpliwieniem:

—

Prawdę powiedziała. Jak było, jak poznaliście się. Jak ją do lasu pan wywabił. Jak zachorowała i w ciężę zaszła. I że pan nie pozwolił jej leczyć się. Że pan jej groził...

Zatkał uszy i krzyknął z zamkniętymi oczyma: – Dość!

—

Nie podoba się panu. No widzi pan. Nie trzeba było napraszać się. Pan się uparł, to powtórzyłam.

Podniósł się z krzesła ociężale i ruszył w stronę drzwi.

—

Niech pan poczeka – powiedziałam. – Drzwi wejściowe są 84

zamknięte o tej porze. Muszę je panu otworzyć moim kluczem.

Wolę, żeby nie budził pan dozorcę.

Z przerażeniem spojrzałam na zegarek. Była trzecia nad ranem.

Co powiedzieliby moi sąsiedzi, co pomyśleliby ludzie, gdyby tak ktoś zobaczył, jak rzekomo stateczna siostra Anna w środku nocy wypuszcza po kryjomu ze swego mieszkania młodego człowieka.

Zeszliśmy po schodach prawie bezszelestnie. Ostrożnie przekręciłam klucz, uchyliłam drzwi wolniutko, żeby nie słychać było ich skrzypienia.

Naszego osiedlowego podwórza nie rozświetlały już kwadraty okien, z rzadka rozstawione latarnie niezbyt skutecznie rozprasza-

ły ciemność. Noc była przenikliwie chłodna. Mżył deszcz. Rysiek skulił się, zdawało mi się, że zadrżał. Znów przypominał zziębnię-

tego ptaka. Mimo woli nasze spojrzenia powędrowały w jedną stronę: w kierunku płaskiej, długiej budowli. Garaż. Za nim sterta odpadków budowlanych. Potocznie nazywamy to miejsce tak, jak mówił o nim Rysiek: „kamienie”.

Odezwał się tak cicho, że z trudem dosłyszałam pytanie:

– Czy ona mnie bardzo nienawidziła?

Nie wiedziałam doprawdy, co będzie z mojej strony bardziej okrutne: jeżeli powiem, że przeklinała czy że kochała tak, jak kocha się pierwszy raz w życiu? W dawnych czasach, kiedy ryce-rze walczyli ze sobą wręcz, dobicie sztyletem beznadziejnie ran-nego przeciwnika nazywało się „ciosem łaski”. Musiałam zadać taki cios. Zrozumiałam w tej chwili Mariolę. Zrozumiałam to, z czego ona sama sobie nie umiała zdać sprawy jasno do końca.

Powiedziałam w jej imieniu z głębokim przekonaniem: 85

– Ona pana bardzo kochała.

Znikł w mroku. Taki zły i odpychający. I taki biedny, bezdomny i samotny. Człowiek bojący się samego siebie. Minał jeszcze jeden tydzień i dziś już nic o nim nie potrafię powiedzieć: co się w tych dniach działo, czym je wypełniałam, takie mi się wydają z odległości czasu puste i nieważne. Siódmego dnia, licząc od daty śmierci Marioli, zamordowano w naszym mieście trzecią kobietę.

Tą trzecią ofiarą była ruda Heńka z komisowego sklepu.

Rozdział 5

–

Jeśli się o Heńkę rozchodzi, było do przewidzenia, że źle skończy. Ja to już dawno jej prorokowałam. Do każdego chłopaka zęby szczerzyła, no nie?

Jula Kordaszewska z Zalipia wsadziła do wózka swoją najmłodszą pociechę i nasunęła daszek, żeby na Jasiulka nie spadła kropla deszczu. Wygłoszony do mnie komentarz na ogół pokrywał

się z opinią publiczną. Stałyśmy obie przed wejściem do ośrodka.

Mój dyżur właśnie się skończył i spieszyłam do mojej ukochanej biblioteki, bo już przeczytałam trzeci tom „Sagi rodu Forsytów” i ogromnie byłam ciekawa, co się dalej stanie z piękną Ireną. Jeżeli nie zdążę dotrzeć do wypożyczalni na czwartą, pani Róża Czempińska zamknie swój sklepik i będę musiała czekać do poniedział-

ku, czyli całe dwa długie dni, na następny tom pasjonującej lektury.

Z Julą nie była jednak łatwa sprawa. Wypadało mi pomóc jej w zniesieniu wózka po kilku stopniach ganku. Potem stwierdziła, iż nie wątpi, że pomogę jej również załadować się z żywym bagażem do tramwaju. Westchnęłam z rezygnacją. Na szczęście, pomyśla-

łam, do przystanku stąd niedaleko. Juli chodziło wszakże przede wszystkim o bliższe szczegóły, związane ze śmiercią Heńki:

–
Jak to? Mieszka pani drzwi w drzwi ze Zdebniakiem i nic 87

pani nie wie? – Miała do mnie wyraźną pretensję.

–
Kiedy jemu nie wolno zdradzać tajemnic służbowych –

tłumaczyłam jej cierpliwie. – Mieszkamy wprawdzie obok i bywam w jego domu, ale nigdy nie rozmawiamy o takich sprawach...

Klasnęła w ręce ze zgorzeniem.

–
Ale! Nie tacy oni święci, jak pani mówi. Milicjant też człowiek i przed kimś wygadać się musi. Choćby przed rodziną.

Mówiła Hajdukowa, że mówiła jej Wiśniewska, a tej znów Zdebniaka teściowa powiedziała, jak chusteczki do nosa kupowała, że znów Brydę podejrzewają. Znów go podobnie na milicję wołali, żeby się tłumaczył, co robi i gdzie był, kiedy Heńka zginęła...

Nie mogłam wyjaśnić naszej plotkarce nad plotkarkami, że mi

„łyso” – jak mawia nasza młodzież – z powodu pewnej powścią-

gliwości, którą wyczuwam ostatnio ze strony Staśka Zdebniaka w stosunku do mojej osoby. Nie żeby był niegrzeczny czy opryskliwy. Bynajmniej. Ale traktuje mnie z jakąś nieokreśloną rezerwą.

Mówi na przykład coś na temat ostatnich wydarzeń i patrzy na mnie badawczo, jak gdyby chciał zaobserwować moją reakcję na jego słowa. Albo milknie nagle, urywa w pół zdania jakąś rewelację, z miną, która mogłaby oznaczać: „Nic ci więcej nie powiem. I tak zagalopowałem się zbyt daleko”. A tymczasem całe miasto aż grzmi od informacji, prawdziwych i sprzecznych z prawdą, i wła-

ściwie niepotrzebny mi Zdebniak, żeby dowiedzieć się wszystkiego o śmierci Heńki Suwarówny. Nie dalej jak poprzedniego popo-

łudnia pan Feliks spotkawszy mnie na ulicy szepnął konfidencjonalnie:

–
Wie siostra, tego narzeczonego Kozubówny widziałem, 88

jak z komendy milicji wychodził. Mówiła mi żona jednego z milicjantów, moja klientka, że on jest pod stałą obserwacją...

—
Wątpię, żeby on to zrobił – mruknęłam z rozdrażnieniem.

Nie umiałam zdać sobie sprawy, dlaczego stoję po stronie Ryś-
ka.

Pan Feliks zrobił tajemniczą minę.

—
Ja go też nie podejrzewałbym. To prosty chłopak. A ja myślę, że te wszystkie trzy kobiety zabił jeden i ten sam człowiek.

Musi być bardzo przebiegły, to nie lada kto, nie byle urwipoleć.

Żadnych śladów nie zostawia, wie pani? Nie złapią go. Już mówią o nim na mieście – nieuchwytny...
— mina pana Feliksa wyrażała szczery podziw.

Heńki nie zabito w pochmurny, jesienny wieczór, który wydaje się dekoracją, stworzoną dla spraw ciemnych i złych. Morderca dokonał swego dzieła w biały dzień, o godzinie dziesiątej rano, kiedy potępiona przez wszystkie zacne matrony w Świerniku trzpiotka udawała się przykładnie do pracy, rozpoczynającej się o jedenastej. Henia Suwarówna mieszkała w dzielnicy zwanej Stawy, równie odległej od centrum miasta, jak nasze osiedle, ale po-

łożonej w zupełnie innym kierunku. Gdyby wziąć plan Świernika i połączyć prostymi liniami Zalipie, nasze osiedle i Stawy, utworzy-

łyby się prawie równoramienne trójkąt, którego wierzchołkami byłyby te właśnie przedmieścia, jego zaś środek mieściłby się w samym centrum miasta. Stawy łączy ze śródmieściem linia auto-busowa. Kiedyś były tam rzeczywiście duże stawy, stąd nazwa okolicy. Dziś po rozległych wodach pozostały tylko gdzieś tam bajorka, zarośnięte gęsto tatarakiem i wierzbami. W zimie, gdy S9

te płycizny zamarzają, ślizgają się na nich dzieci, latem unoszą się tu stada komarów i wciąż mówi się o konieczności ostatecznego zmeliorowania terenu.

Właśnie nad brzegiem jednego z tych bajorek, wśród zarośli wierzbiny, w odległości nie większej niż dwadzieścia metrów od głównej drogi, którą kursuje autobus – znalazł zwłoki Heńki jakiś chłopiec. Szedł do szkoły na drugą zmianę, na jedenastą, i zboczył

ku kępie wierzb, aby naciąć witek, gdyż na robotach dzieci miały wypłacać koszyczki. Tak więc nie ulegało wątpliwości, że Henia Suwarówna została zamordowana między dziesiątą – sąsiadki właśnie o tej godzinie widziały ją wychodzącą z domu – i dziesiątą-

trzydzieści, gdy natknął się na nią ów chłopiec.

Wiedziałam już o tym wszystkim – i to bynajmniej nie od Staśka Zdebniaka. Wiedziałam też jeszcze więcej niż pan Feliks.

Narieczony Janki Wąsikówny, mojej koleżanki z ośrodka, pracuje jako sanitariusz w pogotowiu ratunkowym. Był przy tym, jak wy-ciągano Heńkę z zarośli. Istniało prawdopodobieństwo, że jeszcze uda się ją odratować, dlatego wezwano pogotowie. Było już jednak za późno. Janka w barwnym opisie nie szczędziła mi maka-brycznych szczegółów.

Gdybym nie znalazła zamordowanej Brydowej, gdybym nie rozmawiała z drugą kolejną ofiarą, Mariolką, pół godziny przed jej zgonem, może nie przejmowałabym się tak bardzo tą trzecią śmiercią. Wysłuchiwałabym wszystkich doniesień na jej temat tak, jak się słucha wiadomości o trzęsieniu ziemi w dalekim kraju.

Wiadomo, dzieje się gdzieś tragedia, zginęli ludzie, lecz mnie to nie dotyczy, moja wyobraźnia pozostaje nieczynna. Ale tu działa-

ła, podsuwała mi przed oczy konkretne obrazy. Nie było mi 90

obojętne to zmasakrowane, nieszczęsne ciało, w którym nasze kumoszki dostrzegały wyłącznie upostaciowanie grzesznej poku-sy, choć Bogiem a prawdą ogólnie było wiadomo, że Heńka to porządna dziewczyna, łasa tylko na zabawy, zalecanki i ciuchy.

Jula Kordaszewska dreptała przy mnie sapiąc z emocji, z ciekawości, aż ślinkę głośno przełykała, jak żarłok na widok jedzenia

– głodna każdego szczegółu sprawy. Było to wstrętne.

Ogarnęła mnie nieprzytomna wściekłość. Na te wszystkie ba-by, jak powiedziałby Rysiek Jaskólski, pocziwe kokoszki gnieź-

dzące się obyczajnie na grzędach swoich domowych ognisk, za-chłystujące się zgorszeniem, gdy tylko ktoś naruszy ustalone regu-

ły przeciętnego życia albo zabłyśnie wyzywającą urodą – a takie w głębi swoich dusz okrutne, zachłanne na cudzy ból, gorejące żądzą zerknięcia bodaj przez lufcik do królestwa Lucypera, do piekła, które nie gdzieś w zaświatach się mieści, ale na ziemi wśród ludzi. Chce wiedzieć Kordaszewska – niech wie. Niech się napawa, naje, nasyci. Nie zataję przed nią niczego. Poczulałam się nagle, jak gdybym nie była sobą, jak gdybym rozdziwiła się, rozdzieliła na dwie istoty. Jedna była zwykłą, dobrą, pocziwą Anną, druga Anną złą, Anną sadystką, dla której rozkoszą było widzieć w małych, burych oczkach Juli narastającą falę przerażenia słowami wydobywającymi się z sykiem spoza moich zaciśniętych zębów. Czułam, że zalewa mnie obłęd, niesie mnie, porywa po-sępny, morderczym nurtem w jakąś otchłań, której dna nie znam. Nie potrafiłam się oprzeć. Pękła we mnie jakaś tama i lała się ze mnie powódź drastyczności, okropności, koszmaru, w któ-

rym sam fakt śmierci wydawał się cichą wyspą, bezludną, lecz zbawczą wśród szalejącego żywiołu, wzburzonego oceanu.

Mówiłam tym ciszej, im bardziej wszystko we mnie krzychało:

– Bił! Bił! Bił ją po głowie. Takim czymś, co okrągłe jak rurka, ale z uchwytem na końcu. Dziury miała w głowie, że mózg jej powyciekał, a połowa włosów wcisnęła się pod czaszkę. I czarny kabel założył jej na szyję. I zacisnął, aż język wyszedł jej, o, do-tąd, po sam koniec podbródka, zębami go przygryzła, więc był

siny i wielki, i spuchnięty... Tam jest taki długi płot, gdzie skład opałowy i składnica złomu, tam ją dopadł, a potem włókł aż do wierzbiny. Tam ją obnażył i kaleczył czymś ostrym, chyba żyłką, po piersiach, po brzuchu, po udach, a krwi było tyle, że i po porodzie najcięższym nie bywa. I jeszcze...

Przestałam słyszeć mój własny głos. Nie wiedziałam już, co mówię. Widziałam tylko – ale tak, jakby cudzymi oczami, że Kordaszewska drży i blednie. Dla jej małej duszyczki było tego za wiele. Zatrzepotała rękoma, jak człowiek, który tonie, i wydała z siebie cienki pisk. Tak piszczy mysz, kiedy ją dusi kot. Siebie nie słyszałam, ale ten pisk dotarł do mojej świadomości. Urwałam.

Anna druga zamilkła i znikła we mnie tak samo nagle, jak się ujawniła. Była już tylko jedna Anna.

Anna pierwsza: zwykła, dobra, poczciwa. Ta Anna ze zdumieniem patrzyła, jak przysadzista i tęgawa Julia Kordaszewska, pcha-jąc przed sobą w panice dziecinny wózek, nie oglądając się wstecz za siebie, umyka cwałem, drobnym kroczeniem przez pusty zaułek ku przecznicy, ku tramwajowemu przystankowi, ku ludziom, tłumnie o tej porze spieszącym do domów.

Roześmiałam się histerycznie. Przed kim to tak ucieka poczciwa Julia Kordaszewska? Nie przed mordercą kobiet przecież.

Przedemną. Ale może także przed sobą?

Ochłonęłam już w dostatecznej mierze, aby zmobilizować się do pośpiechu. Zawróciłam, gdyż nie tędy prowadziła droga do biblioteki. Skręciłam w jedną z bocznych uliczek i co tchu, wycią-

gając w biegu moje długie nogi, zdążyłam dopaść celu na minutę przed czwartą. Na szczęście drzwi były jeszcze otwarte. Pani Róża Czempińska, dama godna szacunku i zawsze nieskazitelnie ubrana, usiłowała pozbyć się zapóźnionych czytelników przy pomocy gderania:

– Dobrzy ludzie przychodziliby wcześniej. Nie w ostatniej minucie. Przecież to sobota. Ja też muszę sobie coś pozafatwiać przed niedzielą. Zakupy zrobić. Do fryzjera skoczyć...

Wymownym gestem wypielegnowanej dłoni dotykała swojej fryzury, która zawsze wyglądała tak, jak gdyby pani Róża dopiero co opuściła fotelik przed lustrem w salonie fryzjerskim pani Ewy.

Bo pani Róża czesała się u pani Ewy. Ani jeden włoszek na jej głowie nie leżał na nie swoim miejscu. I w ogóle pani Róża, osoba pięćdziesięcioletnia, była bez zarzutu. Stanowiła typ tak zwanej

„dobrej pani”, uprzejmej dla maluczkich, uczynnej dla potrzebują-

cych pomocy. Pisywała dziewczętom listy miłosne do ich chłop-ców, którzy byli w wojsku, zbierała używaną odzież dla staruszek samotnych i ubogich, wynajdywała dobre posady dla bezdomnych psów i kotów. Nikt tylko nie umie powiedzieć, dlaczego opuścił ją mąż po długoletnim pożyciu i jak to się stało, że syn tak roztropnej i energicznej niewiasty pędzi gdzieś w Polsce, w stronach bliżej nie określonych, niecnoty i szalony żywot niebieskiego ptaka.

Opuściłam bibliotekę z opasłym tomem „Forsytów” pod pachą jako jedna z ostatnich. Biblioteka mieści się w czynszówce na 93

pierwszym piętrze. Gdy schodziłam po ciemnych, krętych schodach, usłyszałam za sobą czyjeś kroki. Wydały mi się znajome. Odwróciłam się. Dreptał za mną, kłaniając mi się uprzejmie, mój sąsiad z góry, inżynier Andrzej Rot. Widocznie też był w bibliotece, bo w ręku trzymał książkę, ale nie dostrzegłam go, zajęta przeglądaniem nowości wydawniczych.

Na ulicy znaleźliśmy się jednocześnie. Zmierzch już zapadał i zrobiło się zimno, wiał porywisty wiatr. Przystanęłam, żeby zapiąć kołnierz płaszcza. Andrzej Rot zatrzymał się również, z miną nie-zdecydowaną i zakłopotaną. Postąpił krok naprzód, potem cofnął

się i znów uchylił kapelusza:

—

Czy pani sąsiadka udaje się w kierunku domu?

Miałam ochotę roześmiać się. Znów ten górnołotny styl. Komiczny facet. Odpowiedziałam:

—

Owszem. Jak najbardziej.

Przy krawężniku stała syrenka pana inżyniera. Zrozumiałam.

Uważał, że nie wypada odjechać samochodem sprzed mojego nosa, nie proponując podwiezienia pod dom, w którym oboje mieszkamy. Z drugiej strony – chyba wcale nie miał na to ochoty.

Postanowiłam dokuczyć panu inżynierowi. Kiedy zrobił nieokre-

ślony ruch ręką, mogący oznaczać wszystko, ale między innymi także zaproszenie do zajęcia miejsca w jego wozie, zawołałam z entuzjazmem:

—

O, jaki pan inżynier uprzejmy! Dziękuję. Skorzystam bardzo chętnie – i nie zwlekając ani chwili wskoczyłam na przednie siedzenie obok kierowcy.

Wygląda wprawdzie na niezgułę, lecz przyznać muszę, że prowadzi samochód znakomicie. Szybko, pewnie, przepisowo.

Może to i prawda, że kierownica w rękach mężczyzny utwierdza 94

w nim poczucie własnej wartości i przewagi nad światem kobiet.

Przyjrzałam się mojemu sąsiadowi z ukosa. Właściwie pierwszy raz miałam okazję oglądać go z tak bliska. Był przystojniej-szy, niż sądziłam. Miał szczupłą, pociągłą twarz o śniadawej cerze, jasnoszare oczy patrzące bystro i inteligentnie; gęste, lekko falujące ciemnoblonde włosy zaczynały mu siwieć na skroniach.

Dziwne, że już siwieje – pomyślałam – przecież nie ma chyba więcej niż czterdzieści kilka lat.

Niespodziewanie odezwał się:

–

Czy pani jadła już obiad?

Odpowiedziałam przekornie, przedrzeźniając jego sposób wy-sławiania się:

–

Z przykrością stwierdzam, iż nie zdążyłam jeszcze spożyć obiedniego posiłku.

Roześmiał się. Miał miły, szczery uśmiech. Ładnie wykrojone wargi odsłoniły rząd lśniąco białych zębów. Odparł:

–

Ja tak samo. Spóźniłem się dziś do stołówki i zastałem z jadłospisu już tylko gulasz. A ja nie znoszę gulaszu.

–

Okropna potrawa – zgodziłam się ochoczo. – Zwłaszcza w wydaniu stołówkowym.

–

Wobec tego proponuję, żebyśmy razem zjedli obiad. Gdzie pani jada?

–

W „Jagódce”.

Skrzywił się komicznie.

—
Zanadto sielska nazwa, aby wróżyła niebiańską ucztę. Zapraszam panią do „Smakosza”.

Wymienił najlepszą restaurację w naszym mieście. Poczulałam się bardzo podniesiona na duchu, ale jednocześnie pomyślałam, 95

ile to będzie gadania w Świerniku, jeżeli spotkamy kogoś znajomego. Siostra Anna zaczyna się źle prowadzić, włóczyć się z mężczyznami po knajpach... Nie opuścił mnie jednak widocznie tego dnia wisielczy nastrój, gdyż uświadomiłam sobie, że nic nie jest w stanie powstrzymać mnie przed tak szaleńczą eskapadą, jak zjedzenie cielęcego sznycla po wiedeńsku w „Smakoszu” w towarzystwie człowieka, o którym nic prawie nie wiem.

—
Widuję panią często w bibliotece – skonstatował, gdy sie-dzieliśmy już przy stoliku czekając na zamówione potrawy. —

Wnoszę z tego, że lubi pani lekturę.

—
Owszem, nie pomylił się pan. Właściwie to prawie jedyna moja rozrywka – potwierdziłam.

W duchu zdziwiłam się: kiedy to on mnie widział w bibliotece?

Ja go nie zauważyłam. Nie zdradziłam się jednak z tą wątpliwo-

ścią. Mężczyźni bywają na ogół zarozumiali, nie trawią myśli, że któryś z nich pozostaje w tłumie niedostrzegalny.

Postanowił widocznie trzymać się tematu bezpiecznego, bo mało obowiązującego:

—
Dziś wzięła pani powieść, którą można właściwie nazwać rozrywkową. Ale na ogół zdaje się, że gustuje pani w książkach poważniejszych.

—
Skąd pan wie?

—
Kilka razy wybrałem z katalogu interesujące mnie pozycje, ale nie mogłem ich z miejsca wypożyczyć. Pani Róża wspomniała parokrotnie, że te tytuły wzięła siostra Anna. Czyli pani.

–
Cóż w tym złego albo dziwnego?

–
Hm... – zamruczał speszony – u kobiety... i przy pani zawodzie... a tu historia, polityka, socjologia, odkrycia naukowe...

96

Widzieliście: „u kobiety”. Cóż on sobie myśli? Że my tylko romanse i książki kucharskie czytujemy do poduszki? Byłam skłonna obrazić się, ale spasowałam. Po co mam psuć sobie nie-codzienną przygodę. Kto wie, czy podobna okazja nadarzy mi się jeszcze choć jeden raz w życiu. Powiedziałam wyrozumiale:

–
Widzi pan, od dzisiejszej pielęgniarki wymaga się o wiele więcej, niż kiedyś bywało. Nie zaszkodzi, jeżeli wie cokolwiek więcej o świecie i ludziach. Natomiast jeśli konkretnie o mnie chodzi, to...

Kelner postawił przed nami dwa imponujące cielece sznycle ozdobione złoto-białymi krążkami sadzonych jajek i barwnym wianuszkiem kilku gatunków jarzyn. Kieliszki zaszły mgłą od dobrze oziębionego białego wina.

–
Jeśli o panią idzie, to co? – ponaglił mnie, kiedy usłużny kelner odpłynął, żonglując zręcznie opróżnioną tacą.

Doprawdy, nie umiałam sobie nigdy potem wytłumaczyć mojego nieopatrzego, nie przemyślanego postępowania tego dnia.

Jeden wyskok w obecności Kordaszewskiej, drugi wobec obcego mi zupełnie mężczyzny, którego w dodatku nie darzyłam dotychczas najmniejszą sympatią. Coś mnie jednak podkusiło, aby opowiedzieć mu o sobie wszystko, czego nikt bodaj w Świerniku nie wiedział. Roztoczyłam przed nim obraz tragicznego dzieciństwa, niełatwej młodości, wszystkich ciosów i załamań, jakich nie szczędziło mi życie.

Oto nasze mieszkanie we Lwowie... Odkąd pamiętam, dookoła wszędzie książki. Książki, książki i tylko książki. Na stołach, na półkach, na krzesłach, na podłodze. Potykałam się o nie na moich małych, chudych nóżkach, przewracałam się, siadywałam na nich i zdarzało mi się także na nich zasnąć... I ludzie, zawsze dużo 97

ludzi. Pacjenci ojca, jego studenci, chyba również współpracowni-cy. Słyszałam, jak mówili do niego wszyscy: „Panie profesorze”.

Tak rzadko mówił ktoś do niego inaczej, że i ja, mała, naśladowa-

łam otoczenie. Też mówiłam do ojca, sepleniąc: „Panie profeso-ze”, a wszyscy się śmieli. Matka pracowała naukowo, była chemikiem. Mnie pilnowała stara ciotka, siostra ojca. A może wtedy nie była naprawdę stara, mnie tylko wydawała się wiekowa. Wciąż się o coś gniewała, to na rodziców, to na mnie. Zapamiętałam z tych czasów jej ustawiczne gderanie: „To nie dom, ale biblioteka. Jeden wielki bałagan”.

Zamieszanie zrobiło się jeszcze większe, kiedy wybuchła wojna. I to już dokładnie pamiętam, jak po ojca przyszło gestapo i nie wrócił. Został rozstrzelany. W mieście szalał tyfus. Pewien słynny lwowski uczyony wynalazł szczepionkę, ale do jej produkcji i do badań potrzebne były wszy. Dużo wszy. Nie było czym ich karmić. Podjęła się tego zadania grupa młodych naukowców, wśród nich i moja matka. Do gumowego paska przyczepiano klateczki z owym żywym inwentarzem, tak przygotowane bransoletki karmi-ciele zakładali na swoje nogi. Ale za to otrzymywało się jakiś tam głodowy przydział żywności. Z tego żyłyśmy. Potem matka umar-

ła. Na zapalenie płuc. Miałam wtedy siedem lat. W domu było zimno jak w lodowni, nie było czym palić w piecu. Więc paliło się książkami. Ciotka bardzo to sobie chwaliła, mówiła, że nareszcie do czegoś się przydają. Kiedy wojna się skończyła, miałam już dziesięć lat i sporo rozumiałam. Pewnego dnia wyszłyśmy z ciotką z naszego mieszkania z niedużymi tobołkami. Zatrzasnęły się za nami drzwi. Za nimi pozostały w pustce sterty książek, które jeszcze ocalały. A dla mnie za tymi drzwiami zostało całe moje 98

dzieciństwo, cały dotychczasowy świat.

Wylądowałyśmy we Wrocławiu. Tam chodziłam do szkoły.

Ciotka chciała, żebym została krawcową, bo z tego można żyć.

Ale ja koniecznie chciałam studiować medycynę. Dręczyła mnie co dzień wypominaniem, że mnie utrzymuje, żebym pamiętała, iż jej zawdzięczam życie i naukę. O rodzicach mówiła z lekceważeniem. Najpierw jej po prostu nie lubiłam, potem ją zniechęcałam-

łam. Za babską skrzętność, drobiazgowość, małostkowość, za tyranie, za wścibskie wtrącanie się do każdej minuty mojego dnia.

Za zwierzęcą wprost żywotność, która jej pozwoliła przetrwać, podczas gdy moi najbliżsi zginęli.

Pewnego dnia wyszłam z jej domu nie oglądając się za siebie, po prostu zamknawszy drzwi tak, jak to ona zrobiła, opuszczając mieszkanie moich rodziców. Zaczęłam studiować medycynę w Warszawie. Pomogli mi koledzy ojca, wielu z nich pamiętało go, niektórzy byli po prostu jego uczniami. Odżyłam. Kiedy już byłam na trzecim roku, zakochałam się. Mój ukochany był starszy ode mnie o trzy lata, właśnie zdawał końcowe egzaminy. Starał się o pracę. Zależało mu na tym, aby pozostać w Warszawie, myślał o karierze naukowej. Marzyliśmy o wspólnej przyszłości, ale co mogłam mu ofiarować oprócz uczucia i perspektywy, że zacznę pracować za kilka lat? Nie miałam nic oprócz stypendium i miejsca w akademiku. Nocami pracowałam jako korektorka w drukar-

żeby móc sprawić sobie buty, sukienkę, pończochy.

I wtedy znalazła się kobieta, która kupiła sobie mojego Zygmunta. Była starsza od niego, ale nie zbywało jej na szyku i urodzie. Miała stanowisko, mieszkanie w Warszawie, stosunki. I on poszedł na to, poszedł na posadę „męża swojej żony”. A ja to 99

odchorowałam. Wpadłam w apatię, groziła mi ciężka choroba nerwowa. Lekarze kazali mi przerwać naukę na rok. Tułałam się po sanatoriach. Na studia już nie wróciłam, zbyt bolesne wiązały; mi się z nimi wspomnienia.

Wystarałam się o dyplom pielęgniarki i przyjechałam do Świernika. Ciotka we Wrocławiu umarła; do końca życia twierdzi-

ła, że ja ją wpędziłam do grobu przez niewdzięczność. Pochowa-

łam ją bez żalu. Teraz żyję jak ślimak. Mój domek dźwigam na sobie, rzadko wystawiam rogi, częściej je chowam... to wszystko.

Z dawnego życia, które wydaje mi się takie dalekie, jak gdybym istniała w nim w innym wcieleniu, zachowałam miłość do książek i ciekawość wiedzy.

Inżynier Andrzej Rot słuchał uważnie. Nie przerywał mi, czasami tylko potakująco kiwał głową, dając do zrozumienia, że pochwala moje postępowanie.

Nasz obiad znajdował się już na etapie deseru. Piliśmy kawę ze znakomitym tortem, kiedy rzucił od niechcenia:

—

Ze sposobu, w jaki mówi pani o ciotce, można wnioskować, że nie lubi pani kobiet.

—

Nie wierzę im – sarknęłam gniewnie, podniecona tokiem wspomnień, na które rzadko sobie pozwalałam nawet w samotności.

— Są zachłanne i podstępne. Chyba mam powody, aby tak twierdzić. Czyż nie?

—

Ależ tak – potwierdził gorliwie.

Zapaliłam się do tego tematu. Opowiedziałam mojemu nowemu powiernikowi o scysji z Julą Kordaszewską. Stwierdziłam bez ogródek, że przez takie jak ona można nabrać wstrętu do kobiet na całe życie. Nie ulega jednak wątpliwości, iż naraziłam się całemu stadu jej kum i przyjaciółek.

–
Doskonale panią rozumiem – pokiwał głową i uśmiechnął

się z zażenowaniem – bo ja też nie lubię kobiet... Po prostu nie lubię.

Wypowiedział te słowa miękko, jakby od niechcienia, ale zwró-

cił moją uwagę wyraz jego oczu. Pojawił się w nich ostry, chłodny błysk – szare tęczy przypominały teraz bryłki lodu.

Nastroszyłam się. Mogłam nie lubić kobiet – moja sprawa. Ale przebudziło się we mnie pod wpływem ostatnich wydarzeń oso-bliwe uczucie na wszelkie przejawy wrogości w stosunku do kobiet ze strony mężczyzn. Nastawiłam czujnie uszy. Pan Andrzej nie był jednak skłonny do wytłumaczenia mi, dlaczego nie lubi kobiet. Postanowiłam sprowokować go:

–
Nie pan jeden w Świerniku... jak się obecnie okazało – za-

żartowałam z najniewinniejszą w świecie miną.

Spojrzał na mnie podejrzliwie i odpowiedział z powagą:

–
Nie sędzę, żeby to było to samo. Mnie się zdaje, że ten, kto zabił te kobiety... jednocześnie lubi kobiety i nie lubi ich. To jest jakiś patologiczny typ. W normalnym, zdrowym człowieku miłość i nienawiść rozgraniczają się. Czasami miłość przechodzi w nienawiść i odwrotnie, to inna sprawa, ale nigdy nie są tym samym uczuciem, nie pokrywają się, nie są ze sobą zrośnięte, nie nakładają się na siebie w jednym i tym samym czasie.

Zainteresowało mnie to.

–
I pan sądzi, że nienormalność mordercy polega na tym, że zagubił się gdzieś ten przedział? Znikła ta granica i oba uczucia poplątały mu się?

–
Właśnie. On pragnie kobiet i zarazem dąży do unicestwienia-
nia ich.

Trudno mi to zrozumieć – bąknęłam. – Mój fryzjer, pan Feliks, który wie o wszystkim, co się w mieście dzieje, twierdzi, że ten morderca jest nieprzeciętnie inteligentny i że milicji nie uda się go złapać...

–

Tak? To ciekawa teoria – Rot zamyślił się i dodał: – I wcale nie taka głupia...

–

Ale mniejsza z nim, z tym mordercą, niech się Zdebniak o niego martwi! – zawołałam. – Wolalabym dowiedzieć się, dlaczego pan nas nie lubi...

Znów ukłuły mnie bryłki lodu w jego oczach. Uśmiechnął się z przekąsem:

–

Hm... Szczerość za szczerość? Tak? Nie chce mi pani darować? A ja myślałem, że pani sprezentowała mi swój życiorys bezinteresownie...

–

Po prostu – zauważyłam rzeczowo – byłoby mi głupio, że tak pochopnie wypowiadałam się przed panem, bo ja nie należę do gadułów. Byłoby to coś w rodzaju prezentu z mojej strony, A ja nie mam powodu, żeby dawać komukolwiek prezenty bez wza-jemności. Dlatego proszę o rewanż.

–

Skoro tak... Zresztą, ponieważ już zawarliśmy bliższą znajomość, może nawet lepiej, żeby pani o mnie wiedziała całą prawdę. Bez złudzeń.

–

O czym pan mówi? – zawołałam zaskoczona. – Chyba nie zrobił pan nic złego?

–

Ależ nie! – zaprzeczył z goryczą. – Chociaż... właściwie można do tego i tak podejść. Bo najgorsze, co zrobiłem, to to, że się w ogóle urodziłem.

–

No nie! Tak nie można mówić! – zaprotestowałam.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

–

Kiedy to prawda. Bo ja, proszę pani, w ogóle nie znam 102

moich rodziców. Jestem podrzutkiem. Wychowałem się w sierocińcu. Tak nazywały się przed wojną dzisiejsze domy dziecka.

—
No i cóż z tego – powiedziała ostro. – Nie pan jeden na świecie. Przed wojną może to i miało jakieś znaczenie, ale dziś?

Zwłaszcza po tej wojnie. Kto na to zważa? Grunt, że nie zmarnował pan swojej życiowej szansy.

Ma pan wykształcenie, stanowisko, pracę, którą pan na pewno lubi.

Prawie krzyknął:

—
To się tak mówi! Co może pani o tym wiedzieć? Ja jestem człowiekiem znikąd. Przybysz z innej planety. Wszędzie i dla wszystkich obcy, niczyj. Człowiek, podobnie jak stał, powstaje z różnych elementów. Z tradycji rodzinnej także, choćby była naj-gorsza. Ale moje życie zaczyna się od pustki. Od niczego. Można z tym zwariować, niech mi pani wierzy! Pani nie ma rodziców, ale ma pani wspomnienia o nich, do których może się pani odwołać...

A ja, żebym chciał nie wiem jak i gdybym uruchomił całe biuro śledcze, nigdy się nie dowiem, kim byli moi rodzice, kto był moją matką. Jakaś biedna służąca czy panna z dobrego domu. prostytutka czy wielodzietna kobieta, dla której byłbym ciężarem ponad siły. Mogę puszczać wodze wyobraźni – i wymyślę tylko fikcję.

Człowiek, który zamiast pochodzenia ma fikcję!

Próbowałam go zmiętygować:

—
Mnie się zdaje, że pan za bardzo bierze sobie tę sprawę do serca. Zrobił pan z tego obsesję.

—
A tak – potwierdził. – Obsesję. Ma pani rację. Ale pani nie wie, co to znaczy wychować się w sierocińcu jako podrzutek. U

zakonnicy. Całe dni, doby, miesiące, lata pokrojone na plasterki, jak cienkie skibki razowca. Dziś wiadomo, co będzie się robiło 103

tego samego dnia tygodnia i o tej samej godzinie za miesiąc... Ani sekundy na własność. I myśli własnej, skrytej, bo co i raz do spowiedzi... I wszystko ksiądz wypruje, nawet to, czego się nie pomy-

ślało. Wszystko stąd – dotąd. Według zasad, regulek, zarządzeń.

Próbowałam bagatelizować tę tragedię, nadać jej lżejszy nieco ton:

–

Aha, to dlatego jest pan taki karny, tak dba o przestrzeganie wszystkich przepisów!

–

Chyba tak – zgodził się. – Pani mnie dziś przedrzeźniała, śmieszne się pani wydaje, że ja mówię coś czasami tak przesadnie.

A gdzie się miałem wyuczyć potocznego języka? W naszym od-osobnionym świątku, izolowanym od zwykłych ludzi? Miałem też nauczycielkę polskiego, która nas biła takim długim bambusowym kijem i uszy obrywała, jeżeli który wysłowił się swobodniej...

–

Już nie będę – szepnęłam ze skruchą.

Nie zwrócił na to uwagi. Ponoсила go gorzycz:

–

Ale co było najgorsze... Tyle kobiet dookoła nas przez całe lata. I od żadnej ani jednego gestu czułości. Żadna nie przytuliła mnie nigdy, nie pocałowała, nie pogłaskała po głowie. A przecież w dzieciństwie przechodzi się szkołę uczuć. Taka jedna hrabina zapraszała czasami dzieci z sierocińca na podwieczorek. Posłano do niej kiedyś i mnie. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem z bliska kobietę nie w habicie. Pomyślałem, że tak wyglądają anioły. Ale mój anioł, kiedy się do niego zbliżyłem, odwrócił głowę i mruknął: „Och, moje dziecko, stań trochę dalej, bo pachniesz tak nie-

ładnie”. Moja woń musiała być rzeczywiście niemiła, bo nasze ubranka prano w środkach dezynfekcyjnych. Do dziś i mnie prze-

śladuje ten zapach... Smród czystej duszy.

104

–

To było już tak dawno, panie inżynierze. Nie próbował

pan wyzwolić się od tych wspomnień, zaaklimatyzować w normalnym świecie, kiedy pan opuścił zakład?

–

Próbowałem. Bez wielkiego powodzenia. Na studiach miałem dziewczynę, jak pani swojego chłopca. Była z tak zwanego dobrego domu i dość zamożna, o czym nie wiedziałem, kiedy ją poznałem, bo w ogóle nie zbliżyłbym się do niej. W czasie ferii zaprosiła mnie i pojechałem z nią do jej rodziców. Przeżyłem koszmar. Przecież ja, proszę pani, w ogóle nie wiedziałem, jak należy się zachować w takim normalnym domu. A rodzice, kiedy się dowiedzieli o, moim pochodzeniu, a raczej o braku jakiegokolwiek pochodzenia, wybili panience z głowy ten romans. Takie gadanie, wie pani, w rodzaju: „Nie wiemy, kto zacz. A może dzie-dzicznie obciążony jakąś chorobą”. Już nigdy więcej nie próbowa-

łem zbliżyć się do jakiejkolwiek kobiety. A pani mówi, żebym nie robił tragedii. Po co ja w ogóle żyję? Krąg kobiet jest dla mnie niedostępny. Nie znam ich, nie rozumiem, boję się. Dlatego ich nie lubię.

—

Nie wiem – powiedziałam z namysłem – co mam wobec tego myśleć o naszej nowo zawartej znajomości? Mogę tłumaczyć ją tak: albo mnie pan też nie lubi, albo nie uważa mnie pan za kobietę. W pierwszym przypadku byłoby mi naprawdę przykro.

—

A w drugim?

—

Przywykłam do tego, że wiele osób nie traktuje mnie jako kobiety.

—

Przykro pani z tego powodu?

—

Może.

Znów uśmiechnął się. Okruchy lodu w szarych oczach stopnia-

ły.

—

Odpowiem pani szczerze. Ja też nie wiem. To znaczy, nie 105

wiem, co mnie skłoniło do zaproszenia pani na obiad. I nie wiem jeszcze, czy panią lubię, czy nie. W każdym razie nie boję się pani, a to jak na mnie już dużo. Pani jest zupełnie inna niż przeciętne kobiety.

Miałam ochotę zakrzyknąć: mój Boże, i ja usłyszałam wreszcie w moim samotnym życiu, że „jestem inna niż wszystkie”. Widocznie używanie tego sloganu jest u mężczyzn wrodzone, bo wątpię, aby inżynier Rot miał przy swoim starokawalerstwie dużo okazji do nauczenia się tej formułki wstępnej...

Pożegnaliśmy się przy garażu bardzo serdecznie. Mogłam in-

żyniera ze spokojnym sumieniem pozostawić samego, gdy wprowadzał syrenkę do boks. Mojego motocykla, jeszcze tam nie było i przypomniałam sobie, że koniecznie w poniedziałek muszę odwiedzić warsztat remontowy, bo ta naprawa stanowczo za długo już trwa.

Ale Rot i tak, czy był mój motor w boksie, czy go nie było, wiercił się i kręcił ze swoją syrenką jak w tańcu, zanim nakierował

ją prosto na wjazd do garażu. Było mi to nawet na rękę. Długie promienie światła reflektorów omiały mnie raz po raz, zmierzając ku wejściu do naszego bloku. Było tu dość ciemno i ja w ten sposób miałam drogę oświetloną. Mogłam nawet nie patrzeć pod nogi omijając wyboje. Rzuciłam okiem na front naszej „siódemki”. Jak dużo rozjaśnionych światłami okien. Wszyscy chyba mieszkańcy są już w domu w ten sobotni jesienny wieczór. W

jednym miejscu, na prawo od klatki schodowej, dwa okna tylko ciemne, jedno nad drugim, jedno na pierwszym, drugie na drugim piętrze. To okna naszych kawalerek – mojej i Rota. Swoją drogą, przyjemnie mi będzie teraz myśleć, że tuż nade mną mieszka ktoś przyjazny mi, ktoś życzliwy. Nie wątpiłam już bowiem, że 106

nastąpił kres mojej małej wojny z właścicielem syrenki. Robiłam sobie nawet wyrzuty. Byłam na pewno nieraz arogancka i złośliwa w stosunku do niego. A taki miły i nieszczęśliwy człowiek. Nie należy nigdy sądzić ludzi po pozorach.

Wszystko to przemknęło mi przez myśl szybko, szybciej, w jednym mgnieniu, kiedy oczy moje zatrzymały się na ciemnych prostokątach dwóch okien. Wystarczyło jednak, aby odwrócić moją uwagę od otoczenia. Dlatego cień pod murem bloku zauwa-

żyłam dopiero w ostatniej chwili. Wtedy, gdy byłam już bardzo blisko wejścia. Przytulony do ściany, niemal stapiający się z nią w mroku, ktoś stał, ukryty pod szerokim występem parapetu przed odbłaskiem płynącym z oświetlonych okien. Już raz ktoś tak czekał na mnie niedawno w cieniu. Bryda. Ale ta sylwetka była niż-

sza, szczuplejsza. Czyżby Rysiek? Nie, Rysiek jest wyższy. Znów poczułam w sobie lodowaty strach, tak jak wtedy, na szosie w Zalipiu. Nogi ugięły się pode mną. Wystarczyłoby teraz krzyknąć.

Przybiegłby natychmiast Rot, wyrzeliłby z okien lokatorzy. Dlaczego tego nie zrobiłam? Nie wiem. Może gardło miałam tak ści-

nięte skurczem przerażenia, a może nie chciałam okazać tchórzostwa i hysterii. Ostatecznie, cóż mi się może stać tuż koło mojego domu, wśród ludzi? W tej chwili długi bicz światła syrenki jeszcze raz dosięgnął mnie i odbił się o mur. Cień wykonał gwałtowny skok. Nie mógł to więc być nikt czekający

na przykład na kogoś umówionego. Cieniowi zależało na tym, aby pozostać nie rozpo-znanym.

Wpadłam jak bomba na klatkę schodową, nękana dręczącym niepokojem, że ta postać, która znikła w mroku, jej zarysy, jej ruchy nie są mi całkowicie nie znane.

107

Na schodach opanowałam się. Podśpiewując cichutko melodię, zasłyszaną w „Smakoszu”, maszerowałam dzielnie po schodach na moje pierwsze piętro, stukając donośnie obcasami. Bo niby dlaczego nie ma mi być wesoło? Zjadłam dobry obiad, zaprzyjaź-

niłam się z ciekawym człowiekiem, z którym łączą mnie wspólne zainteresowania, na wieczór mam nowy tom „Forsytów”, zdobyty przez protekcję. Czego może chcieć więcej samotna stara panna?

No, prawie stara... A może wcale nie „stara”?

Irka Zdebniakowa nie darowała mi jednak. Usłyszała, że idę.

Stała w otwartych drzwiach swego mieszkania i spoglądała karzącym wzrokiem, jak patrzy żona na wracającego z hulanki męża.

Warknęła groźnie:

—

I gdzież to ty się podziewasz, niecnoto? Dwa razy do ciebie pukałam i nic. Już drzwi chciałam wyłamywać. Jak ty się pro-wadzisz?

Nie wypadało mi nie wstąpić. Zamykając za sobą drzwi, oświadczyłam figlarnie:

—

Źle się prowadzę. Na randce byłam. Aha!

—

No, nareszcie – pochwaliła mnie z zapałem. Była przeciw-niczką mojego samotniczego trybu życia. Wciąż mnie z kimś swa-tała. – A z kim?

Muszę się z Irką trochę podroczyć – pomyślałam. W ogóle za bardzo wtrąca się w moje sprawy. Przyłożyłam palec do ust:

—

Psst. To jeszcze na razie tajemnica – szepnęłam robiąc do Irki oko.

Tym razem cała rodzinka Zdebniaków była w komplecie, tylko dzieci już spały. Dopijano wieczorną

herbatę, musiałam więc i ja podporządkować się tej ceremonii.

–

Ona była na randce! – zakomunikowała Irka obecnym, jak gdyby odczytywała komunikat z placu boju.

108

Stasiek miał rozłożone przed sobą na papierze na stole niezliczone egzemplarze zapalniczek, rozebranych na elementy pierwsze. To jego mania: zbieranie zapalniczek. Już wiedziałam: Stasiek ma kłopot. Kiedy mu coś nie wychodzi, obkłada się zapalniczkami i majstruje przy nich godzinami. Twierdzi, że praca ta pomaga mu przy koncentracji myśli.

Nie patrząc na mnie, mruknął z dezaprobatą:

–

Przestałybyście, kobiety, włóczyć się wieczorami. W dodatku same. Randka, widziałas ją. Z waszych randek potem tylko nieszczęścia...

Podalam mu śrubokręcik, którego daremnie szukał po stole, wodząc na oślep dłonią po obrusie. Śrubokręcik tkwił w szklance z herbatą, w roztargnieniu Staś uznał go widocznie za łyżeczkę.

Zapytałam, odstępując od zwyczaju niezadawania w tym domu żadnych pytań natury służbowej:

–

Powiedz mi, czy te morderstwa to są rabunkowe napady?

Sama zdziwiłam się własnej śmiałości. Kiedy indziej nie odważyłabym się zagadywać Zdebniaka w sprawie toczącego się śledztwa. Doszłam do wniosku, iż winowajcą tego tupetu jest wypite przeze mnie wino. Uderzyło mi do głowy, bo pijam rzadko, i ono to sprawiło, że poczułam się nagle taka swobodna, zdolna do przeskoczenia każdej bariery. Gdybym stała teraz na przykład przed kierownikiem wydziału zdrowia naszej rady narodowej, powiedziałabym mu bez ogródek, co myślę o braku funduszy na zakup nowego nocniczka dla moich malców w przychodni i zamkniętym na kłódkę telefonie w ośrodku. Taka zrobiłam się ni stąd, ni zowąd harda, że wywietrzył mi z głowy nawet tajemniczy cień, przed którym dopiero co wiałam, aż się kurzyło. Po prostu: 109

tego wieczora jeszcze nie wiedziałam, że jestem zwyczajnie –

zakochana. A miłość, jak wiadomo, silnych czyni bezbronnymi, a słabym daje siły i odwagę. Broniałam się dotychczas przed światem

– obecnie gotowa byłam zdobywać go szturmem.

Okrągłe oczy Irki zrobiły się jeszcze okrągłejsze, babcia zaniemówiła, dziadek zamamrotał, że świetnie się składa, bo może nareszcie i oni się czegoś mądrego dowiedzą, Stasiek zaś najpierw

otworzył szeroko usta, a potem palnął z naganą:

–

Nie rób z tata wariata, dobrze?!

–

Stasiek! – zgromiła go Irka, bardzo dbała o naszą przyjaźń.

Wymachiwał z gniewem ręką, uzbrojoną w śrubokręćnik.

–

No, a jak mam do niej mówić?! Przecież nie jest naiwniak ani ciemniaczka. W tym plotkarskim rajku, w ośrodku, nie wiedzieliby, co się dzieje? Przecież ona doskonale wie, co to za morderstwa! Tylko udaje...

–

Stasiu! – jęknęła błagalnie. – Nie piekl się. Ja tak tylko zagadnęłam, może i głupio, bo nie wiedziałam, jak zacząć. Ja wiem, że macie z tym wielki kram. Ja nie z ciekawości. Ja... no, zwyczajnie, chciałabym wam w czymś pomóc. Może bym się na coś przydała.

Moja skrucha i oferta pomocy widocznie rozbroiły go. Jednym ruchem ramienia odsunął od siebie na środek stołu cały kramik z zapalniczkami i sięgnął po sporta. Zapalił go zapalką i zaciągnął

się głęboko. Sztywny dotychczas i jakby sprężony do skoku, nagle zmiękł w sobie. Zaryzykowałabym określenie – załamał się. Był

to dla mnie widok aż przykry. Dopiero teraz dostrzegłam, jakiego 110

spustoszenia w jego kondycji dokonały ostatnie wydarzenia w Świerniku. Rumiana zawsze twarz była blada jak papier, oczy podkrążone sinym cieniem, powieki zaczerwienione od niewyspania. W oczach miał wyraz ponurej zaciętości. A zarazem sprawiał

wrażenie kogoś, kto się zagubił w nieznannej okolicy – bezradność i przygnębienie były od przygarbionej nad stołem postaci.

–

Ludzie – powiedział martwym głosem. – Ludzie, żebyście wy wiedzieli... To się nie mieści w głowie. Że taka może być bestia. On z tej małej Mariolki ciało powycinał... Kawalkami.

Usta babci poruszały się bezgłośnie, pewnie się modliła. Ojciec Irki, pan Mateusz, zacisnął wargi, w palcach trzasnęło mu coś sucho, to pękła na pół giętka gałąź, z której robił łuk dla wnuka.

Irka zamknęła oczy, spod powiek pobiegły jej po policzkach grube łzy. Ja czułam, że cała drzę i trzęsę się, jak gdyby zanurzono mnie w lodowatej wodzie.

—

Nie wiemy – ciągnął Stasiek głuchym głosem – czy morderca zrabował coś swoim ofiarom. Mogły mieć przy sobie coś, o czym nikt nie wiedział, i on to, powiedzmy, zabrał. Ale Brydowej zostawił ładny zegarek na rękę, w torebce Marioli nie ruszył kil-kuset złotych, które miała w portmonetce, Suwarównie też zostawił i zegarek, i pieniądze, i szalik zagraniczny, drogi. Matka Brydowej twierdzi, że zginęła Michalinie mała broszka z bursztynu.

Mariola nie miała jednego klipsa. Nosiła takie duże, złoczone kółka, jednego brak i nigdzie nie znaleźliśmy. Suwarówna nie miała breloczka przy bransoletce. To był mały srebrny dzwoneczek. Tak mówi koleżanka, z którą mieszkała Suwarówna. Przepadł, jak kamień w wodę. Rabunek! Mewa z bursztynu, 111

połączone kółko, srebrny dzwoneczek... Diabli wiedzą, na co mu to.

—

Dla hecy – mruknął pan Mateusz – na znak, że kpi sobie z was, milicji.

—

Nie – wyraziłam moje przypuszczenie – te drobiazgi mu-szą dla niego coś znaczyć. To maniak. Kto wie, co sobie uroił w chorym umyśle.

—

A śladów żadnych nie zostawił? Z psem nie próbowali-

ście? – zapytała Irka.

Stasiek wzruszył ramionami.

—

Męskie obuwie na tworzywie, średni rozmiar, pół miasta takie buty nosi. Pies we wszystkich trzech wypadkach doprowadził do przystanku. Szukaj wiatru w polu. A raczej w mieście.

—

Na Heńkę to mógł mieć ktoś złość – podpowiedziała wzdychając babcia, pani Anastazja. – Oczkami strzelała na prawo i na lewo, a jak się który chłopak w niej zakochał, znać go już nie chciała.

—

A mieli, mieli złość na nią za tę przekorę. – Stasiak zgasił

sporta, sięgnął po następnego. – Przyjechał tu nawet przypadkiem, akurat teraz, jej dawny narzeczony z Łowicza, bo stamtąd ją do Świernika licho przyniosło. Też ją chciał, jak mówi, „rozliczać”.

Ale co z tego? Nie było go tu ani kiedy Brydowa zginęła, ani tego dnia, kiedy Mariolkę zabito. Sprawdzaliśmy go co do minuty.

Puściliśmy chłopaka do domu.

–

Więc to na pewno ten sam... wszystkie trzy? – Pan Mateusz lubił wiedzieć na pewno. Słyszał jako skrupulant.

–

Ten sam, ten sam – mruknął Stasiak ponuro. – Chyba że to jakaś banda i ma umówione z góry sposoby

112

Zrobiło się już późno. Wstałam, żeby się pożegnać. Stasiak spojrział na mnie pochmurnie znad stosu zapalniczek.

–

Mówiłaś o pomocy. Przyda się. Każda pomoc się przyda, każda obserwacja, każdy sygnał. Twój i innych. Będziemy apelować do wszystkich w mieście o pomoc. I o ostrożność, o czujność.

Żeby kobiety same nie chodziły tam, gdzie pusto.

Irka odprowadziła mnie do drzwi. Szepnęła mi na ucho:

–

Nie dziw się, Hanka, że on taki zdenerwowany i opryskliwy. Sama rozumiesz, taka sprawa... Najechało tu wyższej szarży całe mrowie. Z województwa i z Warszawy. On właściwie tej sprawy już nie prowadzi. Wyższy szczebel przejął, tyle tylko, że Stasiak włączony został do grupy operacyjnej. Mało co go w do-mu widzę. Nawet na noc nie zawsze przychodzi... Martwię się o niego.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem. W dość spokojne, unormowane życie Zdebniaków wkradł się nieład, wdarło się zamieszanie.

–

Co wy tam spiskujecie? – dał się słyszeć z głębi mieszkania podniesiony głos Zdebniaka.

–

Idę już, idę – zawołała Irka.

Poczekaj jeszcze, aż otworzę drzwi mojego mieszkania. By-

łam jej za to wdzięczna. Przypomniał mi się cień pod murem.

Przypomniało mi się, co mówił Zdebniak o Marioli. Zatrzasnęłam szybko za sobą drzwi i oparłam się o nie z westchnieniem ulgi.

Rozdział 6

Zabójstwo pani Róży odbiegało nieco od schematu, który się jak gdyby ustalił przy poprzednich trzech morderstwach. Nie było wolnej przestrzeni, żadnych zarośli, nie było szerokiego nieba nad jej głową. Był za to luźno przykryty deskami wykop, dość głęboki rów w pobliżu czynszówki, w której mieściła się biblioteka. Od paru już tygodni kilkusobowa ekipa robotników dość ospale grzebała się w tym wykopie, wymieniając jakieś rury i kable. Niestety, ekipę zastać można było częściej w piwiarni za rogiem niż na stanowisku pracy.

Był to poniedziałek. Zaczynałam tego dnia dyżur o dwunastej.

Pani Róża Czempińska otwierała bibliotekę o jedenastej. Wykom-binowałam sobie, że zdążę jeszcze przed dyżurem zmienić książ-

kę, bo czwarty tom „Forsytów” przelknęłam w niedzielę, nie wychodząc przez cały dzień z domu i oddając się błogiemu nierób-stwu. Znalazłam się w pobliżu biblioteki za pięć jedenasta.

Jeszcze nie skręciłam za róg, gdy z zaułka dotarł do mnie zmieszany gwar podnieconych głosów. Oho, pomyślałam, niedzielne obrachunki towarzyskie. Pewnie Wojtek Jarmil znów pobił żonę.

Ohydny brutal. Kosma już wiele razy groził, że poda go do sądu za znęcanie się nad dzieckiem, warto by było, żeby choć raz oprócz lekarza ktoś jeszcze zobaczył, jak wygląda posiniaczone 114

ciałko małej Maryśki. Albo Surdon się spił i rozrabia, odgrażając się całemu światu, a zwłaszcza sąsiadom. Mieszkały w czynszów-ce takie dwie rodziny, Jarmilów i Surdoniów, które notorycznie zakłócały spokój całej kamienicy.

Moje domniemania zdawał się potwierdzać przeciągły sygnał

milicyjnego radiowozu, który przybliżał się w szybkim tempie.

Kilku ludzi w szaroniebieskich mundurach wyminęło mnie biegiem i wsiąkło w tłumek, zgromadzony koło wykopu, nie opodal bramy czynszówki. Nie sądziłam, aby awantura miała coś wspólnego z biblioteką, szłam spokojnie dalej, pragnąc wyminąć zbiegowisko.

Musiałam się jednak zatrzymać. Na widok milicji ludzie zamilkli, ale tłum stał dalej, zbity i nieporuszony, blokując przejście i chodnik.

—

Co się tu stało? – zapytałam kogoś, kto stał najbliżej mnie.

Odpowiedziało mi nieme wzruszenie ramion. Ktoś drugi zdobył się jednak na mrukliwe wyjaśnienie:

—

Zabili kogoś. Jakąś babkę.

Nagle rozbrzysły jaskrawym światłem flesze. Ktoś krzyknął.

Ktoś zawołał: „Jezus, Maria”. Ktoś, bardziej wrażliwy, załkał.

Reszta milczała ponuro. . Dziwiłam się, iż tym razem milicja nie każe wszystkim rozejść się. Nie wiedziałam, że zastosowano nową taktykę. Postanowiono zatrzymać i przepytować wszystkich, kogo się zastaje w pobliżu miejsca, w którym zostało dokonane morderstwo. Gdzieś z boku dobiegł mnie piskliwy kobiecy głos. Pozna-

łam go. Ani chybi, matka Surdonia, emerytka, bez mrugnięcia oka utrzymująca ze swej skąpej renty zdrowego jak byk syna, nieroba i pijaka. Surdoniowa trajkotała:

115

—

A bo to, proszę pana władzy, było tak z godzinę temu.

Znaczy się o dziesiątej. Moje mieszkanie o tu, na pierwszym pię-

trze. Słyszę ja, cosik gruchnęło na ulicy. I tak jakby kto zastękał.

Myślę sobie, pewnie się kto po pijanemu przewrócił na tych de-chach i w rów wpadł. W poniedziałki, wiadoma rzecz, klina się wybija. Otwarłam lufcik, popatrzyłam, nikogo nie widzę. Posłuchałam, nic nie słyszę. Cicho. A potem jakby kobita zajęczała. To ja inaczej pomyślałam. Że Jarmil albo kto inny żonę rozumu uczy.

I że to w bramie ktoś stęka. No, to już nie moja sprawa, pomyśla-

łam i poszłam do pokoju, śniadanie dla Antosia szykować. Bo Antoś mi sładuje dzisiaj, w łóżku leży. To syn – wyjaśniła z niemałą dumą.

—

A syn nic nie słyszał? – rozległo się pytanie któregoś z milicjantów.

–

Dyć przecie mówię, że słaby. Jeszcze okno przymkłam, żeby mi go hałaśniki nie pobudziły.

–

Kto jeszcze z was coś słyszał? – padło ostre pytanie.

–

Ja – odezwał się starczy, skrzekliwy męski głos. – Ja tu na drugim piętrze mieszkam. Do miasta iść miałem, do opieki spo-

łecznej po zasilek. W bramie już byłem, ale się cofłem. Popatrze-

łem na ulicę, widzę, szamocze się jakaś kobita z chłopem koło wykopu. Albo on z nią. Cosik mi się zdaje, że wrzasła „nie”, ale ja trochę nie dosłyszę, to i nie przysięgnę.

–

I nie poznał jej pan?

–

A nie. Ja niedowidzę. Tyle, że baba, zobaczyłem.

– A jego pan widział?

–

Tak trocha.

–

Wysoki? Niski?

–

Nie za wysoki, nie za niski. Taki średni.

116

–

Trzeba było wyjść, zobaczyć, co się tu dzieje.

—
Ale zaś! Kto by się tam w nie swoje sprawy wtrącał, no nie? Wróciłem do domu. Żeby awanturę przeczekać. I tyle.

Robotnicy zatrudnieni przy wykopie twarze mieli zasępione i zgnębione. Ludzie głośno pomstowali na ich opieszałość: od dawna powinni byli skończyć pracę i zasypać rów. Ile razy mówiło się, że ten wykop to gotowe nieszczęście. No i proszę. Sprawdziło się.

Przyznali się: jedli śniadanie w knajpce za rogiem, popijając piwkiem. Jeden z nich, który najpóźniej opuścił miejsce pracy, spotkał nawet panią Różę. Szła wesoła, uprzejmie powiedziała mu

„Dzień dobry”... Ale mężczyzny żadnego w pobliżu nie dostrzegł.

Widać morderca gdzieś się zaczął i czekał, aż w zaułku zrobi się zupełnie pusto.

Obrzuciłam spojrzeniem czynszówkę i dwa sąsiadujące z nią domy. Więcej zabudowań w zaułku nie było, przytykał do niego ślepy mur terenów huty, chroniący składy i magazyny. W oknach domów nie widać było zaciekawionych twarzy: to pora, kiedy prawie wszyscy dorośli są w pracy, a dzieci w szkole.

W tłumie wszczął się ruch. Widocznie ekipa techniczna zakoń-

czyła wstępne czynności. Sanitariusze przepychali się z noszami.

Zrobiło się luźniej, postąpiłam o kilka kroków naprzód. Zobaczy-
łam.

Obca mi się wydała wykrzywiona potwornym grymasem, z wybałuszonymi, szeroko otwartymi oczyma twarz, na której pa-semka zakrzepłej krwi kładły się węzowatą linią, podobne do zarysów na mapie głównej rzeki i jej dopływów. Obce mi były roz-rzucone w nieładzie srebrzyste włosy. Nieobca była mi jednak 117

czapka, bramowana futerkiem nutrii, leżąca na desce wykopu, nieobce krótkie królicze futerko, nieobcy widok sterty książek, które najwidoczniej wysypały się z torby i teraz dziesiątki nóg deptały po nich bez ceremonii.

Zrozumiałam, dlaczego pani Róża wcześniej szła tego dnia do biblioteki. Prawdopodobnie rano odbierała z Domu Książki albo z powiatowej biblioteki nowy przydział książek. Wspominała mi w sobotę, kiedy żegnałyśmy się, że już w poniedziałek będzie miała ciekawe nowości. Chciała chyba przed otwarciem czytelnicy wcią-

gnąć te nowe pozycje do kartoteki. Biedna, i po co się tak śpieszy-

ła?

Sanitariusze przeszli obok mnie. Otarłam się prawie o kant noszy. Coś twardego i ostrego przesunęło się po mojej opuszczonej dłoni, w której trzymałam torbę. Spojrzałam w dół. Spod białego prześcieradła, przykrywającego ciało, zwisał, ukośnie przycięty na końcu, kawałek czarnego kabla.

Odwróciłam się, aby odejść. Musiałam mieć dość niemądrą minę, gdy przy obrocie zderzyłam się niemal i stanęłam twarzą w twarz z porucznikiem Stanisławem Zdebniakiem.

—

A ty co tu robisz? – warknął niezbyt przychylnie. Uniosłam rękę, w której trzymałam tom „Forsytów”.

—

Książkę chciałam zmienić.

To wyjaśnienie nie poprawiło mu humoru. Zachnął się ze zło-

ścią:

—

Że też ty musisz zawsze wleźć, gdzie nie potrzeba!

Taka byłam zła na Staśka za tę reprimendę, że nie powiedzia-

łam mu, kto jeszcze bywa w miejscach, dla niego niewskazanych.

Dopiero co, gdy szłam do biblioteki, wyminął mnie dwie przecznice stąd inżynier Rot swoją syrenką. Jechał bardzo szybko, 118

a na twarzy miał przykry grymas. Przy wylocie na główną arterię mignęła mi postać Brydy na rowerze. Też mu się śpieszyło, nie oglądał się po bokach. Ale najbardziej spieszno było Ryśkowi Jaskólskiemu; ten sprintem gnał do przystanku tramwajowego i, jak zdołałam zauważyć, w biegu wskoczył na pomost.

Jak wykazało następnie śledztwo, moje domysły okazały się prawdziwe. Gdyby pani Róża przyszła do biblioteki jak zwykle, pięć przed jedenastą, zastałaby już spory tłumek przed drzwiami, czekający niecierpliwie na moment otwarcia. W poniedziałki zawsze dużo osób wymienia książki przeczytane w niedzielę – a młodzież szkolna przeważnie właśnie w poniedziałki podejmuje twarde postanowienie przeczytania zaległej lektury obowiązkowej z polskiego czy historii. Młodzi zjawiają się jednak dopiero po po-

łudniu. Rano natomiast spotkać tu można dużo osób starszych, emerytów, a zwłaszcza emerytki, ludzi, nie związanych godzinami pracy. Oczywiście, żadna emerytka nie obroniłaby pani Róży przed napadem, ale już sama obecność grupki osób uczyniłaby go po prostu niewykonalnym. Czy morderca zjawił się tu przypadkowo? Czy śledził panią Różę, szedł za nią krok w krok, wiedząc, dokąd

zmierza, świadomy, iż dom, do którego wejdzie za chwilę, nie jest wprawdzie wymarły, ale jest o tej porze prawie wyludnio-ny? Ze można w tym zaułku wołać co sił o ratunek daremnie? Na te pytania nie tylko ja nie potrafiłam odpowiedzieć. Odpowiedzi takiej nie zdołała także skonstruować milicja..

Różnica pomiędzy poprzednimi zabójstwami i morderstwem dokonany na pani Róży Czempińskiej polegała nie tylko na scenerii. Tym razem morderca zrezygnował z drobnych łupów w 119

postaci bezwartościowych niemal błyskotek. Pozbawił panią Różę pięknego szwajcarskiego zegarka, którym lubiła się chwalić i któ-

ry otrzymała podobno jeszcze w prezencie od swojego ojca, wła-

ściciela jakiejś niedużej warszawskiej fabryczki.

Milicja odszukała i sprowadziła do Świernika byłego męża oraz syna pani Róży. Istniał cień podejrzenia, iż nad wyraz zainteresowany w odziedzczeniu resztek rodzinnej biżuterii, posiadanych przez matkę, mógł być ów synalek-szaławiła, który niemało zmartwień przyczynił biednej pani Róży w ostatnich latach jej życia. Obaj panowie mieli wszakże niepodważalne alibi – a zresztą, nikt w Świerniku, nie wyłączając milicji, nie wątpił, bo i wątpić nie mógł, że pani Róża padła kolejną ofiarą sadysty i zboczeńca, mordującego kobiety bez względu na ich wiek czy urodę. Szukał

wprawdzie ich kobiecości, niszczył ją, kaleczył – ale nie łączył się z nimi fizycznie, jak tego dowiodły cztery kolejne sekcje zwłok.

Podczas mojego następnego seansu u fryzjera pan Feliks, otoczony uważnie słuchającym damskim audytorium, wyraził przypuszczenie, że po prostu mordercy sprawia rozkosz sam widok cierpienia. Im większe zadaje cierpienie – tym większej doznaje satysfakcji. Nic tu po normalnym stosunku między kobietą i mężczyzną. Słuchaliśmy tej teorii z przerażeniem, ale Zdebniak mnie zapewnił, że Feliks może mieć rację. To samo twierdzą lekarze specjaliści, których milicja zaprosiła do współpracy. Ludność naszego miasta wpadła w panikę.

Oto bowiem cztery kobiety w naszym mieście poniosły śmierć gwałtowną i okrutną. I jeżeli w stosunku do Heńki i Mariolki opinia publiczna mogła jeszcze mieć jakieś wątpliwości, upatrując przyczyny ich śmierci w sferze osobistych, prywatnych konfliktów 120

życiowych – to ani Michalinie Brydowej ani Róży Czempińskiej nikt nie mógł zarzucić niczego, co nie byłoby zgodne z ogólnie przyjętymi zasadami moralnymi. Żadna więc z nas, kobiet, zamieszkałych w Świerniku, nie mogła czuć się bezpieczna.

Wszystkie byłyśmy teraz zagrożone.

Barykadowaliśmy się w domach. Poszczególne mieszkania, a zwłaszcza domki na przedmieściach zaczęły przypominać twierdze. Nie wpuszczano za próg nikogo bez skrupulatnego uprzedniego stwierdzenia: kto, do kogo i po co. Rzadko zobaczyć można było nawet w dzień idącą samotnie kobietę. Ażeby przejść kilkanaście kroków do sklepu, zwoływałyśmy się po dwie, po trzy. Z

pracy wracało się gromadami. Jeżeli któraś z nas wysiadała z tramwaju albo autobusu na przystanku i

widziała, że nikt nie idzie w kierunku jej domu, najczęściej czekała na następny autobus czy tramwaj, spodziewając się, że wysiadzie wreszcie ktoś, pod czyją opieką będzie mogła bezpiecznie przebyć czekającą ją drogę.

Mężczyźni wychodzili na spotkanie swoich żon, matek, córek i sióstr.

Wszyscy – kobiety, i mężczyźni – zrobiliśmy się płochliwi i podejrzliwi. Straszyl nas najmniejszy szelest przy drodze, oglądaliśmy się, czy ktoś nie skrada się za naszymi plecami, z wrogością zerkaliśmy na każdego nieznajomego, spieszącego w tym samym co my kierunku.

Dochodziło nawet do scen wręcz tragikomicznych. Pewnego dnia pani sędzina Kwapieniowa przywiozła do naszego ośrodka swojego męża, sędziego Anastazego Kwapienia. Biedak miał pokaleczoną i zakrwawioną całą głowę. Rozbiła mu ją przy pomocy butelki owocowego nektaru ukochana przyjaciółka pani sędziny, mecenas Zofia Lister. Sędzia skarżył się:

121

–

Wracam ja z sądu, szarówka już się zrobiła. Ulica pusta.

Patrzę, idzie kobieta. Poznałem, że to pani Zosia, i wiedziałem, że do nas idzie na bridża. No i pomyślałem, że pewnie niezbyt jej rażno tak samej iść o zmroku, a więc zacząłem ją gonić. No, gonić, to może przesada przy mojej tuszy... Ot, przyśpieszyłem kroku. A ona dawaj uciekać. Więc biegnę za nią i wołam, ale widocznie nie słyszała, bo ani się zatrzymała. Dopiero kiedy potknęła się po ciemku, wtedy ją dogoniłem. To ona, jak się nie odwróci, jak nie huknie mnie w głowę... Wszystkie gwiazdy mi w oczach stanęły. Oj, kobiety, kobiety. Czy ja wyglądam na wampira?

Nie wyglądał. Była to dla mnie rzecz oczywista. Sędzia Kwapien? Uśmieć się można. Starszy, tęgi pan o dobrodusznym wyrazie twarzy, jowialny, dowcipny, amator dobrej kuchni, trzymany krótko przez energiczną małżonkę... Absurd.

Opowiedziałam o tym któregoś wieczora Staśkowi Zdebniakowi jako doskonały dowcip. Ale on wcale się nie uśmieł.

–

A co ty myślisz, że taki morderca koniecznie musi wyglą-

dać jak zbój Madej? Wzrok dziki, suknia plugawa? Rzezimieszek na pierwszy rzut oka?

–

No nie... – zgodziłam się z ociąganiem, bo w głębi duszy właśnie raczej tak wolałabym widzieć mordercę, którego zaczęto już potocznie nazywać wampirem. Przykro myśleć, iż potwór w ludzkim ciele wygląda jak normalny człowiek.

Zdebniak przybrał mentorski ton:

—

We wszystkich prawie, znanych dotychczas w światowej kryminologii, wypadkach, podobnych do naszego, mordercami okazywali się zwykli, spokojni ludzie, często szanowani obywatele.

122

Często bogobojni mężowie i dobrzy ojcowie rodzin. Tacy, co to nikt by ich o to nie podejrzewał. Wiesz, istnieje nawet wersja, że słynny londyński Kuba-Rozpruwacz był członkiem rodziny kró-

lewskiej. Nasz, jak powiadasz, „wampir” może być najczynniej-szym działaczem co najmniej tuzina różnych stowarzyszeń o najbardziej wzniosłych celach, świetnym pracownikiem, dobrym kolegą, a przychodzi na niego chwila, że przemienia się w bestię. I morduje.

—

A ja nie wierzę – powiedziałam stanowczo – żeby to było tak, że w codziennym życiu niczego po nim nie znać. Musi się w jakichś momentach zachowywać dziwnie. W taki sposób, że to zwraca uwagę otoczenia. Musi mieć jakieś narowy, odruchy...

Wypowiada jakieś rażące poglądy na temat kobiet.

Widocznie ekipa, prowadząca śledztwo w sprawie mordercy kobiet w Świerniku, dokładnie przestudiowała problem, gdyż Zdebniak umiał skontrolować wszystkie moje przypuszczenia czy wątpliwości:

—

Mieliśmy podobny wypadek u nas w kraju. Niedawno. Też jeden gość mordował kobiety i znęcał się nad nimi. Podobno bardzo kochał swoją żonę, ale miał jakieś zahamowania. Nie był

zdolny do spełniania obowiązków małżeńskich. No i wyobraził

sobie, że jeżeli uda mu się zgwałcić jakąkolwiek inną kobietę, to później będzie mógł normalnie żyć ze swoją żoną. Oczywiście to była jego wersja. No i wyobraź sobie, nigdy z kolegami nie rozmawiał w ogóle o kobietach. A co do tych odruchów, o których mówisz, myśleliśmy już o tym. Będziemy apelować do społeczeń-

stwa, może nam to coś da.

Rzeczywiście w niedługim czasie na murach domów i na tablicach ogłoszeń w naszym mieście pojawiły się plakaty. Milicja 123

prosiła obywateli Świernika o czujność. Zwracała się również z apelem, aby każdy, kto mógłby dać jakąkolwiek wskazówkę, która ułatwiłaby rozpoznanie niebezpiecznego zbrodniarza, nie zwlekał

w dobrze pojętym interesie społecznym Na ten sam temat pisała miejscowa prasa i podało komunikat radio.

Apel ten uruchomił całą lawinę doniesień. Aż dziw, ilu potencjalnych morderców kobiet chodziło dotychczas spokojnie po naszym mieście. Byli to, zdaniem informatorów, najczęściej mę-

żowie zdradzający swoje żony, niepożądani sublokatorzy albo współlokatorzy skłóceni z sąsiadami, koledzy z pracy, zadrażnieni z otoczeniem. Sztab akcji śledczej nie zlekceważył jednak żadnego sygnału, nawet jeśli okazało się, iż jego nadawcą jest maniak i pieniacz albo wręcz fantasia czy człowiek pragnący za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę ogółu. Badano wszystkie przypadki po kolei. Przy okazji zresztą trafiono na ślad kilku afer, zlikwidowano parę niebezpiecznych band chuliganów i złodziei, „wampir” pozostawał jednak nadal nieuchwytny. Nie udało się stwierdzić, jakiego używa narzędzia do ogłuszania swoich ofiar, nie natrafiono nigdzie na ślad ubytku podobnych kabli. Same zaś kable nale-

żały do typu tak powszechnego użytku, iż doprawdy trudno było-by posądzać każdego, kto miał z nimi do czynienia.

Usiłowano zestawiać daty i godziny, w których dokonane zostały cztery zabójstwa; porównywać wzrost, wiek i kolor włosów nieszczęśliwych ofiar – nic nie wskazywało na to, aby morderca kierował się jakąkolwiek zasadą przy doborze swoich ofiar. Jedną tylko okoliczność wydawała się przy tym wszystkim niezmienna: zawsze gdzieś blisko musiał być przystanek. Autobusowy lub tramwajowy. Sprawca uciekał więc z miejsca zbrodni zwykłym 124

miejskim środkiem lokomocji. Przepytano wszystkich kierowców miejskich tramwajów i autobusów. Niestety, nikt nie mógł sobie przypomnieć nikogo takiego spośród pasażerów, kto zwracałby uwagę swoim wyglądem czy sposobem zachowywania się. Doktor Kosma miał swój punkt widzenia na tę sprawę.

– On wprawdzie tych zbrodni nie planuje, ot, łązi sobie po miejscach względnie odludnych czy zakrytych przed publicznym widokiem i szuka okazji... ale to nie jest żadne zaćmienie umysłu, które na niego nachodzi. On dba o swoje bezpieczeństwo. I świetnie się maskuje. Wszyscy mówili nieustannie o sprawie „wampira”. Kładła się ona cieniem ponurej trwogi nad naszym miastem.

Wiało na nas od niej i grozą, i mrozącym chłodem. Rozprawiali-

śmy gorączkowo, ale wewnętrznie kuliliśmy się ze strachu i wstrę-

tu, właśnie tak, jak kuli się człowiek, smagany lodowatym wiatrem. Było to jak jakaś zaraza, jak

morowe powietrze w dawnych wiekach, wyzwajające w zwykłych, przeciętnych, ani bardzo dobrych, ani bardzo złych, ludziach reakcje niespodziewane. I negatywne. Stawaliśmy się nie tylko podrażnieni, łatwi do uniesień, skorzy do oskarżeń i podejrzeń, ale i wrodzy sobie wzajemnie, okrutni, bezduszni. Tak pożądana czujność zaczęła przekształcać się w zupełną nieufność do ludzi, w niewiarę w ludzi. No, bo jeże-li to możliwe, żeby w człowieku, który żyje wśród nas, siedziała taka bestia... Właśnie: wśród nas. On był wśród nas. I każdy go szukał, a wzrok nasz stawał się coraz bardziej ostry i wojowniczy.

Nie każdy może umiał sobie z tego zdać sprawę, co i jak czuje, ale ja w tamtym czasie myślałam, że podobni staliśmy się do ludzi, którzy stanęli nad przepaścią i zajrzeli w jej koszmarną głąb.

125

Wszystkim nam zakręciło się, zamąciło w głowach. Jak wiadomo, wypukłe szkło, czyli soczewka, skupia w sobie rozproszone słoneczne promienie. Jeżeli jest odpowiednio gruba i należycie ustawiona, można wiązką tych przepuszczonych przez nią promieni zapalić kawałek papieru, a nawet drzewo. Wydawało nam się mo-

że, iż rozsiane wśród nas wszystkich odrobinki zła, które wszyscy w sobie nosimy, nagle zestrzeliły się w jedno ognisko, w spalają-

cy, niszczący płomień – czyny, dokonywane przez „wampira”.

Był on jak gdyby zaprzeczeniem człowieka – ale przecież był

człowiekiem. Takim jak my, jak każdy z nas. Przynajmniej ze-wnętrznie, z wyglądu.

–

Bo jest w tej sprawie coś, pani Anno, co zatraća najdawniejszą historię ludzkości – powiedział do mnie inżynier Andrzej Rot, kiedy raz przypadkowo zesłaliśmy się z nim w naszym wspólnym boksie-garażu: on przy swojej syrence, ja przy moim motocyklu.

–

Pomroka dziejów – odparłam z przekąsem. – A ja uwa-

żam, że to żaden pierwotny instynkt, ale po prostu choroba. Sam mi to pan zresztą mówił. Przemyślałam to i zgadzam się z pana teorią choroby. Odchylenie od normy.

–

Owszem – upierał się – choroba, a raczej patologia, lecz wydobywająca na jaw pewne... hm... skłonności natury.

–

Jakież to? – zaperzyłam się.

–

A niechże sobie pani przypomni z historii. Krwawe ofiary z ludzi, składane przy różnych okazjach w dawnych wiekach.

Starożytne służebnice bogini księżyca, które rozszarpywały i póżerały mężczyzn. Ludożerstwo! A chociażby okrucieństwa minio-nej wojny.

126

Trochę się z nim zgadzałam, ale wolałabym się nie przyznawać:

–

No nie! Cóż to ma wspólnego z tą sprawą! Widzę, że pan przestudiował temat... Dokumentacja techniczna, tak?

Oczy inżyniera Andrzeja Rota zwięzły się. W ich szarych tę-
czówkach, tak jak podczas naszej rozmowy w restauracji, zabłyśły zimne iskierki, które wtedy przyrównałam do bryłek lodu.

–

Ma pani rację, bardzo mnie ta sprawa frapuje. Zresztą, szalenie ciekawa z naukowego punktu widzenia. Przecież siedzi w tej chwili nad nią całe grono uczonych z różnych dziedzin wiedzy, nie tylko medycznej. Ale mnie ona interesuje, powiedziałbym, obyczajowo. To na przykład, że wielu mówi „wampir”. Mimo ogromnych postępów wiedzy nie umiemy się wyzbyć najprymitywniejszych przesądów... tak samo jak i popędów.

–

No przecież wiem – przerwałam zniecierpliwiona – wampir to amerykański nietoperz, zwany liścionošem. Istnieje przesąd, że wysysa krew z bydła. Ale to nieprawda, bo on żywi się tylko roślinami i owadami. Prawdopodobnie wyskubuje ze skóry zwierząt larwy pasożytniczych owadów. Oczywiście po takim zabiegu pozostaje krwawy ślad. To pan miał na myśli?

–

Nie tylko. Zastanawiająca jest bardzo stara wiara ludzi w dwoistość ludzkiej natury. Myślę o wampirach, zwanych też inaczej wilkołakami. Wierzono w nie kiedyś powszechnie, a szczególnie wśród Słowian. Diabeł zamienia umarłego w wampira.

Taki nieboszczyk, zdolny do wstawania z grobu o północy i napa-dania na żyjących, aby wysysać im

z tętnicy krew, sam w grobie wygląda jak żywy. Ma cerę normalnego koloru i krew w nim nie 127

krzepnie. Po prostu: żywy trup. I inna jeszcze wersja: zwykły, żywy człowiek też może w pewnych chwilach zamieniać się w wampira-wilkołaka. Herodot pisze, że istniało całe takie plemię Neurów, które to praktykowało w pewnych porach roku. A najczęściej zaczarowywały ludzi w wilkołaków czarownice, zarzucając na nich skórę wilka albo zakładając im specjalny pas z zaklę-

ciami. Co zaś najciekawsze: człowiek, przemieniony w wilkołaka, cały czas zachowuje świadomość, iż jest człowiekiem. Robi rzeczy wrogie ludziom, nieludzkie, i wie o tym.

—
A jak radzono sobie z wampirami i wilkołakami?

—
Pani sobie z tego kpi, ale jeszcze 200 lat temu w Polsce za Stanisława Augusta istniały oficjalne, rzecz można, przepisy regulujące tę sprawę. Jeżeli to był nieboszczyk-wampir, odważny pa-robek dosiadał nie ujeżdżonego jeszcze karego źrebięcia i cwałował na nim po cmentarzu. Na którym grobie źrebak się zatrzymał, tam był wampir. Wydobywano trupa, obcinano mu głowę, kładziono ją w nogach i przebijano osikowym kołkiem. Natomiast w przypadku człowieka zamienionego w wilkołaka wystarczyło zarzucić na niego barani kozuch, obrócony futrem na wierzch.

Aha, i jeszcze grzmotnąć go między oczy widłami lub cepem.

—
Niech się pan wstydzi, panie inżynierze. Człowiek uczony i takie głupstwa opowiada. A ja... spać nie będę mogła.

—
Uczona kobieta nie będzie mogła zasnąć? – odpłacił mi pięknym za nadobne. Po tonie głosu wyczułam jednak, iż poczuł

się urażony. Nie doceniłam jego erudycji.

128

Nie chodzi już pan do naszej biblioteki? – zapytałam, aby zmienić temat.

Burknął niechętnie:

Właściwie to za daleko dla mnie. Mamy teraz doskonałą bibliotekę w hucie, stamtąd biorę książki.

A ja nadal chodziłam do „naszej” biblioteki. Otwarto ją po kilku dniach, ale, prawdę mówiąc, brakowało nam pani Róży. Mówi-

ły o tym wszystkie dawne bywalczyńce, starsze panie. Bibliotekarką została teraz przemiła młoda panienka o bujnej, jasnej czuprynie i ogromnych jasnoniebieskich oczach. Była to jej pierwsza posada po studiach, dziewczę było onieśmielone, a najbardziej peszyło się, gdy ktoś mówił, że „za pani Róży to tu inaczej bywa-

ło”. Dla starszych pań pani Róża była wieczna, jedyna i nieśmier-telna. Wzór niedościgły. Opowiadały jej o wszystkich troskach swojego życia, o zmarłych mężach i niewdzięcznych dzieciach, ona to rozumiała. Jak mówić o doświadczeniach schyłku życia osobce, która dopiero swoje życie rozpoczyna? Co ona o tym wie?

Co by z tego zrozumiała?

Natomiast moja bliższa znajomość z inżynierem Andrzejem Rotem, która tak obiecująco zapowiadała się po wspólnie zjedzo-nym obiedzie w „Smakoszu”, jakoś nie kleiła się. Nie miała dalszego ciągu. Urwało się coś, co dopiero się zaczęło. Nie spotkali-

śmy się już więcej na neutralnym, towarzyskim gruncie. Natykali-

śmy się na siebie w garażu, mijaliśmy się na schodach, pozdrawia-liśmy się uprzejmie, życzliwiej może niż dawniej – ale to było wszystko. Wydawało mi się nawet, że pan inżynier przy spotkaniu ze mną przyśpiesza kroku. Na znak, że nie ma czasu na pogwarki.

Może żałował niewczesnej szczerości, wyznań, które musiały być 129

dla niego przykre? Może obawiał się, że pragnę zarzucić na niego sidła, a on przecież bał się kobiet?

Trudno, przyjęłam to do wiadomości.

Szedł dzień za dniem, z kalendarza zaczęliśmy obrywać gru-dniowe kartki. W wykryciu mordercy kobiet nie postąpiono, niestety, ani o krok naprzód. Coraz mniej o tej sprawie mówiło się.

Wszyscy jakby powoli o niej zapominali. „Pewnie uciekł, już go nie znajdziecie” – mówili niektórzy. Inni zaś twierdzili: „Pewnie samobójstwo popełnił. To by było najlepsze, co mógłby zrobić”.

Rot podtrzymywał swoją wersję anormalności, pan Feliks – teorię o nieuchwytnym geniuszu.

Milicja skrzętnie penetrowała życiorysy wszystkich mężczyzn, którzy zmarli w tym czasie śmiercią naturalną albo popełnili samobójstwo. Obserwacji poddano wszystkich, którzy w drama-tycznym okresie opuścili nasze miasto i przenieśli się w inne strony. Pomyślałam sobie wówczas, że trochę racji miał Andrzej Rot.

To było coś w rodzaju objeżdżania cmentarza na karym żrebcu w poszukiwaniu wampira. Nic, tylko szykować osikowy kołek.

I właśnie wtedy, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, zginęła taką samą śmiercią okropną i tragiczną jak jej poprzedniczki

– moja koleżanka z ośrodka, pielęgniarka Janka Wąsikówna.

Stało się to na Stawach, w dzielnicy, w której zamordowano Henię Suwarównę i nawet prawie w tym samym miejscu. Godzina tylko była inna: dziesiąta wieczór. Co poniosło Jankę w tamte strony? Miłość. Jej najdroższy, sanitariusz z pogotowia ratunkowego, Adam Pustoła, cierpiał na ostre zapalenie korzonków nerwowych. Janka ganiała do niego co wieczór, do domu, właśnie na owe Stawy, żeby mu robić zastrzyki. Za pięć dziesiąta właścicielka 130

mieszkania, w którym Adam odnajmował jeden pokój, zamknęła za Janką drzwi. Potem Janka szła wzdłuż płotu, jak kiedyś Heńka.

Pewien starszy pan, który wyprowadził właśnie swojego pieska na spacer, słyszał nawet odgłosy jakiejś szamotaniny wśród zarośli wierzb i szuwarów. Wydawało mu się nawet, że ktoś uspokajająco powiedział: „Cicho, cicho”. Jego piesek bardzo rwał się w tamtą stronę, lecz starszy pan doszedł do wniosku, że to jakiejś młodej parce zebrało się na amory, bo chociaż grudzień, co robić, jeżeli się mieszka w zagęszczonym mieszkaniu – a serca pragną miłości.

Podzielił się tą uwagą z kilkoma robotnikami, którzy czekali na tramwaj na przystanku. Jechali na nocną zmianę do pracy. Jednemu z nich przyszła nawet do głowy myśl, żeby pójść i popatrzeć, co się tam dzieje w wiklinie. Wszyscy tu pamiętali o zalotnej rudej Heńce. Ale koledzy machnęli ręką: „Daj spokój. Chciałbyś, żeby ciebie kto przydybał z babką? O, popatrz, tramwaj już nadjeżdża, chodź, bo spóźnimy się do roboty”.

Ciało Jasi znaleziono dopiero następnego dnia. Wtedy gdy zaczęto jej szukać, bo nie przyszła od pracy. I do domu na noc nie wróciła. A rodzice Janki nie należą do takich, którzy pozwalają, aby córka nocowała poza domem.

Morderca zabrał Jasi całą torebkę wraz z zawartością. Niewiele tego było. Strzykawka, kilka ampulek, puderniczka, kredka do ust, chusteczka i portmonetka z biletem miesięcznym oraz niedużą sumą pieniędzy. Chyba niecałe sto złotych.

I pomyśleć tylko: siedziałam spokojnie w kinie na idiotycznej

„Angelice” w tym samym czasie; kiedy taką miłą, wesołą, roz-trzepaną dziewczyną, jak moja Jasia, morderca...

131

Miasto znów się ocknęło. Poszedł po nim zły szum: co sobie myśli właściwie milicja? Co oni robią, milicjanci?, Czy to jest możliwe, aby przy dzisiejszej technice nie dać rady jednemu zbrodniarzowi, który już pięć razy tak dramatycznie dał znać o swoim istnieniu? Chcemy się czuć bezpieczni na ulicach naszego pracowitego miasta – wołali ludzie. Poprzedni strach zamienił się w pretensję, złość, gniew, oburzenie. Gdyby sprawca został przypadkowo ujęty wśród tłumu, ludzie rozszarpaliby go na kawałki.

Chociażby za to, że przez niego przeżywali taki strach.

Irka przyszła do mnie, do mojej kawalerki, żeby się wypłakać.

—

Nie przychodź teraz do nas przez jakiś czas – mówiła po-chlipując. – Tak będzie lepiej. Stasiek teraz taki zły, że ani przystąpi do niego. W ogóle z nikim w domu gadać nie chce. Wczoraj dziecko uderzył, Jarka.

—

Jarka? – zdziwiłam się. – Swojego pupilka? Za co?

—

Trochę racji to on miał, ale dzieciakowi wytłumaczyć trzeba, a nie zaraz za pas łąpać. Bo Jarek powiedział, że ich pani w przedszkolu jest bardzo niedobra i że dzieci chciałyby, żeby ją wampir połknął.

—

No, ja Staśka rozumiem. Ma tego dość, a tu nagle własne dziecko awansuje wampira do roli instancji wymierzającej sprawiedliwość. Dziwisz się?

—

Więc też mówię, że miał rację. Żeby się gniewać, ale nie żeby karać. Cóż Jarek winien, że milicja rady sobie dać nie może ze zbrodniarzem? Albo co ja jestem winna? A on, jak do domu przyjdzie, to idzie do siebie do pokoju, kładzie się po ciemku na tapczanie i rozmyśla. Jeść w ogóle przestał. Spać też. Już sam 132

wygląda jak upiór...

Po odejściu Irki ja też nie mogłam zasnąć. Leżałam z otwartymi oczami, wpatrzona w sufit, i rozmyślałam, natchniona słowami Irki „wygląda jak upiór”. Kto wygląda jak upiór, a kto nie wygląda, lecz mógłby nim być naprawdę?

Przez moje myśli przesuwali się różni ludzie, a zwłaszcza męż-

czyźni, z którymi zetknęłam się bliżej w ostatnich czasach w związku z tajemniczymi morderstwami. Karol Bryda. Nie byłam w stanie zagłuszyć w mojej pamięci jego gwałtownych słów, zwróconych przeciwko kobietom. Był kobieciarzem i jednocze-

śnie nienawidził kobiet, gdyż uważał, że umizgi, od których nie potrafi się powstrzymać, uwłaczają jego męskiej godności. Niech to nawet będzie prawdą, że nie zabił Marioli, bo tego wieczora przebywał w więzieniu. Mariolę mógł zabić mimo wszystko Rysiek, wymknąwszy się niepostrzeżenie z „Cristalu”.

Nie bardzo wierzyłam w zeznania pani Kasi i osób obecnych wtedy w kawiarni. Pani Katarzyna na pewno podliczała kasę, a ten majster zanadto zaabsorbowany był swoim kociakiem, żeby widzieć cokolwiek poza uwielbianą buzią. Podobieństwo metod... To niewielka sztuka. Całe miasto mówiło o tym, jak zginęła Brydowa. Mógł Rysiek powtórzyć ten sposób, pragnąc zrzucić winę na zabójcę Michaliny. Bo Rysiek... Tak, Rysiek mógł być „wampirem”, nieuchwytnym mordercą. Nie krył się ze swoją awersją do kobiet i, doprawdy, miał po temu powody. Jest silny, zręczny, chodzi jak, nie przymierzając, kot. I ze swoją kamienną twarzą, martwymi oczyma, drewnianym głosem, jak ulał pasuje mi do obrazu żywego trupa. Tego, wstającego o północy z grobu, aby

kąsać żywych. Żywych, nie będących tak jak on martwymi.

Oczywiście – nie myślałam tego dosłownie, w wampiry nie wierzę, ale w przenośni. A te „babki”, o których mówił Marioli, że je unieszkodliwił, kiedy chciał, żeby zrozumiała jego groźbę?

– Moja kochana – powiedziałam w pewnej chwili do siebie niemal na głos – oszukujesz siebie samą. Jesteś załganą sentymentalną gąską. Dlaczego ukrywasz przed sobą, że chciałabyś w tym rachunku oszczędzić pewnego pana, którego masz nie tyle pod ręką, ile nad głową; gdybyś stuknęła w sufit, może nawet odezwałby się. Spodobał ci się ten pan i wyobraziłaś sobie Bóg wie co, dlatego tylko że zaprosił cię na obiad, bo inaczej nie wypadało mu postąpić? No widzisz, przyłapałam cię na próbie ukrycia sprawcy pięciu ohydnych zbrodni. Czy pamiętasz te ostre błyski w jego oczach? Może dowolnie szybko przenosić się swoją syrenką z jednego krańca miasta na drugi. Może zostawiać samochód o jeden przystanek dalej lub bliżej. Po zabójstwie wsiada do tramwaju, jedzie ten jeden przystanek i wysiada. Zajmuje miejsce przy kierownicy syrenki i jazda. Godziny, w których urządza swoje wypadki? Nic to nie znaczy. Człowiek na jego stanowisku może wychodzić z miejsca pracy i wracać, kiedy chce, kto go będzie sprawdzać. Narzędzi różnych w hucie ma do wyboru, kabli – ile dusza zapagnie. Że boi się kobiet? No właśnie. Kto by nie dążył

do usunięcia ze swojej drogi tego, co go przyprawia o lęk? A te jego studia nad wampirami, jego cudaczne poglądy na dwoistość ludzkiej natury, te głębokie dociekania na temat zespolenia w jedno dwóch uczuć – nienawiści i miłości? Tak, miałam już wła-

ściwie gotowy obszerny akt oskarżenia. Prawie bez luk.

134

Nagle usiadłam na tapczanie wyprostowana i o mało nie wrzasnęłam. Oblałam się całą zimnym potem. Jak ja mogłam być tak lekkomyślna? Idiotka. Pchałam się lwu prosto w paszczkę. Ja –

sam na sam z tym człowiekiem w garażu! Dokoła ani żywej duszy. Może on mnie chciał już wtedy zamordować, kiedy wracali-

śmy z pamiętnej kolacji? Może dlatego tak świecił w moim kierunku reflektorami, żeby zobaczyć, czy nikogo nie ma w pobliżu?

Może właśnie ten tajemniczy cień, który skrył się, lecz chyba został przez Rota dostrzeżony, okazał się moim zbawcą?

Do biblioteki przestał przychodzić – widzieliście go! A po-przednio to on niby nie miał tej swojej „wspaniałej” biblioteki w hucie? Miał. Pani Róża na pewno należała do typu kobiet, wzbudzających w nim opory. Nie wiadomo, czy nie była do niej podobna ôwa hrabina-filantropka, dobrodziejka, której nie podobał

się zapach podrzutków z sierocińca. Zabił hrabinę, anioła, do którego się rozczarował – zabijając panią Różę.

Pomyślałam o bibliotece, o pani Róży i niespodziewanie moja wyobraźnia jak gdyby fiknęła koziołka. Odwróciła się stronica, zmienił się obrazek. Zamiast szczupłej, śniadej twarzy o jasnoszarych oczach zobaczyłam twarz inną. Szeroką, po pijacku nalaną, ponurą, kiedyś chyba nawet dość przystojną, zanim nie zdeformował, nie zniszczył jej nałóg. Tę twarz z oczyma czarnymi jak dwa węgle widziałam wśród tłumu, który zgromadził się koło wykopu, gdzie leżała zamordowana pani Róża. Była to twarz za-cięta, skurczona okrutnym grymasem. Mógłby ktoś pomyśleć, że twarz ta uśmiecha się z triumfem, z szatańską wprost satysfakcją.

Tak mógł śmiać się diabeł, kiedy udało mu się przez węża namówić Ewę do grzechu. Rozpoznałam wtedy człowieka, ale cóż mógł

135

znaczyć jego widok wobec sceny, której stałam się mimowolnym świadkiem! Diabelska twarz należała do Wojciecha Jarmila mieszkańca czynszówki, znęcającego się po pijanemu nad swoją żoną i małą Marysią, stałą pacjentką doktora Kosmy.

Próbowałam przypomnieć sobie, co wiem o Wojciechu Jarmilu. Wiedziałam niemało.

Jego żona, Zuzanna Jarmilowa, bywała częstym gościem w naszym ośrodku. Albo jej trzeba było udzielać pomocy, albo córecz-ce Marysi. Zuzanna nie taiła swojej tragedii. Nieszczęście było dla niej tak oczywiste, tak wypełniało sobą całe jej życie, że uważała za naturalne, aby wszyscy o nim wiedzieli.

Użała się, biorąc za świadków i mnie, i Kosmę, i Jankę, i każdego, kto nawinał się pod rękę. Nie krępowała się, bezwstydnie nie szczędziła opisów detali swojego małżeńskiego pożycia:

– Bo on, siostró, nie jest mężczyzna, jak inni. Nie żeby kaleka jaki, co to, to nie. Ale jak był mały, to koń go kopnął. I od tego on słabuje. Nie zawsze może żyć z kobitą. Tylko czasami. A ze mną to tylko, kiedy mnie zbije, umęczy, że leżę jak nieżywa... A przedtem to jeszcze spić się musi. Wtedy ma to, co chce, ale ja już po takim biciu nic nie czuję, ani do niego, ani w ogóle. To on wtedy krzyczy, że mnie zabije, bo ja go nie chcę kochać. Pasem mnie bije, takim żołnierskim, ze sprzączką, albo sznurem od żelazka, albo tak, zwyczajnie, pięściami. Na drugi dzień, jak się wyśpi, nie ten sam. Inny, dobry, przeprasza, płacze, że już nigdy tak nie bę-

dzie. Bogać tam prawda. Ino do następnego chłania. Jak się spije gdzie z kolegami, znów zaczyna. „I po co ja żyję, jak nie mogę żyć z tobą ani z żadną inną?” – tak mówi... Takiego ma hysia, taką 136

wariację. Nic nieważne, ino to jedno. Z roboty to już tyle razy go wyrzucali, niech ręka boska broni. A przecie on szofer, dobry zawód, moglibyśmy żyć jak ludzie. Z takiego życia jak nasze to co ja mam? Zdrowie zmarnowałam, Mówię już nieraz do niego:

„Chcesz, to zabierz moje życie, na co mi ono. Zabij, bo ja już dłużej nie mogę”. Uciec chciałam, do rodziny na wieś. Nie puszcza.

„Moja żona jesteś, przysięgałaś, to cierp. Ja się męczę i ty się męcz. Do grobu.” Tak mi odpowiada. Myślałam, dzieciak się urodzi, to on się odmieni, bo zawsze mówił, że jakby było dziecko, to byłoby co inszego. Trochę tak i było, jak się Maryśka urodziła.

Nie napierał już tak na mnie, ją na rękach nosił, wódkę rzucił, robotę wziął. Bogu dziękowałam za to dziecko. Ale tylko Maryśka podrosła, on już znów wilkiem zaczął patrzeć na mnie i na nią. I powiada raz: „Nie moje dziecko. Nijak do mnie niepodobne”. I za pas łapie. No to ja w krzyk: „A czyje ma być?”, a on jak się nie rozedrże: „Surdonia, Antka, tego przeklętnika. Nie latałaś może do Surdoniów, ty...” – i wyzwał mnie jak można najgorszym słowem.

A ja przecie do Surdoniów uciekałam tylko wtedy, jak mnie bił.

Co mi po Antku albo po kim innym. Ja amorów to mam dość, myśleć o nich już mnie boli. No i znów się zaczęło. Na Maryskę inaczej nie mówi, jak bękarcica, na mnie suka. To znów przysięgać mi każe na wszystkie świętości, że ja z nikim innym.. I tak w kółko. Ja już kiedyś do wody skoczyć chciałam, utopić się razem z dzieckiem, żeby tej nędzy i hańby nie miało. Nad staw poszłam do parku. Ale ta dziecina jak mnie nie złapie rączynami za szyję i łezki jej z oczek lecą: „Mamuniu, ja się boję... czy ta woda zimna?”, no i cofłam się. Usiadłam na brzegu i razem płakałyśmy, 137

że nijak z nieszczęścia nam się nie wydobyć...

Czy naprawdę „nijak”? Znałam ludzi z tej kamienicy, zwłaszcza tych, którzy mieli dzieci. Wypytywałam ich, jak to jest z Jar-milami, czy rzeczywiście nie można im w niczym pomóc. Otrzymywałam zawsze odpowiedź albo wykrętą, albo wręcz odmowną. W końcu jedna z sąsiadek powiedziała do mnie:

—

Siostro, niech się siostra w to nie miesza. My wszyscy przestaliśmy się już wtrącać w sprawy Jarmilowej. Głupia baba, a na głupotę nie ma lekarstwa. Dawniej, jak Wojtek ją grzmocił, aż się po całym domu rozlegało, a ona uciekała na schody i boskiego zmiłowania wzywała, każdy przed nią drzwi otworzył i schronienie jej dał. Ale kiedyś było z nią już tak źle, że pogotowie przyjechało i ktoś na milicję dał znać. Sprawę Wojtkowi zrobili. No i nas na świadków wołali. Ale ona na sprawie powiedziała, że to wszystko nieprawda, że on jest dla niej bardzo dobry. Że to tylko my, sąsiedzi, przez złość na niego donieśliśmy, bo on wódki nam nie chciał stawiać. A kobietom mówiła, że lecą na niego, ale że on nie zważa na nie, więc oczerniają go przez zazdrość. Potem chodził Jarmil

i odgrażał się nam wszystkim, i przechwalał: „Nic mi nie zrobicie”... Podobnie nastraszył ją, że zginie śmiercią marną, jeżeli go zasądzą, no i ona przestraszyła się. I tak właśnie zezna-wała. Ale myśmy na durniów i łobuzów wyszli, my wszyscy, któ-

rzyśmy jej chcieli pomóc. To teraz, jak nawet krzyczy na schodach i do drzwi łomocze, nikt jej nie wpuści, nikt nie pomoże. Czy można pomóc takiemu, co i sam sobie nie pomaga, i innym w pomaganiu przeszkadza?

Wyznania Jarmilowej, komentarz zrażonej sąsiadki, obraz 138

Jarmilowej, miotającej się z krzykiem po schodach od jednych zamkniętych drzwi do drugich w poszukiwaniu pomocy – wszystko to teraz, w czasie bezsennej nocy zbiegło się w mojej głowie jak na zawołanie, gdy tylko stanął mi w oczach Jarmil taki, jakim go zapamiętałam ze spotkania przy wykopie.

Wiecznie nienasycony, stale głodny miłości, a znajdujący tylko jej namiastkę i tylko przez zadawanie bólu, dręczenie swojej kobiety – a może także innych kobiet – musiał czuć się Jarmil jak człowiek trawiony nieustanną gorączką, łaknący wody na pustyni, noszący w sobie płomień, którego niczym ugasić się nie da. Musiał mówić prawdę swojej żonie, kiedy wołał do niej: „Męczę się ja, męcz się i ty”.

Kto wie, które z nich cierpiało bardziej. Bez wątplenia Jarmil jest człowiekiem chorym. Powinien się leczyć. Mogłoby to odmienić jego życie, życie całej rodziny. Kto mu to jednak powie?

Kto ośmieli się wystąpić z taką propozycją do notorycznego chu-ligana i pijaka?

Jarmil, Jarmil – powtarzałam sobie w myślach. Jarmil, Wojciech Jarmil też może być „wampirem”...

Tak wymawiając w kółko jedno i to samo nazwisko, zasnęłam wreszcie krótkim, niespokojnym, nie dającym wypoczynku snem.

Rozdział 7

Wszystko to, co działo się od momentu śmierci Janki Wąsikówny, przypominam sobie teraz, z odległości czasu, jak przez mgłę. Podobno pamięć ludzka w odruchu samoobrony samoczynnie usuwa ze swoich pokładów wspomnienia najboleśniejsze.

Jeżeli to prawda, powinnam właściwie z tego okresu w ogóle nie pamiętać nic. Był to bowiem zupełny koszmar.

A zaczął się podczas pogrzebu Janki Wąsikówny. Smutna ta ceremonia, której każdy z nas najmniej by się spodziewał w od-niesieniu do tak zdrowej i wesołej dziewczyny, jaką była Janka, przekształciła się w wielką, żywiołową demonstrację. Co najmniej kilka tysięcy mieszkańców naszego miasta przybyło na cmentarz i szło za trumną, którą nieśli koledzy Adama z pogotowia. Postawa tłumu wyrażała nie tylko żal – bo Jankę znało mnóstwo osób i lubiło za uczynność, za serce, które wkładała w swoją pracę. Twarze ludzi były zacięte i groźne. Pomyślałam: biada mordercy.

Sam strach powinien go zabić albo zdradzić na widok tych twarzy.

Manifestacja miała inne jeszcze znaczenie: stanowiła coś w rodzaju wyzwania, ponaglenia pod adresem tych, których obowiązkiem było bronić życia i bezpieczeństwa obywateli.

Zadawałam sobie pytanie: czy wśród nas są tu teraz na cmentarzu ludzie, których skłonna byłam podejrzewać o to morderstwo 140

i o tamte cztery, które je poprzedziły? Zaczęłam rozglądać się dyskretnie. Ktoś z tłumu uklonił mi się uprzejmie. Był to inżynier Andrzej Rot. Ale był też i Bryda. Szedł, trzymając za rękę Dzidkę, jak gdyby z niej czynił dla siebie osłonę przed wszelkim oskarżeniem. Przemknęła i skryła się w tłumie zgrabna sylwetka Ryśka Jaskólskiego. Jarmila tylko nie widziałam.

Zimno było, padał śnieg, ale ludzie rozchodzili się powoli, jedni w milczeniu, inni wymieniając między sobą półgłosem uwagi.

Ktoś mówił:

—

No i popatrzcie, państwo, jak to nigdy nic nie wiadomo.

Za tydzień miał być jej ślub.

Ktoś zapytał:

—

Zdaje się, że z tym Pustołą z pogotowia?

—

Tak – brzmiała odpowiedź – z Adamem.

—

A on był?

—

A jakże. Z jej rodzicami szedł, zaraz za trumną. Nieść tylko nie mógł, bo chory. Aż żał patrzeć na chłopaka.

—

Suknię jej szylałam. Na ten ślub właśnie. Z lamy srebrnej, z welonem. No i do trumny w niej poszła... A pan, zdaje się, ją czesał, panie Feliksie?

Odwróciłam lekko głowę. Poznałam grupkę, która szła za mną.

Była i Bronka Wiśniewska z domu towarowego, i Kordaszewska z Zalipia – ona na wszystkie pogrzeby w mieście chodzi – i kraw-cowa, wspólna: moja i Janki, i pan Feliks.

Pan Feliks skłonił mi się z uszanowaniem, odpowiadając jednocześnie:

–

Czasami, ale przeważnie Bronisław jej włosy układał. U

niego miała już zamówione czesanie na ślub.

141

–

Ot – zauważyła filozoficznie Bronia Wiśniewska – umiera człowiek, ginie i wszystko z życia za sobą zostawi. Jakby na stacji nie tej, co trzeba, wysiadł przez nieuwagę i niechcący został, a pociąg z bagażem dalej pojechał..

–

Tak, tak – wycedził melancholijnie pan Feliks. – Nikt z nas nie jest pewien dnia ani godziny...

Razem z gromadką pracowników naszego ośrodka podeszłam do matki Janki, żeby złożyć jej kondolencje. Była to wysoka, tęga kobieta, pasująca jak ulał do również rosnącego i barczystego męża –

kolejarza. Oboje trzymali się sztywno. Dzielnie i z godnością znosili swoje cierpienie.

Wyciągnęłam do nich rękę. Moja dłoń na moment zawisła w próżni. Po chwili dopiero poczułam, że na coś natrafiłam. Nie była to jednak ręka matki Janki. Odpowiadał mi uściskiem ojciec – kolejarz, zgniatając moje palce w swojej potęż-

nej, mocnej dłoni. Nie rozumiałam, co się dzieje? Spojrzałam w twarz matce Janki. W jej oczach nie było łez, a jeżeli nawet wyra-

żały rozpacz, to w tej chwili przesłoniła ją całkowicie najgłębsza nienawiść, jaką tylko można sobie wyobrazić. Ale dlaczego tak na mnie patrzy ta kobieta, dlaczego nie chce przyjąć wyrazów współ-

czucia ode, mnie, zaprzyjaźnionej z jej córką, wieloletniej kole-

żanki Jasi? Może ma taki żal do losu, że jej jedynaczka zginęła tragicznie, a ja żyję? Czyż jednak ja jestem temu winna? O co do mnie ten żal, skąd ta nienawiść? Zawsze mnie lubiła, witała, czę-

stowała, kiedy zachodziłam do Janki, żeby poplotkować na temat naszych kolegów i pacjentów...

Stałam jak ogłupiała. Ruszyłam się dopiero, gdy ktoś popchnął

mnie, dając do zrozumienia, że powinnam ustąpić już miejsca następnym osobom, równie jak ja współczującym rodzinie.

142

Odeszłam na bok. Spostrzegłam, że ludzie, którzy stali niedaleko mnie i widzieli scenę przy grobie, przyglądają mi się – jedni badawczo i uważnie, inni ciekawie, a niektórzy po prostu jakby nieprzyjaźnie.

Wracałam przez cmentarz sama. Tak jakoś się złożyło, że wszyscy z ośrodka, którzy dotychczas trzymali się razem całą grupą, rozeszli się w różnych kierunkach.

Przy bramie minął mnie inżynier Andrzej Rot. Nie zaproponował jednak tym razem, żebyśmy razem pojechali do domu jego syrenką. Załadował do niej kilka osób, zdaje się, że z załogi huty.

Było to zrozumiałe, ale zrobiło mi się jakoś dziwnie przykro. I smutno. I samotnie.

Ten przygnębiający nastrój był wszakże jeszcze niczym w porównaniu z tym, co rozpoczęło się już następnego dnia. Wrogi wobec mnie gest matki Janki Wąsikówny na cmentarzu jak gdyby uruchomił całą lawinę podobnych reakcji ludzkich na mój widok.

Musiało się to roznieść – cóż bowiem da się ukryć w Świerniku przed wiadomością publiczną? A szczególnie przed oczyma i uszami jego mieszkanek!

W naszej przychodni dziecięcej od samego rana było pustawo.

Przyjęłam tylko dwóch czy trzech pacjentów. Jakiś mąż przyszedł

po zwolnienie z pracy dla żony z powodu choroby dziecka. Inny –

po skierowanie dla córeczki na analizy. Jakiś chłopiec chciał za-

świadczenie dla szkoły, twierdził, że boli go brzuch, lecz mina wskazywała raczej na bojaźń przed klasówką. Zdziwiłam się: czyżby w moim rejonie ustały nagle wszystkie dziecięce choroby?

Grypki, świnki, odry, ospy i zwyczajne niedyspozycje żołądkowe z powodu przejedzenia? Nic na to nie wskazywało. Rejestratorka przekazała nam kilkanaście wezwań i próśb o wizytę domową 143

doktora Kosmy. Ni stąd, ni zowąd mamy naszych małych pacjentów zrobiły się wygodne, nie chciało im się już wozić dzieci do ośrodka. Oczywiście, jeżeli dziecko leży w łóżku, Kosma odwiedza je w domu. Ale czy pogoda jest naprawdę taka zła, że Bronia Wiśniewska nie może przyprowadzić do nas swojego Wacia, który wybił sobie palec na ślizgawce? Za to kilka moich wizyt w domach, które miałam wyznaczone na popołudnie, uległo niespodziewanie odwołaniu. Jedna mama tłumaczyła, że przed następnym zastrzykiem musi porozumieć się z Kosmą, bo jej się zdaje, że te zastrzyki szkodzą synkowi, zamiast pomagać. Kordaszewska zatelefonowała do mnie od Hajduków i zatrajkotała jak katarynka:

– A bo to, proszę siostry, pogoda, że psa by nie wygnał.

Właśnie jest tu pani Aniela... Mówi, że zrobi Kazikowi zastrzyk.

Więc niech się siostra już łaskawie do nas dziś nie fatyguje, na ten nasz koniec świata... Oszczędzać się trzeba, oszczędzać... Co się przeżywa, to się przeżywa, no nie?

Przyjemna była myśl, że nie muszę podczas zadymki jechać na Zalipie, ale Kordaszewska mnie rozgniewała. Co ją obchodzą moje przeżycia?

Dwie matki po prostu dały znać, żebym nie przychodziła, bo nie ma potrzeby. Bez podania powodów. Wobec tego pozostałe trzy wizyty sama odwołałam, nie były to zresztą żadne naglące czy ciężkie przypadki.

Postanowiłam popołudnie poświęcić moim własnym sprawom.

Rzadko mi się zdarza podobna gratka, jak kilka zupełnie pustych poobiednich godzin. Ale oto znów zaczęły się jakieś czary.

„Pod Jagódką” oświadczone mi w okienku, gdzie przyjmuje się zamówienia i opłaca potrawy, że moich ulubionych naleśników 144

z serem zabrakło. A widziałam kątem oka, że leżą jeszcze na stolnicy. Zgłosiłam pretensję i usłyszałam, że to „już zamówione”.

Musiałam zadowolić się porcją gryczanej kaszy, którą podająca kelnerka cisnęła mi na stolik z takim zniecierpliwieniem i odrazą, iż odeszła mnie wszelka ochota na posiłek.

Krawcowa, do której wstąpiłam, żeby przymierzyć wiosenny kostium, ta sama, która szyła ślubną suknię Janki i rozprawiała o tym na cmentarzu, powitała mnie ze zbolałą miną. Zwróciła mi mój materiał, tłumacząc się, że jakaś jej klientka wyjeżdża właśnie za granicę i zasypała ją zamówieniami. Doprawdy, nie da rady uszyć mi mojej garsonki na czas. Ubolewała wprawdzie z tego powodu, ale w niczym to nie zmieniało faktu, iż muszę rozejrzeć się za nową pracownią.

Bronia Wiśniewska w domu towarowym przyjęła mnie również nie tak wylewnie jak zazwyczaj. Rajstop, które miała dla mnie odłożyć, nie było. Podobno nawiedziła sklep kontrola i po-wywlekała wszystkie atrakcyjne wyroby, ukryte pod ladami dla znajomych. W tym także przeznaczone dla mnie rajtki, niezbędne dla mnie przy noszeniu spodni i jeżdżeniu motocyklem. Kiedy wyszłam na ulicę, zatrzymałam się jeszcze na chwilę przed wystawą. Przez dużą szybę widać było z ulicy całe wnętrze sklepu.

Nie mogłam nie zauważyć, jak dookoła Broni błyskawicznie skupił się cały wianuszek ekspedientek. Pochylone ku sobie głowami, pytlowały o czymś zawzięcie, Broncia zaś miała minę zgorzowaną i wymachiwała energicznie swymi tłustymi rączkami, jakby niebio-sa wzywając na świadka słuszności swoich poczynań.

W spółdzielni sprzedano mi pieczywo zeschłe, z poprzedniego dnia, w czym zorientowałam się

dopiero na ulicy, upychając 145

bułki w torbie. Nie zawróciłam jednak, aby złożyć reklamację.

Zniechęciły mnie poprzednie doświadczenia.

Pan Feliks nie miał czasu, żeby mnie uczesać, czekały na niego jeszcze trzy klientki, a on chciał wcześniej tego dnia skończyć pracę. Gdy zamykałam już za sobą drzwi zakładu, dobiegły mnie jego słowa, skierowane do jednej z pań:

—

A ja twierdzę, że to nie może być kobieta!

Ażeby się pocieszyć po tych wszystkich zawodach i niepowodzeniach, wstąpiłam do „Cristalu”, naszej osiedlowej kawiarenki.

Doszłam do wniosku, że robi mi się lżej na duszy, jeżeli napiję się dobrej kawy i chociaż ciastko zjem, skoro na bułce, kupionej na kolację, można połamać wszystkie zęby.

W „Cristalu” było pusto i nie dziwiłam się temu. Ostry wiatr przeganiał tumany drobnego, kłującego śniegu. Na taką pogodę każdy czym prędzej szuka domowego zacisza. Otworzyłam drzwi z rozmachem i zawołałam od progu:

—

Dobry wieczór, pani Kasiu! Błagam o „szatana”!

Ale pani Kasia jak gdyby doznała wstrząsu na sam mój widok.

Zbladła. Oczy zrobiły się jej okrągłe ze strachu. Usta otworzyła szeroko, lecz prawdopodobnie nie mogła wydobyć z nich głosu, gdyż łapała tylko szybko dużymi haustami powietrze.

Drżącą ręką, nie odrywając oczu od mojej postaci, wodziła po ladzie. Po omacku czegoś szukała. Gdy zbliżyłam się do niej, dojrzałam trzonek ukrytej za kasą siekiery. Kiedy indziej roześmiałabym się w głos, ale czasy w Świerniku nie były takie, aby można było kpić z kobiet, zabezpieczających sobie na wszelki wypadek narzędzia obronne.

146

Stałam przed ladą i zawołałam jeszcze raz, usiłując nadać mojemu głosowi ton jak najcieplejszy, wzbudzający zaufanie:

—

Pani Kasiu! Cóż to? Nie poznała mnie pani?

Zamamrotała nieswoim głosem:

–

Ależ tak... Ależ tak... Siostra Anna.

–

No właśnie. Przecież widzi pani, że nie wampir. Ustawiała przede mną na stoliku kawę i talerzyk z ciastkiem wciąż jeszcze dygocącymi rękoma.

–

Pani się dziwi? Ja tu sto razy dziennie umieram ze strachu.

A pod wieczór już w ogóle nie żyję. Niby bloki niedaleko, ale dookoła pusto, może mnie mordować, kto chce, jeżeli nikogo w kawiarni nie ma. Żywa dusza nie usłyszy. Daleko to stąd Mariola zginęła? Pięćdziesiąt metrów. I co? Nikt nie widział, nikt nie słyszał.

–

Tak, to prawda – zgodziłam się. – Ale widzi pani przecież, że kobieta wchodzi. Czegóż więc się bać.

Przyjrzała mi się z baczną uwagą, wróciła za ladę i stamtąd, jak zza murów obronnej twierdzy, czując pod ręką zbawczą siekiere, oznajmiła mi:

–

Co z tego, że kobieta? Nie wie pani, co mówią?

–

Nie wiem – odpowiedziałam szczerze, zgodnie z prawdą.

–

A mówią, że to może być i kobieta. Znaczy się, ten morderca.

–

Skąd taka myśl?! – zawołałam zdziwiona i przypomniałam sobie słyszane przypadkowo słowa pana Feliksa. Więc on o tym mówił!

Bąkała, wciąż jeszcze nieufna, nie uspokojona:

–

No... no, bo podobnież tym zabitym... nic innego nie ginie, 147

tylko takie małe damskie drobiazgi. Jaki mężczyzna by się połakomił na broszkę, na kolczyk albo damski zegarek? I takie tam różne... kosmetyki. Jakby przy nim znaleźli albo ktoś z rodziny w domu u niego znalazł, zaraz byłoby wiadomo, że to on, pozabijał

te kobiety. Ale każda z nas takie rzeczy może sama mieć w domu, własne. Mało to broszek bursztynowych albo srebrnych dzwo-neczków, albo takich torebek, jak miała Wąsikówna, mają panie po domach?

Żachnęłam się i powiedziałam pani Kasi wprost, że to absurd, że strach ma wielkie oczy. Zapłaciłam i szybko wyszłam z „Cristalu”, tak deprymująco działała na mnie roztrzęsiona pani Katarzyna wraz ze swymi bzdurnymi aluzjami.

Szłam przez pusty plac, dzielący „Cristal” od bloków, obok stert kamieni i obok naszego garażu taka pogrążona w nieweso-

łych rozmyślaniach, że nawet zapomniałam o lęku, który mimo woli ogarniał mnie zawsze w tym miejscu. Mordercą ma być kobieta? Kobieta-wampir? Już mnie raz podejrzewano, gdy zginęła Brydowa. Że ją przejechałam i ze strachu przed odpowiedzialno-

ścią zainscenizowałam zbrodnię...

W tym momencie struchlałam. Uświadomiłam sobie nagle całą grozę sytuacji. Ależ tak, to jest właśnie tak. Inaczej nie może być.

To mnie podejrzewają o pięć morderstw!

Zrozumiałam teraz wszystko. Reakcję matki Jasi na cmentarzu, zachowanie się wobec mnie kobiet, z którymi świadczymy sobie codziennie wzajemne usługi, nagłe zniknięcie z ośrodka matek z dziećmi... Na razie opasano mnie kordonem sanitarnym. Ale co ma być dalej? Nie wiem...

148

Wiatr wiał, ciągnąc za sobą zwoje śniegu, gwizdał wśród za-

łomów ścian, bębnił w rynny. Nie dosłyszałam, że ktoś za mną idzie. Dopiero gdy dotknął mojego ramienia, zmartwiałam i stanę-

łam jak wryta. I już się nawet nie bałam. Było mi wszystko jedno.

Bryda. Znow Karol Bryda. Do diabła, czego ten człowiek chce ode mnie? Znow będzie mi opowiadał swoja dyrdymałki, jak to on nienawidzi babek, które podrywa? Nie, nie będę już wysłuchiwać żadnych zwierzeń, niczyich spowiedzi z życia. Mam wystarczają-

co dość własnych zmartwień.

A może Bryda też jest przekonany, że jestem morderczynią kobiet? I chce się zemścić za śmierć swojej Michasiu? Przecież zapowiadał mi wtedy, na drodze w Zalipiu, że wykopie mordercę spod

ziemi. Mnie nie musi wykopywać. Ma mnie przed sobą. A ja nie mam siły się bronić. Ani przed nim, ani przed nikim innym.

Patrzył na mnie w milczeniu. Przez śnieżną zamieć, jak przez gęstą białą firankę, poruszaną wiatrem, przy świetle słabo tu jeszcze docierającym z oddalonych okien bloku, widziałam jego twarz. Nie wyrażała gniewu, raczej troskę i niepokój. Odezwał się swoim dawnym, przyjemnym, niskim głosem:

–

Lubię panią, siostró Anno. Niech pani nie myśli, że chcę się do pani zalecać, nic z tego. Ot, po prostu lubię. Za to, że mi pani jedna uwierzyła... wtedy. I za to, że nie mizdrzy się pani, jak inne babki, nie udaje świętej Cecylii, nie wodzi się pani z pleciugami.

–

Za to one mnie nie cierpią – mruknęłam z goryczą.

–

Prawda.

–

Chce mnie pan ostrzec? – zagadnęłam go wprost. –

149

Solidarność podejrzanych... Chce mnie pan oświecić? Że to niby ja jestem wampirem? Wiem o tym.

–

Tak – przyznał się. – To i dobrze, że pani już zrozumiała.

Myślałem, że do pani jeszcze nie doszło. Musi pani bardzo na siebie uważać. Co pani mówi, jak się pani zachowuje. Każdy pani krok obgadują, podpatrują. Będzie pani miała jeszcze dużo przykrości. One pani żyć nie dadzą. Mówi się, że wampir z człowieka krew wysysa, ale one gorsze. Nawet nie zadrasną, kropla krwi nie popłynie, a człowieka od środka wysuszą, wybebeszą, że ledwo szkielet zostanie. Przez ich gadanie też szczeznąć można.

– Więc co ja mam robić? – zapytałam cicho.

–

Najlepiej by było zejść im z oczu. Na jakiś czas. Urlop niech pani weźmie i gdzieś pojedzie stąd,

–

Pomyśle o tym – odparłam z wahaniem. – Pan rozumie, nie mam ochoty poddawać się. Honor mi nie pozwala.

Uśmiechnął się z uznaniem.

–
A wie pani, kto w tej nagonce rej wodzi? Julia Kordaszewska. Podobno opowiadała jej pani takie szczegóły o śmierci Heńki, które tylko morderca mógł znać. A jak pani spostrzegła, że ona wszystkiego się domyśla, chciała ją pani zabić. W biały dzień, na ulicy. Tylko że ona zdążyła uciec.

–
Była ciekawa, jak zginęła Heńka, to jej powiedziałam –

mruknięłam ponuro.

–
Napytała sobie pani biedy. Na co to było?

–
Sama nie wiem. Diabeł mnie podkusił.

–
Fakt. Zadawać się z plotkarkami diabelska sprawa. Kordaszewska już na milicję biegła z tą sensacją.

–
Nowina ta powinna była mną wstrząsnąć. Ale nie wstrząsnęła.

150

Była ostatecznie tylko małym fragmentem obrazu mojej sytuacji tak potwornej, że nigdy w żadnym koszmarnym śnie nie mogłaby mi się objawić. Pomyślałam, że nic już nie jest w stanie wytrącić mnie z równowagi.

Odprowadził mnie pod samo wejście do bloku. Pożegnał się serdecznie, a ja podziękowałam mu za życzliwość.

Do Zdebniaków, oczywiście, już nie wstąpiłam. Przypomnia-

łam sobie, jak Irka prosiła, żebym chwilowo wstrzymała swoje odwiedziny w ich domu. Czy tylko z powodu złego humoru Staś-

ka? A może tam, za drzwiami naprzeciwko mnie, od dawna już mówiło się różne rzeczy na mój

temat?

Kiedy przekręcałam klucz w drzwiach, wydało mi się, że na górze, o piętro wyżej nad moim, mieszkaniem, ktoś po cichu otworzył drzwi i jakby nasłuchiwał. Niech słucha – pomyślałam.

Może on też uważa, że zgładziłam pięć kobiet... Powinien być rad: na świecie mniej babek, których nie cierpi. Może już za te dwie pierwsze obiad mi fundował? Trzasnęłam moimi drzwiami naumyślnie tak mocno, że od ściany odpadł kawałek tynku.

W ośrodku następnego dnia miałam przykrą rozmowę z Kosmą i kierownikiem ośrodka, doktorem Zawilcem. Na początku usiłowali owinąć sprawę w bawełnę, ale ja powiedziałam im wprost, co o tym wszystkim myślę. Nie podzielali zdania licznych mieszkanek Świernika, ale przedstawili mi swoje racje.

– Niech siostra zrozumie – tłumaczył mi doktor Zawilec – to nam dezorganizuje pracę przychodni. Wczoraj te piekielne babki oświadczyły jedna po drugiej doktorowi Kosmie, kiedy był u nich z wizytami domowymi, że żadna nie przyprowdzi dziecka do 151

ośrodka tak długo, dopóki siostra tu będzie. Przecież doktor Kosma nie może zamienić się w wędrowną przychodnię... A my nie mamy na nie żadnego wpływu. One są teraz rozwścieczone, zażar-te. Za jakiś czas uspokoją się, wszystko wróci do normy. Miejmy nadzieję, że milicji uda się w końcu wykryć sprawcę tych ohydnych mordów.

–

Kiedy on jest nieuchwytny – mruknęłam z rozpaczą.

–

Złapią go, złapią. Ale musimy tu na razie zlikwidować sytuację konfliktową. Przecież nie chcemy siostry zwalniać. Chyba że siostra chciałaby wyjechać w ogóle ze Świernika.

–

Skądże! – zaprotestowałam energicznie. Przywiązałam się już do naszego miasta. Nie mam, ostatecznie, dwudziestu lat, żeby rozpoczynać wszystko od nowa.

–

No właśnie. Proponujemy siostrze urlop, zdrowotny i wy-poczynkowy. Damy skierowanie, dokąd tylko siostra zechce.

Podziękowałam, powiedziałam, że zastanowię się nad wybo-rem drogi ucieczki. Bo to byłaby ucieczka. Chwilowo postanowi-

łam poddać się próbie sił i przez jakiś czas zostać jeszcze w mie-

ście. W dodatku pokazując się jak najczęściej tam, gdzie najwięcej ludzi.

Z desperacją straceńca błąkałam się po mieście, które tak dobrze znałam i w którym mnie znali – a wydawało mi się, że to obce miasto i obcy ludzie. Stali mi się nieprzychylni, ja zaś straci-

łam jakąkolwiek możliwość porozumienia się z kimkolwiek z nich.

Zaczęłam odnosić wrażenie, iż obracam się w pustce, którą wy-twarza samo moje istnienie. Gdziekolwiek szłam, rozstępowano się przede mną, jeden w bok uskakiwał, drugi przebiegał

152

w popłochu na przeciwny chodnik, trzeci odwracał się i udawał, iż mnie nie poznaje. Milkły rozmowy, gdy nadchodziłam, rozlega-

ły się szepty za moimi plecami, gdy już przeszłam i wędrowałam dalej. Jakie dalekie, nieistotne, nieważne stały się w tych okrop-nych dniach drobne, powszednie kłopoty, którymi żyłam do tej pory, wszystkie nasze błahe w gruncie rzeczy zatargi i spory w ośrodku, koleżeńskie ploteczki, awanturki o to i owo z wydziałem zdrowia, sprzeczki w pralni, u rzeźnika, u szewca o nie zrepero-wane na czas buty... Nawet książek zmieniać mi się już nie chcia-

ło. Przedostatni tom „Forsytów” odniosłam do biblioteki i powiedziałam błękitnookiemu dziewczęciu, że na razie nie wezmę nic nowego, bo wyjeżdżam na urlop. Na schodach, gdy już wychodzi-

łam z czytelni, minął mnie Wojciech Jarmil. Popatrzył na mnie drwiąco, lecz ukłonił się z przesadną uprzejmością. No tak, pomy-

ślałam z goryczą, taki to potrafi docenić wampira. Może czuje nawet pewien respekt przede mną.

Dziwił mnie tylko bardzo w tym czasie pewien człowiek. A mianowicie inżynier Andrzej Rot. Ten – unikał mnie i nie unikał.

Nie zbliżał się do mnie, ale spotykać go zaczęłam tak często w różnych miejscach, do których udawałam się bezplanowo, sponta-nicznie, iż obecność jego w moim pobliżu nie mogła być czystym przypadkiem. Szłam do kina – siedział dwa rzędy za mną. Siada-

łam w cukierni, miałam go w zasięgu wzroku w drugim końcu sali, pochylonego samotnie nad gazetą. Wstawiałam motocykl do garażu, a już za zakrętem pojawiały się światła jego syrenki. Pojechałam kiedyś raz z rozpaczy do lasu, podczas ślizgawicy i zawiei, żeby wyładować na nieszczęsnych żywiołach i moim biednym motocyklu całą zapiekłą we mnie złość na świat i ludzi – a on tam 153

stał, na skrzyżowaniu dróg, i dłubał coś w motorze swojego wozu, ukryty pod podniesioną maską. Zadawałam sobie pytanie: śledził

mnie czy ochraniał? Czy wypatrywał sposobnej chwili, żeby i mnie zarzucić czarny kabel na szyję? Odpychałam od siebie odpowiedź na te pytania. Wolałam nie wiedzieć, jakie intencje przy-

świecają inżynierowi Rotowi, który tak nie lubi kobiet, a podobno nie wie jeszcze, czy lubi mnie.

Któregoś dnia uważnie przyjrzałam się sobie w lustrze. Uzna-

łam, że mogę z powodzeniem straszyć ludzi, nawet tych, którzy jeszcze nie wiedzą, iż trzeba się mnie wystrzegać. Miałam zapadnięte policzki, zieloną cerę i obłęd w oczach.

Trzeba było przyznać się do porażki. Przegrałam w moim pojedynku z opinią miasta. Nie wytrzymałam próby nerwów.

Skoro świt wpadłam jak bomba do doktora Zawilca i zażąda-

łam skierowania do Krynicy. Zaczął się luty, a więc tam jeszcze śnieg, ale już słońca dość, aby czuć, że każda zima kiedyś wreszcie się kończy i że po niej następuje wiosna.

Łagodnie wznoszące się białe płaszczyzny, wieńczone na szczytach ażurową czarną koronką świerkowych lasów, podziały na mnie kojąco. Zamieszkałam w przyjemnym domu wczasowym, z którego okien rozciągał się piękny widok na ośnieżone krynickie wzgórza. Zaprzyjaźniłam się ze starszą panią, malarką, z którą dzieliłam pokój. Chodziłyśmy razem do pijalni, na spacer, do kawiarni i do kina.

Pewnego razu, gdy leżakowałyśmy w słońcu na Górze Parkowej, moja nowa przyjaciółka trąciła mnie nieznacznie w bok i szepnęła:

154

—

Spójrz, Anno, tam pod świerkiem stoi narciarz, zaraz bę-

dzie zjeżdżać w dół. Przygląda ci się tak, jakby miał zamiar zjeść ciebie oczami. Pewnie się w tobie zakochał. A może to jakiś twój znajomy?

Zdjęłam ciemne przeciwsłoneczne okulary, żeby móc dokładniej przyjrzeć się szczupłej postaci w niebieskim golfie, wspartej na kijkach na stoku w cieniu świerka.

—

Ach, ten... – odpowiedziałam, siląc się na absolutną obojętność. – Tak. Znajomy. W pewnym sensie, bo raczej znam go z widzenia niż osobiście.

Uważałam, że wystarczy tyle informacji dla miłej starszej pani o Andrzeju Rocie.

I znów zaczęła się ciuciubabka. Jak w Świerniku. Kłaniał się czasami z daleka – nie podszedł ani razu. Denerwowało mnie to niewymownie. Czułam już, że z przykrością skrócę mój pobyt w Krynicy, który tak dobrze mi robił, tak bardzo mnie podniósł na duchu, tak skutecznie pozwolił zapomnieć choć na kilkanaście dni o koszarnej pułapce, w jaką wpadłam. Rot był jak przypomnienie sprawy,

pozostawionej przeze mnie w Świerniku, znów kazał

mi o niej myśleć, pamiętać, truć się nią i bać, bać, bać. Właśnie: truć się. Czułam się zatruta tą ponurą historią. Uczuciom tym towarzyszyła gorzka dezaprobata wobec samej siebie. Mój idiotyczny wyskok, wykorzystany tak skwapliwie przez Julę Kordaszewską, nie dawał mi spokoju. Nie raz i nie dwa zmuszał mnie do zastanowienia się: jak to jest, kiedy w człowieku nagle budzi się niepohamowane okrucieństwo. W Krynicy zrobiło mi się lżej, a Rot znowu włożył mi ciężar na barki. Po co przyjechał tu za mną?

Kto mu kazał? Albo: co mu kazało? Byłam tak wściekła, że chcia-

ło mi się wyć. Po psiemu albo po wilczemu. Pewnej nocy 155

rozpłakałam się. Zwyczajnie, po babsku. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów. Od dnia, w którym dowiedziałam się przed laty, że mój najdroższy wybrał pozłocaną klatkę zamiast ubogiego gniazdka. Pani Elżbieta pocieszała mnie, jak mogła, ale cóż mia-

łam powiedzieć tej zacnej osobie o przyczynie moich łez? Nie wiedziała nic o morderstwach w Świerniku, nie wtajemniczałam jej w ten koszmar. Wykręciłam się byle czym, ot, przypomniał mi się rzekomo rodzinny dom.

Nie tylko Andrzej Rot unikał bezpośredniego zetknięcia się ze mną, ja również robiłam wszystko, żeby zniechęcić go do ewentualnego zbliżenia się. Przede wszystkim zawsze i wszędzie chodzi-

łam z panią Elżbietą. Żartowano już nawet z nas, że takie „nieroz-

łączki”. Pewnego dnia jednak wyszłam na deptak sama. Pani Elż-

bieta źle się czuła po zabiegach i musiała poleżeć w łóżku. Prosiła, abym przyniosła jej krople z apteki. Dzień był piękny, słoneczny, lekko mroźny. Z przyjemnością wdychałam rześkie powietrze.

Oprócz kropli kupiłam jeszcze czasopisma i przysiadłam na chwilę na ławce, wystawiając twarz ku słońcu. Przymknęłam oczy i postanowiłam nie myśleć w ogóle o niczym, tylko o tym, jak przyjemnie jest czuć na czole i policzkach ciepło słonecznych promieni.

Nagle tuż obok mnie rozległ się znajomy głos:

—

Dzień dobry, pani Anno.

Masz, babo, placek, przemknęło mi przez myśl. Nie trzeba mi było wychodzić samej. Dopadł mnie. Na co mi to?

Otworzyłam oczy i popatrzyłam niechętnie.

—

Dzień dobry, panie inżynierze – odparłam lodowato.

156

Nie zraził się moją arogancją.

–

Czy miała pani ostatnio jakieś wiadomości ze Świernika?

– zapytał.

–

Nie – odpowiedziałam kwaśno. – Chyba żeby uwzględnić wampira. Bo jak wiadomo, ja mam z nim kontakt duchowy.

–

Gorzko pani żartuje, pani Anno – głos jego zabrzmiał łagodnie, lecz jak mi się wydało, z odrobiną przekory – i trudno się temu właściwie dziwić. Ale ja dlatego pozwoliłem sobie podejść do pani, że mam ważną wiadomość. Trudno wprowadzić nazwać ją dobrą, ale...

Zerknęłam na niego z niepokojem. Cóż to znowu? Ważna wiadomość i niedobra? Właściwie dobra mogłaby być jedna: że złapali mordercę.

Niewzruszony moim niedowierzaniem ciągnął dalej:

–

Kilka dni temu zamordowana została Jarmilowa. W ten sam sposób co pani Róża Czempińska. Mordercą ujęto. Okazał się nim Jarmil. Wojciech Jarmil. W związku z tym oskarża się go również o tamte zabójstwa...

Rozdział 8

Wracałam do Świernika jak na skrzydłach. Wszystko, co wią-

zało się z tym miastem, a co w ciągu spędzonych w Krynicy tygodni odpychałam od siebie ze wstrętem i zgrozą, znów powróciło teraz do mnie, bliższe jeszcze niż dawniej. Oddalały się natomiast i traciły na wadze problemy, którymi żyło się w uzdrowisku, kur-czyły się do właściwych rozmiarów drobne kłopoty w rodzaju zaniepokojenia, czy długa będzie dziś kolejka w pijalni, co powie lekarz na kontrolnym badaniu, co dadzą wieczorem na kolację i czy panna Kicia, siadująca z nami przy stoliku w jadalni, będzie mogła liczyć na dalszy ciąg romansu z panem Lolem, gdy oboje powrócą w domowe łódzkie pielesze.

Wracałam skrzydlata, bo z obcego mi światka, w którym by-

łam zaledwie gościem, dążyłam do siebie, do domu. Świernik był

mój, własny, i ja należałam do niego całą sobą. Ja składałam się na jego życie, on kształtował moje. Nie zdawałam sobie z tego dotychczas sprawy, odczułam to dopiero teraz – tak kochankom potrzebna bywa rozłąka, aby mogli uświadomić sobie głębokość wzajemnych uczuć. Biegłam tym bardziej niecierpliwa, że pragną-

ca z całego serca pojednania z ludźmi, z których życiem zrosło się moje życie. Znałam ich wady, grzechy i błędy, mogłam czuć do nich piekielny żal, że tak bez zastanowienia odebrali mi swoje 158

zaufanie – ale oni byli moi. Razem z całym bagażem rozumnych poczynań i balastem nierozumnych odruchów. Byłam gotowa wszystko im wybaczyć, aby tylko móc nadal żyć z nimi i wśród nich, w otoczce wspólnych nam wszystkim spraw, dzieląc z nimi powszednią pracowitą krzątanie, wypełniającą dni smutku i dni radości. Kochałam ich.

Przyjechałam do Świernika pociągiem w nocy, a już rano cwa-

łowałam co sił do ośrodka.

Pierwszą osobą, która mnie powitała u progu przychodni tak wylewnie, jak dawno nie widzianą najmilszą sercu istotę, była Julia Kordaszewska.

Miotła się po korytarzu z wózkiem, w którym wrzeszczał Ja-siulek, i dwuletnią Cesią, płacząco protestującą przeciwko wizycie u dentystki. Z niekłamaną tkliwością patrzyłam na niezgrabną, przysadzistą postać naszej generalnej plotkarki; gotowa byłam z największym rozczeniem przytulić do piersi jej paskudnego Jasiulka, stale przegrzewanego, wiecznie kapryszącego z powodu skazy białkowej, czego mama nie była w stanie pojąć. Zabeczany, usmarkany i z buzią pokrytą wysypką – wydał mi się najpiękniej-szym dzieckiem pod słońcem. Pomogłam ustawić wózek, oddałam Ceśkę pod opiekę Małgosi, naszej dentystki, i przytrzymałam drzwi, żeby Kordaszewska mogła się przez nie precyzyjnie do po-czekalni z wielkim tobołem, w którego środku brykało wściekle nóżkami spocone biedactwo, Jaś.

– Oj, siostró, siostró kochana! – powtarzała w kółko Julia –

żeby siostra wiedziała, jak ja się cieszę, że nareszcie siostrę widzę.

Wszyscy już tak czekaliśmy, tak nam tu siostry brakowało...

Aha, pomyślałam, więc to ma być po prostu tak, jak gdyby 159

nigdy nic się nie stało. Ani słowa o tym, co było. Dobrze, niech im będzie. Przyjmuję propozycję do wiadomości. Zażartowałam bez-trosko:

–

No, przecież nie zostawiłam was jak sieroty. Pajdowa mnie zastępowała...

Na czas mojej nieobecności Wisię Pajdową wypożyczono z powiatowego szpitala. Nie znalazła ona jednak uznania w oczach moich podopiecznych. Julia gderiała:

—

liiii tam. Za przeproszeniem, ani się ona umywa do naszej kochanej, złociutkiej siostry Anny, co to wszystko o każdym naszym dzieciaku wie. A to karty Pajdowa pomyli, a to znów nie ma pojęcia, na co które dziecko uczulone. A na nasze Zalipie to już w ogóle nie chciała przyjeżdżać...

—

Dobrze wam tak – zgromiłam ją, udając gniew. – Przynajmniej teraz będziecie mnie doceniać.

Klasnęła, swoim zwyczajem, w dłonie. Miała je wolne, bo Jasiulka dała do potrzymania mnie.

—

Siostro, co też siostra mówi, złociutka?! Całe nasze Zalipie tylko czekało na siostrę...

—

Co?! – przeraziłam się – wszyscy chorzy?

—

Skądże znowu – pochyliła się w moją stronę i zaszeptała poufale: – Siostra przecie wie. Hajduk mój brat. Hajduki akurat srebrne wesele sprawiają. Wszystkie zalipiaki przyjdą na ten ich jubel, bo my wszyscy na Zalipiu krewni, jak nie tak, to siak. No i mówi wczoraj do mnie Hajduczka, znaczy się moja bratowa: „Bę-

dziesz jutro, Julka, w ośrodku, zobacz, czy siostry Anny jeszcze nie ma. A może już wróciła. To poproś ją pięknie, godnie, żeby do nas na rodzinne święto przyszła. Chcieliby my ją ugościć”. Tak
160

powiedziała i tak ja powtarzam rychtyk, słowo w słowo. Przyjdzie siostra? Jutro, o szóstej wieczorem... No nie?

Jak, mogłam odmówić, skoro chcieli mieć koniecznie pretekst do wyrażenia mi swoich uczuć?

A w gruncie rzeczy Zalipie świętowało fakt ujęcia nieuchwytnego dotychczas mordercy. Wszystkim jak gdyby kamień spadł z serca, chociaż szczerze ubolewano nad tragicznym losem Jarmilowej. Mnie też było jej żal, mimo że czasami denerwowała. Była po prostu odpychająca z tą swoją natrętną otwartością, bezwstydnym obnażaniem konfliktów tak osobistych i sekretnych.

Przyjęcie na Zalipiu huczne było i sute. Z Hajdukowej pierw-szorządna gospodyni. Niczego gościom nie brakowało: ani pysz-nego krupnioku własnego wyrobu, ani apetycznej galarety z nóżek ze śnieżnobiałym, aromatycznym chrzanem albo octem, gdy kto wołał, ani kiełbasy – również domowej

z kiszoną kapustą, umie-jętnie uduszoną z kminkiem. Były nadziewane pyzy i drób, kwa-szone ogórki z własnego ogrodu, słodkie placki i ogromny tort ze srebrną różą pośrodku i lukrowanym powinszowaniem dla jubila-tów: „Życzymy złotych godów”. Popijało się zdrowo.

Gości rozmieszczono po całym domu. W największym pokoju stał stół dla starszych, najgodniejszych, przy nim znalazłam się i ja. Panie przyszły ustrojone odświętnie, trzymały się z powścią-

gliwym fasonem, jadły po trochu, aby wszystkiego popróbować, sęczyły pomalutku wiśniówkę z małych kieliszków. Panowie za to nie żalowali sobie, w ruch poszły i domowe nalewki, i wino, i ulubione piwo. W innych pokojach oddzielnie bawiła się młodzież, osobno baraszkowały dzieci.

Zdziwiłam się, kiedy ujrzałam wśród gości Karola Brydę.

161

Wiedziałam, że dotychczas nie bywał u Hajduków, zajmujących w towarzyskiej hierarchii Zalipia pozycję szczytową. Widocznie jego, tak jak i mnie, objęto amnestią, a może chciano dać nam odczuć zadośćuczynienie za moralne krzywdy. Ucieszyło mnie to.

Dużo mówiło się przy stole o Jarmilach. Dowiedziałam się ca-

łego mnóstwa szczegółów o tej sprawie, więcej chyba, niż opowiedziałby mi Zdebniak. U Zdebniaków zresztą jeszcze nie by-

łam. Jakoś nie mogłam im darować czy zapomnieć, że w ciężkiej dla mnie sytuacji zostawili mnie własnemu losowi. Tak mi się przynajmniej zdawało. A więc o Jarmilach każdy coś wiedział.

Jeden od kolegi z kopalni, którego brat był kierowcą w milicji, drugi od żony, pracującej w prokuraturze, inny jeszcze od kuzyna, mającego znajomości w radzie narodowej. Kobiety poznosiły swoje wieści, zbierane w sklepowych kolejkach, w pralni, u krawcowej, u fryzjera.

Niektóre wiadomości wymagały jeszcze sprostowań.

—

Mleczarka Jarmilową znalazła nad ranem.

—

Nie mleczarka, tylko ta Kunda z trzeciego piętra, co w roz-lewni mleka robi. Do roboty właśnie szła. Wrzasku na całą ulicę narobiła.

—

I to było w tym samym miejscu w wykopie, co tamta, ta bibliotekarka?

—

Niezupełnie. Na schodach przy zejściu do piwnicy. Ale już zimny trup był z Jarmilowej. Mówią, że zgon nastąpił zaraz po północy...

—

No, to tam o tej porze ludzie się jeszcze na całego wiercą po schodach.

—

No właśnie. Przez to się Jarmil zdradził.

—

Jak to?

—

Bo milicja pomyślała: w innym miejscu musiał on 162

Jarmilową zabić, a potem ją na schody przeniósł. Jak zaczęli śladów szukać, tak prościutko do mieszkania Jarmilów trafili. Kabla tam kawał znaleźli, równiusieńko ucięty, że pasował do tego, co go Jarmilową na szyi miała. I ślady krwi, i Jarmila zakrwawioną koszulę. A dziecka nie było. Maryskę kazał żonie tydzień przedtem do rodziców na wieś wywieźć. Że mu niby za ciężko troje utrzymać, niech dziadkowie wnuczkę chowają...

—

Nie. On jej kazał zabrać dzieciaka sprzed oczu, bo nie je-go. I że on cudzego żywić nie będzie. Tak powiedział. Jarmilowa tak do Surdoniowej starej lamentowała...

—

Też możliwe. Ale po co ona, głupia, wracała?

—

Zapowiedział, że jak nie wróci do niego, to on pojedzie tam na wieś i chałupę z dymem puści. Z dziadkami, z nią i z bachorem razem. „Z bachorem”, tak powiedział.

—

Tylko że Jarmilową inaczej, niż tamte, zginęła. Nie miała tych ran na głowie. Udusił ją, pokiereszował i już. I narzędzia takiego, jakim tamte kobiety zabijał, w mieszkaniu u niego nie ma.

—

No więc jak jest w końcu, zabił on wszystkie sześć czy tylko żonę?

–
Pewnie, że wszystkie sześć.

–
Ale różnica jest. Tu widać zamiar miał, a na tamte szedł, jak mu popadło.

–
Niby tak.

–
Do tamtych się nie przyznaje. Tylko do tego jednego morderstwa, że żonę zabił, bo wierna mu nie była.

–
To co on, naśladowałby tylko?

–
Ano, tak mówi. Że zobaczył wtedy w wykopie, jak była zabita Czempińska, i skombinował, że tak samo swojej kobiecie zrobi. A pójdzie ta śmierć na rachunek tamtego. Wampira.

163

–
Eee, a bo to prawda...

Słuchałam tych pogwarek przy stole i, niestety, ogarniała mnie coraz większa rozterka. Z okoliczności, o których była mowa, bynajmniej nie wynikało, że mamy już spokój z wampirem. Ale oni, ci przy stole, woleli mieć taką właśnie pewność. Pomyślałam, że nie będę im psuć nastroju moimi wątpliwościami, należy im się odprężenie po czterech miesiącach nieustannego napięcia i zdenerwowania.

Znałam inne miejsce, gdzie będę mogła swobodnie o tym po-mówić. Kiedy wpadłam po obiedzie do domu, żeby się przebrać przed fetą na Zalipiu, zastałam w drzwiach karteczkę skreśloną ręką Irki Zdebniakowej. Zapraszała mnie na wieczorną herbatę.

„Przyjdź koniecznie” – brzmiało ostatnie zdanie zaproszenia.

Syta szczęścia i adoracji, wyrwałam się z gościnnego domu Hajduków po ósmej i gdzieś koło dziewiątej pukałam już do drzwi, które przez pewien czas uważałam za zamknięte dla mnie.

Rzuciłyśmy się sobie z Irką w objęcia, ale ona zaraz zmarkotniała.

—

Stasiek koniecznie chciał się z tobą widzieć, ale parę minut temu wezwali go. Nagle. Zadzwonili, że wóz po niego posyłają i żeby był gotów. Więc pognał. Jak to on – narzekała, wprowadzając mnie do pokoju.

Dziadek Mateusz oglądał w telewizji transmisję z mistrzostw łyżwiarskich i pokiwał mi tylko ręką. Rozejrzałam się zaniepokojona: a gdzie babcia? Irka wyjaśniła:

—

Małe mają różyczkę. Babcia pilnuje, żeby się nie odkrywały we śnie.

Na bliźnięta mówiło się tu „małe”, nie rozróżniając płci. Ale parka składała się z chłopca i dziewczynki, nosiła zaś imiona 164

Marian i Marianna. Ja na „małe” mówiłam czasem: Marianki, w liczbie mnogiej.

Byłyśmy więc same. Usiadłyśmy przy stole nad herbatą i gawędziłyśmy po cichu. Irka czuła potrzebę wytłumaczenia się przede mną z dziwnego zachowania jej męża wobec mnie. Mówiła:

—

Ty, Hanka, nie myśl o Staśku źle. To wcale nie jest tak, że on ni z tego, ni z owego do ciebie serce stracił.

—

Ja myślałam... – mruknęłam.

Irka nie pozwoliła mi jednak skończyć, przerwała, kładąc małą, ciepłą rękę na mojej, dużej i silnej:

—

Ja wiem, co ty myślałaś, co mogłaś myśleć. Ale ty nie wiesz wszystkiego. On ci właśnie chciał o tym wszystkim powiedzieć, bo teraz już mu wolno. Kiedy wychodził, pozwolił mnie zrobić to za niego.

—

Ależ ja rozumiem. Nie wysilaj się. Byłam podejrzana i ty-le. Jak więc mógł spotykać się ze mną prywatnie?

Irce nie wystarczyło to moje przekonanie.

—

Kiedy właśnie nie rozumiesz. Stasiek ani przez chwilę nie wierzył, że to możesz być ty. Ale jest tam taki jeden z Warszawy, który się uparł. Po pierwsze, zawsze tak się składało, że ty znajdowałaś się gdzieś w pobliżu miejsca mordu. Po drugie, wszystkim ofiarom ginęły małe, kobiece drobiazgi. Po trzecie, ludzie zaczęli okropnie gadać i to do milicji dotarło. Jesteś wysoka, silna, ubierasz się często po męsku, jeździsz na motorze... no, jednym słowem, wszystko razem zagrało na twoją niekorzyść. Chcieli koniecznie przesłuchać ciebie. Zwłaszcza kiedy Kordaszewska złożyła zeznanie, jak ją straszylaś.

—

Przecież przesłuchiwali mnie, dwa razy.

165

—

Ale nie tak. Nie jako świadka, tylko jako podejrzaną. Z takimi pytaniami: gdzie byłaś, co robiłaś i tak dalej... Stasiek sprze-ciwił się. Dawał głowę za ciebie. Wtedy zaczęli mówić, że broni ciebie, bo jesteś naszą przyjaciółką. Przyszedł do domu i mówi do mnie: „Słuchaj, Irka. Trzeba, żeby Hanka na jakiś czas przestała do nas przychodzić. To jest teraz dla niej niedobre, że u nas bywa, bo ja nie mogę jej bronić. Ale załatw to jakoś delikatnie”. I wtedy ja byłam u ciebie, pamiętasz? Ale to wszystko, co mówiłam o Staśku, też nie była bujda. On naprawdę zrobił się ostatnio okropnie nerwowy.

—

To może też Stasiek wymyślił, żeby mnie z ośrodka na urlop posłali?

—

Pewnie tak. Bo cieszył się z tego. On twierdził, że morderca nie przestanie teraz zabijać, bo ma taką passę, jak on to nazwał.

Medycyna ma na to swoje określenia fachowe, ale ja wiem z tego tyle, że taki maniak, nienormalny człowiek, ma okresy, kiedy ulega tym swoim zbrodniczym wewnętrznym przymusom czy naka-zom. Wtedy szaleje. A potem mu to mija i jest zwyczajnym, spokojnym człowiekiem. Więc Stasiek liczył, że jeżeli podczas twojej nieobecności w Świerniku zdarzy się następny mord, ty automa-tycznie odpadniesz jako podejrzana. I miał rację. Tak się stało.

—

Musieli mnie chyba w Krynicy pilnować, czy nie bryknę chociażby na jeden dzień do Świernika – mruknęłam ironicznie.

–
Naturalnie – potwierdziła Irka. – Jakżeby inaczej mogło być? Trzeba było udowodnić twoją niewinność.

–
Taka starsza pani, malarka, mieszkała ze mną. To ona?

–
Idźże – parsknęła Irka cichutkim śmiechem. – Na pewno 166

nie. Wiem tyle, że to była ładna, młoda dziewczyna.

Aha! Kicia! Przysiadła się do mojego stolika zaraz pierwszego dnia, kiedy przyjechałam. Wyglądała na taką, która do trzech nie zliczy i tylko chłopców, ciuchy i zabawy ma w ładnej główce.

–
Ona nawet dżudo i dżiu-dżitsu zna, ta mała – pochwaliła się Irka, dumna z zawodowych kwalifikacji koleżanek Staśka.

Nie mogłam sobie odmówić malutkiego rewanżu za moje nie-dawne rozczarowanie w przyjaźni:

–
Jeżeli to ta sama, o której ja myślę, to radzę ci, Irka, trzymaj od niej Stasia z daleka... Nie wiem, jak tam u niej z dżudo, ale wiem, że z talentem do podrywania bardzo dobrze.

Roześmiałymy się, ale zaraz wróciliśmy do głównego tematu.

Opowiedziałam Irce o moich wątpliwościach, zrodzonych podczas wysłuchiwanie rewelacji na temat Jarmila. Irka westchnęła:

–
Tak, to nieprosta sprawa. Ci na Zalipiu nie wiedzą jeszcze, że pewnego dnia Jarmil nagle zaczął się przyznawać do wszystkich sześciu morderstw. No, to zaczęto go pytać, jak było w każ-

dym przypadku. A on nie bardzo wiedział, plątał się. Więc pyta go Stasiek: „Bracie, i po cóż ty bierzesz taki ciężar na swoje sumienie, dość, że jednego człowieka zabiłeś, co, jak wiesz, mamy udowodnione na sto dwa”. Jarmil mu na to: „Życ nie chcę, zrozum, władzo. Jak mnie doktory w obroty wezmą i wypiszą, zem wariat, a obrona postara się, toście mnie gotowi za jednego tylko trupa na śmierć nie skazać. Powiedzmy, dożywocie, czy jak tam w kodeksie, 25 lat mi dadzą... Ale za sześć babek to już musowo 167

wam będzie powiesić mnie. Ja żyć nie chcę”...

—

Więc z tak zwanym wampirem wcale nie koniec... – bąk-nęłam skonsternowana.

—

Na to wygląda – przyznała mi Irka rację przygnębionym głosem. – Jarmil to nie on. Nawet nasz pan Feliks tak twierdzi.

Ten tak zwany wampir nie morduje pod dachem. On to robi tylko pod gołym niebem. Żeby mieć szansę ucieczki.

Było mi Irki bardzo żal. Wyglądała mizernie. Zeszczupłała, oczy miała podkrążone i zaczerwienione powieki. Nie tylko Staś-

ka, ją także musi drogo kosztować ta wlokąca się sprawa. Wyczu-

ła moją depresję, bo dorzuciła pocieszająco:

– Ale ty już nie musisz się martwić. Nasz sąsiad, wiesz, ten inżynier, Andrzej Rot, dał ci alibi na te godziny, kiedy zginęła Janka Wąsikówna. On też był wtedy w kinie na „Angelice”.

Ciekawe – przeniknęło mi przez myśl – nic mi o tym nie wspominał.

W tym momencie zadzwonił telefon. Irka poszła do sąsiednie-go pokoju, żeby go odebrać. Aparat stał bowiem u nich w sypialni, przy łóżku. Wróciła podniecona:

—

To Stasiek. Telefonował, że nie wróci na noc. Był nowy napad na jakąś babkę...

Napad. Irka użyła właściwego słowa. Do morderstwa bowiem tym razem, na szczęście, nie doszło. Jak dowiedziałam się następnego dnia, ofiarą była kobieta przyjezdna, obca w naszym mieście.

Stale mieszkała w Szczecinie i uciekła od męża, z którym się po-kłóciła, bo ją podobno zdradzał. Do Świernika przywędrowała tak sobie, na chybił trafił. Starła się tu podobno o pracę. Zatrzymała 168

się w hotelu, zapłaciła za jedną noc, ale na następną opłatę już jej nie było stać. Wyproszono ją i poszła sobie szukać locum gdzie indziej. Nie musiała być osobą rozważną, raczej lekkomyślną i narwaną, skoro zaraz potem widziano ją w restauracji w towarzystwie znanych w Świerniku rozrabiaczy.

Przesłuchiwani, przysięgali na wszystkie świętości, że uciekła im, kiedy prowadzili ją przez park do mieszkania jednego z nich, aby tam kontynuować tak miło rozpoczętą zabawę, pod pretekstem, iż nazajutrz załatwią dla niej mieszkanie i pracę. Upór pijacki to jednak wielka siła. Jednemu z trzech

panów tak spodobała się nowo przybyła, iż postanowił mimo wszystko odnaleźć ją za wszelką cenę. Cygan dla towarzystwa dał się powiesić, więc i kumple nie odmówili pomocy. We trzech zaczęli przetrząsać park.

Wywnioskowali, że musiała skryć się wśród krzaków nad stawem, koło przystani z łódkami, gdzie obecnie, w zimie, czynna jest śli-zgawka. Nie było w parku lepszej kryjówki dla kogoś, kto zamierza niepostrzeżenie ująć pogoni.

Mieli rację. Ich nowa znajoma znajdowała się tam, dokąd skierowali swoje kroki. Leżała na śniegu ogłuszona.

Cios w głowę albo był niecelny, albo siłę jego osłabiła futrzana czapka, bo stan ofiary nie był ciężki. Obok niej na białej ścieżce czerniał, przygotowany widocznie zawczasu, kawał czarnego kabla. Nie ulegało wątpliwości, iż napastnik został spłoszony przez zbliżającą się grupę mężczyzn, zachowujących się dość hałaśliwie i nawołujących zagubioną po imieniu. To uratowało jej życie.

Wybawiciele nikogo jednak w pobliżu nie dostrzegli. Napastnik musiał być osobą poruszającą się bardzo sprawnie, zwinnie, cicho i prędko.

169

Z początku panowie mieli zamiar ulotnić się. Doszli jednak niegłupio do wniosku, że to im się nie opłaci. Kobietę znajdzie ktoś następnego dnia, a nieprzytomna może do rana zamarznąć na śmierć. Milicja dowie się, że bawiła się w ich towarzystwie i razem z nimi opuściła lokal. Na miejscu, gdzie leżała, znajdowało się już całe mnóstwo śladów ich pobytu. Więc i tak ich znajdą, a jak znajdą – oskarżą, że to oni pobili towarzyszkę zabawy. Byli zainteresowani w tym, aby żyła. Aby mogła stwierdzić, że im uciekła i że żaden z nich nie napadł na nią nad stawem. Dwaj zostali przy nieprzytomnej, trzeci pobiegł po radiowóz.

Kobietę przewieziono do szpitala, założono jej opatrunek i umieszczono w izolatce pod czujną opieką zmieniających się co jakiś czas wywiadowców. Chodziło już teraz o to, ażeby niedoszły morderca nie mógł dostać się do swojej ofiary. W obawie, aby go nie rozpoznała, mógł bowiem próbować po raz drugi pozbawić ją życia.

Większość tych informacji zawdzięczałam, oczywiście, kole-

żankom ze szpitala powiatowego. One też opowiadały na okresowej odprawie, która wypadła nam akurat teraz, jak doprowadzono do szpitala trzech budrysów, gdy tylko pacjentka odzyskała przytomność. Pytano ją, czy to nie któryś z nich. Odpowiedziała przecząco.

–

A co ona w ogóle mówi? – interesowałam się. – Czy umie opisać napastnika?

Chętnie dzieliły się bądź co bądź nie lada sensacją:

–

Nie jest wysoki. Zgrabny, w swetrze, ciemnym golfie. To dziwne: w zimie, bez płaszcza, prawda? Włosy błyszcząły mu przy księżycu, tak ona mówi. Ale czy ciemne ma włosy, czy jasne, ona nie wie. A oczy piękne podobno. Jasne. I w ogóle, ona mówi, 170

że taki przyjemny, ładny, młody człowiek. Że jak podszedł do niej z boku, to nawet nie krzyknęła, bo kto by się spodziewał. I poruszał się tak, jak gdyby tańczył...

Relacja ta, z trzecich wprawdzie ust, ale chyba dość wiarogodna, dała mi sporo do myślenia. Postanowiłam sobie jednak, że zanim się do tego problemu zabiorę, muszę załatwić ostatecznie i definitywnie moje własne sprawy. Żeby już nie było żadnych

„ale”. Żeby raz nareszcie miała spokój.

Wieczorem wstąpiłam do Zdebniaków i udało mi się zastać Staśka. Tym razem już nie dłużył w zapalniczkach, reperował

mechaniczne zabawki Jarka. Znamienny postęp, kolejny etap zajęć domowych, świadczący o wybitnej poprawie sytuacji w sprawach służbowych.

—

Słuchaj. Stasiak – zaatakowałam go wprost – ja mam dość pokątnych, za moimi plecami rozgrywanych bojów o moją nieszczęsną, niemądrą głowę. Ja zgłaszam się oficjalnie, żeby mnie oficjalnie przedstawiono tej uratowanej pani, żeby ta pani oficjalnie stwierdziła, czy nie rozpoznaje czasem we mnie niejakiego wampira.

—

Oficjalnie nie mogę ci odmówić – warknął Zdebniak – ale prywatnie ci powiem: nie zawracaj ty nam głowy. Histeryczka, widzieliście ją.

Lecz ja nie ustąpiłam. W rezultacie mojego osobistego nacisku zajechałam z paradą pod szpital milicyjnym wozem. Chodziło mi właśnie o to, żeby jak najwięcej osób dowiedziało się o zamierzonej przeze mnie konfrontacji. Anna Jaroń w asyście milicji składa wizytę niedoszłej ofierze mordercy kobiet! Cóż za temat do plotek! Anna Jaroń nie zostaje rozpoznana przez ranną kobietę jako osoba, która zadała jej cios. To też się rozejdzie. O to mi właśnie chodziło.

171

Może to zresztą i był demonstracyjny „teatralny” gest, jak określił mój pomysł Stasiak – ale musiałam się przecież odegrać.

Chociażby na tym niedowiarku, oficerze śledczym z centrali warszawskiej.

Ta pani nie była miłą kobietką. Miała około dwudziestu pięciu lat. Popatrzyła na mnie oczyma, w których było więcej arogancji, niż przeblysków bogatego życia duchowego. Warknęła ze złością:

—
Za idiotkę mnie macie czy co? Mężczyzna to był, a nie ba-ba. Co mi tu jakieś gidie sprowadzacie? Długa jak tyka. On był od niej chyba o głowę niższy.

Nie miała ochoty na dalszą konwersację. Opuściłam separatkę triumfalnym, królewskim krokiem. Uzyskałam to, co mi było dla świętego spokoju niezbędne.

Na korytarzu spotkałam Wiśkę Pajdową, tę samą, która mnie zastępowała podczas urlopu w przychodni. Oczywiście, musiałam dokonać z nią obszernej wymiany zdań na temat naszego ośrodka i tego, co się w nim działo, kiedy mnie nie było. Poszłyśmy więc do pokoju sióstr, gdzie zostałam poczęstowana wspaniałą kawą.

Przegadałyśmy chyba z pół godziny. Na pożegnanie Wisia, poczciwa dusza, doskonale zorientowana w moich tarapatach, spojrzała na mnie z mieszaniną współczucia i podziwu i oznajmiła:

—
Wiesz, świetnie zrobiłaś. Nikt teraz pleść już nie będzie byle czego. I w sam raz pospieszyłaś się. Bo ona traci wzrok. Ten cios uszkodził jej poważnie nerw oczny. Może już za kilka dni nie będzie nic widziała. I nie ma na to rady, zmiany nieodwracalne.

Znoszą jej tu w popłochu na kilogramy całe fury zdjęć różnych facetów. Tysiące fotografii różnych mężczyzn z naszego miasta.

Nie rozpoznała dotychczas żadnego z nich. Tylko nie mów nikomu, że ja ci to powiedziałam. To tajemnica.

172

Pomyślałam: a może naumyślnie rozpuszcza się takie plotki, żeby zapewnić bezpieczeństwo tej kobiecie, jedynej dotychczas, która uszła z życiem. Jedynej, która spotkała się z mordercą kobiet twarzą w twarz i wie, jak on wygląda...

Teraz, gdy miałam własną próbę już za sobą, postanowiłam spełnić mój poprzedni zamiar. Musiałam koniecznie zobaczyć się z Ryśkiem Jaskólskim. Ocalona mówiła: „taneczny krok”...

Pod wieczór, kiedy jechałam na Zalipie, wstąpiłam do baraku hotelu robotniczego, w którym Rysiek mieszkał. Było mi po drodze.

Niestety, Ryśka nie zastałam. Koledzy jego, jak zwykle, nie byli zbyt skłonni do wynurzeń, lecz ja nalegałam.

Dowiedziałam się w końcu, że Rysiek jest w szpitala, już od dwóch tygodni. Uradowałam się. Po pierwsze – leczy się. Po drugie – ma alibi. Więc jednak ten okropny chłopak postanowił za-cząć życie od nowa. Im więcej o nim myślałam, tym mniej wspominałam jego butę – i tym więcej chwilę, gdy zadał mi najprostsze, sentymentalne pytanie: czy Mariola go kochała.

Rozdział 9

Czy Rysiek istotnie rozpoczął nowe życie, przekonać się mogłam dopiero na wiosnę.

Minęły przeszło dwa miesiące od lutowej tragedii w rodzinie Jarmilów i nocy, w czasie której mordercy kobiet nie udało się zaliczyć na swoim koncie jeszcze jednej ofiary. Jarmil przebywał

nadal w więzieniu, badali go lekarze psychiatrzy i niebawem miał

się odbyć jego proces. Akt oskarżenia obejmował jedną tylko zbrodnię. Zabójstwo żony z premedytacją.

Przyjezdna kobieta znikła. Milicja nie udzielała na jej temat żadnych informacji. Personel szpitalny twierdził, iż pewnego dnia przyjechał po nią miły, skromny i dostatnio ubrany mężczyzna w starszym wieku: jedni mówili, że ojciec, inni – że mąż. Kiedy kobieta dowiedziała się, kto ma ją zabrać, najpierw wpadła w gniew. Potem zaczęła płakać. Kiedy jednak szedł z nią przez szpitalne podwórze, prowadząc ją troskliwie pod ramię, była już zupełnie cicha i zrezygnowana. Kroki stawiała z namysłem, ostroż-

nie, rękę trzymała przed sobą wyciągniętą. Tak zachowują się niewidomi, którzy nie są ślepi od urodzenia. Któryś z pracowników naszej huty, przebywając służbowo na Wybrzeżu, widział ją później na skwerku w Szczecinie. Wyglądała bardzo przyzwoicie i była elegancko ubrana. Siedziała nieruchomo na ławce, a obok niej bawiła się pięcioletnia dziewczynka. Dziewczynka przynosiła 174 jej kamyki, zbierane na ścieżce, i szczebiotała: „Popatrz, mamu-siu, jakie ładne”, ale kobieta kiwała tylko głową i uśmiechała się ze smutkiem.

Jechałam na Zalipie, skracając sobie drogę ścieżką przez łąki, rozciągające się za hotelem robotniczym. Było piękne, majowe popołudnie. Wtem ktoś mnie zawołał po imieniu. Zatrzymałam motocykl i rozejrzałam się.

Na małym pagórku siedział Rysiek Jaskólski. Najwidoczniej opalał się, bo zdjął koszulę, a oczy przesłonił ciemnymi okularami. W długich, szczupłych palcach trzymał zielone źdźbło trawy i nadgryzał je ostrymi, białymi zębami. Swoją drogą to bezczelność ze strony tego smarkacza: wołać mnie po imieniu. Podeszłam jednak. Postawiłam motor koło wzgórek, wybiwszy podpórkę czubkiem buta, i usiadłam obok Ryśka. Miałam ochotę porozmawiać z nim.

Rozciągnął się bezceremonialnie i patrzył w niebo. Milczał.

Czemu więc mnie wołał? Musiałam jakoś zagaic rozmowę.

—

Widzę, że pan zmądrzał – odezwałam się dobrodusznym tonem. – Słyszałam, że leczy się pan.

Usiadł i popatrzył na mnie z wyrzutem.

–
Niech pani nie udaje idiotki – mruknął.

Wiedziałam, jak należy przyjmować dowody jego wątpliwej galanterii, więc nie przyszło mi nawet do głowy, żeby się obrazić.

–
Czemuż to? – zapytałam nadal jowialnie.

–
Bywają ludzie jak elektroluks – drwił ze mnie dalej – każ-

dy śmieć z człowieka wyciągną, choćby nie wiem w jakim kącie utkwił. Tacy uczeni spowiednicy. Księża z powołania, niektórzy 175

lekarze. Podstępny naród. I pani też jest taka. Ale nie dla każdego higiena jest zdrowa. Bywa, że lepiej komuś na śmietniku.

–
To pan o sobie? – sarknęłam. – Cóż takiego ja panu zrobi-

łam złego? O nic pana nie pytałam. Sam pan wszystkie brudy z siebie wypluwał. Nie lżej panu od tego?

–
Lżej... – prychnął pogardliwie.

–
Chciałam pana o dwie sprawy zapytać.

–
No? – zachęcił mnie w niezbyt wytworny sposób.

–
Pamiętam z mojej rozmowy z Mariolą takie zdanie: „Ja już niejedną babkę ukróciłem”. Co to znaczyło?

Milczał. Nalegałam:

– Czy to była tylko taka przechwałka, żeby Mariolę postraszyc i zmusić do zachowania milczenia?

Czy prawda!

Odwrócił się plecami do słońca. Twarz przytulił do miękkiej, jasnozielonej trawy. Padło tylko jedno słowo, wypowiedziane twardo i beznamiętnie, jak gdyby cała sprawa w ogóle go nie dotyczyła:

–
Bujda.

Lubił kłamać, sam tak mówił. Czy teraz był ze mną szczery?

Trudno mi było połapać się. Poza tym nie znoszę, gdy ktoś rozmawia ze mną, zasłaniając oczy ciemnymi okularami. Przeszłam ostro do następnej kwestii:

–
Czego właściwie chciał pan od Marioli, kiedy pan jej zaproponował to wieczorne spotkanie w „Cristalu”? Podobno wy-myślił pan wtedy jakiś sposób na wasze kłopoty. Jaki to miał być sposób?

–
Moja sprawa.

–
O nie, kochany. Mylisz się. Dla nikogo nie może być obojętne, jak układają się prywatne stosunki między innymi ludźmi.

176

Jak ludzie swoje osobiste sprawy między sobą regulują. W gromadzie żyjemy. Wszyscy w jakiś tam sposób nawzajem od siebie zależemy. I dlatego nie może być sobiechciejstwa. Ładnie byśmy wyglądali... dzika horda. Po to wymyśliliśmy moralne zasady i prawo. Żeby nie wolno było każdemu robić z innym człowiekiem, co mu się podoba.

–
Lulaj, siostró – mruknął z ustami wtulonymi w trawę.

Wiedziałam, że w gwarze pewnych środowisk, o które Rysiek z pewnością otarł się w swojej włóczędździe, słowo to oznacza wiele różnych czynności, ale między innymi także: odczep się. Znałam grupkę chłopaków, kręcących się koło ośrodka, byłam z nimi w przyjaźni. Od nich nauczyłam się nieco tak zwanej grypsarki, któ-

ra już od dawna przestała być szyfrem więziennym, stała się żargonem niektórych grup młodzieżowych, a ostatnio zaczęła przesą-

czać się do potocznej mowy, jaką posługuje się ogół młodzieży.

Bez namysłu odparowałam:

—

Nie sprzedawaj kitu.

Przekonał się, że nie popuszczę, że w sprawie Marioli będę nieubłagana. Odwrócił się do mnie przodem, usiadł i przyglądając się spode łba czubkom swoich sandałów, wyjaśnił:

—

Napisałem do jednego pegeeru, który znam. Pod Koło-brzegiem. Występowaliśmy z zespołem w tych stronach. Tam jest bardzo fajny dyrektor. Napisałem, żeby mi dał u siebie robotę.

Chciałem zabrać Mariolkę, pobralibyśmy się. A w Kołobrzegu mogłaby się leczyć. Jest w nim taka przychodnia. Lekarka w niej pracuje, też fajna babka. Ona mi wtedy powiedziała, co mi jest i żebym się koniecznie leczył. Ale ja jej nie usłuchałem...

Przez chwilę milczeliśmy. Dookoła było cicho, tylko w górze, w błękitnym niebie podzwaniał skowronek, i z daleka, jak szum 177

odległego morza, dobiegał gwar miasta. Zapatrzyłam się na stadko białych gołębi, krążących strzępiastym wianuszkim po niebie, gdy nagle dobiegło mnie bolesne stęknięcie. Spojrzałam na Ryśka.

W jednej sekundzie twarz jego odmieniła się. Zrobiła się blada i zniekształcona skurczem. Zdarł okulary z oczu i rzucił je w trawę.

Uderzył w zgięte kolano zbielałą zaciśniętą pięścią.

—

Psiakrew – powiedział – psiakrew. Dlaczego? Dlaczego mi pani wtedy to powiedziała?

—

Co?

—

No... to, że Mariola mnie kochała. Nie można. Nie wolno takich rzeczy mówić nikomu, kiedy jest już... po wszystkim. Na-wrócić mnie pani chciała na drogę cnoty czy jak? Ładnie to brzmi:

„uleczyła go miłość”... Tfu. Pieprzenie kotka. Ze mnie nic już nie będzie. Nic się ze .mnie nie da zrobić. Ja jestem człowiek przepadły, rozumiesz, sestro? Ale ja się tym teraz męczę. To siedzi we

mnie jak ostry nóż. I co sobie przypominę, to tak, jakby się ten nóż obracał w środku. Śni mi się czasami Mariolka, że ją pieszczę, obejmuję. Jak wtedy, w namiocie. Ale potem patrzę. To nie ona.

Nie Mariolka, ale moja matka... Więc odpycham ją, ale ona czepia się mnie i puścić nie chce. Podnoszę na nią rękę... i zawsze się wtedy budzę, a koledzy pytają: „I czego ty tak drzesz się przez sen, spać ludziom nie dajesz”...

Urwał, a ja wtrąciłam łagodnie:

–

Wiesz, Rysiek, pogadam z moim Kosmą. On jest od maluchów, ale mądry facet. Zapisze ci coś na uspokojenie, żebyś się chociaż wyspać mógł bez tych strachów.

Zaczął się śmiać, ale nie wesoło, tylko histerycznie i ponuro: 178

–

Oj, siostró, nie wytrzymam. Widzieliście, znalazła na mnie lekarstwo. Co ja jestem, nerwowa cipcia? Spazmów nie miewam.

A na moje zmory ja znam tylko jedno lekarstwo...

–

Jakie?

–

Ja go muszę dostać. Tego mordercę. Muszę go załatwić.

–

Ty? – zawołałam. – Milicja siedem miesięcy go szuka.

Czego już oni nie robią! Uczeni im pomagają... Jaki aparat mają do tego, jaką technikę! A ty, sam jeden, co mógłbyś zrobić?

Skrzywił się, miał to chyba być wyrozumiały uśmiech.

–

Szukają nie tam, gdzie trzeba. Niech mnie przestaną deptać po piętach, będą mieli jednego tajniaka więcej do szukania, kogo należy.

–

A ty wiesz, gdzie trzeba szukać?

–
Wiem.

–
Czy nie lepiej by było... czy nie byłoby to pewniejsze, gdybyś powiedział milicji, co wiesz? Albo, jeżeli nie chcesz z milicją zadawać się, powiedz mnie. Ja im przekażę.

–
Ale! – zaperzył się. – Sam go muszę dorwać. I dorwę. Co mi z tego przyjdzie, że milicja będzie go miała. A potem pieścić się z nim będą ze dwa lata i do kicia poślą, bo się okaże, że on ma tylko nierówno pod sufitem... Ja sobie dla niego co innego umyśli-

łem. I zrobię to, niech mnie piorun zatrzaśnie, zrobię! I dlatego, siostrzyco miła, ja się lecę. Zdechłak ze mnie nie może być, jeże-li mam dać mu rady. Na to trzeba siły...

Odjechałam na Zalipie z ciężkim sercem. W co on się pcha, ten narwaniec? Przewidywałam tragedię, i nie pomyliłam się.

179

Pamięć zbiorowa jest jak pamięć pojedynczego człowieka: skwapliwie oczyszcza się od koszmarów. Dlatego ludzie stawiają nowe domy na gruzach starych miast, niepomni przeżytych w tym miejscu tragedii. Od lutego „wampir” nie dał znać o sobie. Jesienną i zimową trwogę zmyła fala nowych zdarzeń, bieżących spraw, wielkich i małych, radosnych i smutnych. Pamiętały już tylko rodziny zmarłych tragicznie kobiet. Czuwał nadal sztab milicji.

Ale wśród ogółu mieszkańców Świernika w zapomnienie poszły nakazy zachowania ostrożności, usnęły lęki i podejrzenia. Znow można było widzieć o zmroku czy o świcie kobiety samotnie zdą-

żające ku przystankom, aby na czas stawić się do pracy, aby jak najszybciej z zakupami zjawić się w domu, gdzie czekały na nie rodziny. Kto tam ma czas wypatrywać, czy nie trafi się jakiś, wzbudzający zaufanie, współtowarzysz drogi?

Toteż Jula Kordaszewska na nikogo nie miała zamiaru czekać, gdy pewnego dnia o świcie wracała od siostry ze wsi. Poprzedniego dnia siostra urządziła świniobicie. Juli dostała się w podziale piękna ćwiartka sporego prosięcia, rzecz nie do pogardzenia w rodzinie tak licznej, jak Kordaszewscy. Wieś położona była za lasem, przylegającym jednym bokiem do Zalipia. Wzdłuż skraju tego lasu biegła szosa. Mogła Jula poczekać na poranny autobus, dojechać nim do centrum miasta i tam przesiąść się do tramwaju, żeby dotrzeć do domu. Jej było jednak spiesзно. Męża trzeba wyprawić do pracy, dzieci do szkoły, kurom jeść dać, pranie zamo-czyć. Wyruszyła więc od siostry pieszo, gdy tylko zaczęło dzień, i skróciła sobie drogę, idąc na przełaj przez las.

Tam też ją znaleziono.

A nie opodal leżał trup Ryśka Jaskólskiego.

180

Kordaszewska żyła. Zabrano ją natychmiast do szpitala, ale stan był bardzo ciężki. Doznała głębokiego szoku. Straciła pamięć i nie poznawała nikogo, nawet najbliższych. Nie wiedziała, kim jest, skąd się wzięła, co się z nią stało. Nie straciła wzroku, jak nieznajoma przyjezdna kobieta, ale była jak ślepa. Żaden obraz, chwytany przez jej oczy, nie odbijał się w jej mózgu. Z niczym się w nim nie kojarzył. Po prostu nic nie znaczył. Nie zmarła – ale i żywą nie można było jej nazwać. Leniwymi, ospałymi ruchami wykonywała w domu najprostsze czynności, ale nie rozumiała, co robi. Godzinami przesiadywała bez ruchu, martwym wzrokiem zapatrzona w dal.

Rysiek prawdopodobnie stoczył z napastnikiem ostrą, zaciętą walkę. Ziemia naokoło zryta i skopana, a także liczne ślady krwi, nie tylko Ryśka, świadczyły, iż zapasy były bezlitosne i że nie tylko Jaskólski odniósł w nich rany. Chłopak uległ lepiej uzbrojono-nemu przeciwnikowi. Nie pomógł Ryśkowi sprężynowy nóż, któ-

ry musiał wypaść mu z ręki i leżał obok, na leśnej ściółce. Zgady-wano na próżno, jakiego narzędzia użył morderca, zadając Jaskólskiemu dziesięć głębokich ran, ciętych i kłutych. Zdania były rozmaite, sprzeczne; każda odpowiedź zostawiała szeroki margi-nes niepewności i zastrzeżeń.

Próbowano zrekonstruować przebieg wydarzeń, które rozegra-

ły się w lesie o świcie. Musiało być tak, że Rysiek śledził człowieka, który wysiadł z autobusu i wyruszył w las. Zadawał sobie zapewne pytanie: czego może szukać w lesie o tak wczesnej porze ten człowiek? Widocznie nie był to ktoś, czyj widok w lesie nie wzbudza niczych wątpliwości. Człowiek ten szedł, może skradał

się. Rysiek w pewnej odległości podążał jego śladem. W jakimś momencie człowiek spotkał się z Julą, idącą z naprzeciwka. Może 181

zatrzymał ją i przez chwilę z nią rozmawiał, zanim zadał jej pierwszy cios. Może zaatakował ją od razu, wyskakując z nienacka zza drzewa lub krzaków. Wtedy Rysiek, obserwujący tego człowieka z oddali, ruszył Juli na pomoc. Napastnik porzucił swoją ofiarę. Musiał się bronić. Dlaczego nie dokończył swojego dzieła, gdy pokonał już Ryśka? Dlaczego nie dobił Kordaszewskiej?

Trudno byłoby na to pytanie odpowiedzieć. Może myślał, że ona już nie żyje? Może stoczona z Ryśkiem walka wyczerpała jego siły, rozładowała napięcie, które popychało go stale ku zbrodni i towarzyszyło mu, gdy rzucał się na spotkane w bezludnym miejscu kobiety? Może krwawił i musiał szybko opatrzyć swoje rany?

Przetrząśnięto wszystkie apteki, skontrolowano szpital i przy-chodnie, przesłuchano wszystkich pracowników służby zdrowia w Świerniku. Tego rana nie zgłosił się w żadnym sanitarnym punk-cie, u żadnego lekarza człowiek, wymagający opatrzenia mu skaleczeń. Przetrząśnięto wieś za lasem. Również bezskutecznie.

Zastanawiałam się, czy postąpiłam słusznie, nie wspominając Zdebniakowi o mojej rozmowie z Ryśkiem. Prawdopodobnie powinnam była to zrobić, dla samej zasady. W praktyce nic by to jednak nie dało. Rysiek, wezwany na milicję, nie powiedziałby ani słowa. Gdy już raz powziął swój zamiar wymierzenia osobiście sprawiedliwości mordercy Marioli, nie istniała na świecie siła, która zdolna byłaby odwieść go od tego zamiaru. Zresztą pozwoli-

łam się zasugerować Ryśkowi: mówił, że jest pod obserwacją milicji. Skoro tak, to nie powinno było przydarzyć się mu nic złe-go. Okazało się jednak, iż owa asysta milicji była wytworem jego fantazji. Od dłuższego już czasu zrezygnowano z „deptania” mu 182

po piętach, jak to określał. Nie było widocznie istotnych danych, aby go podejrzewać.

Kiedy Rysiek twierdził, że wie, kto jest „wampirem”, myśla-

łam: znów buja. Ale tym razem – jak się okazało – mówił prawdę.

Nie potrafiłam żałować Ryśka tak, jak żałowałam Brydowej, Marioli, pani Róży, Jasi, a nawet Heńki, jak bolałam nad losem Juli Kordaszewskiej i nieznanym kobiecie ze Szczecina. Nie dlatego, że był arogancki, że wyrządził Marioli krzywdę. Bynajmniej.

Ale istniała jakaś logika w jego tragicznym zgonie. Miał na pewno rację, gdy mówił, że jest człowiekiem „przepadłym”. Czy mógłby jeszcze kiedykolwiek w życiu być szczęśliwy, takim sobie zwyczajnym szczęściem, jakie najczęściej staje się udziałem większo-

ści zwykłych ludzi? Na pewno nie. Ze swoim głębokim, nieuleczalnym urazem do matki, urazem w stosunku do kobiet w ogóle, charakterem ostrym, porywczym, kanciastym, bezustannie walczący z głęboko skrytą słabością, pokrywający swe lęki niepożądanym chojractwem – niewątpliwie zagrażałby otoczeniu.

Nienawidzący kobiet i gardzący kobietami – zginął w obronie kobiety. Niemłodej, brzydkiej, wielodzietnej, zaborczej, rozplotkowanej, jednej z takich, jakich nie znośli i bał się najbardziej.

Rozdział 10

Po mieście kłębiła się mgła, jak gęsta para. Kołysząc się na wietrze, pływały w niej światła latarni, podobne do ryb, fosforyzujących w głębi morza. Ludzie poruszali się wolno, prawie po omacku. Donośnie dzwoniły tramwaje, głośno trąbiły autobusy, zmniejszając szybkość jazdy do minimum. Tak to bywa u nas w Świerniku w ostatnie październikowe dni. Mikroklimat – mówią specjaliści od tych spraw.

—

Anno – powiedział do mnie tego dnia rano inżynier Andrzej Rot, odwożąc mnie syrenką pod sam ośrodek – czy pamię-

tasz o naszej rocznicy?

—
Pamiętam, kochany. Obiecałam, że upiekę tłustą gęś. Ale przecież dopiero za tydzień przypada jubileusz naszego sławetnego pierwszego obiadu w „Smakoszu”.

—
Widzisz, rzecz w tym, że na kilka dni wysyłają mnie do Szczecina. Mamy zamówienie na specjalny rodzaj stali dla stoczni. Będziemy robić tam różne próby, to potrwa około dwóch tygodni. Nie zdążę wrócić na naszą rocznicę.

—
To smutno – powiedziałam. – Więc odłożymy obchód.

—
A może go przyspieszymy? – zaproponował. – Gdybyś się zgodziła, zjedlibyśmy jutro taki sam uroczysty obiad, w tym samym „Smakoszu”. Zamówiłbym ten sam stół. A zamówić 184 trzeba, bo jutro niedziela, może być duży tłok.

—
Świetny pomysł! Po południu ma być gotowa moja nowa garsonka, będę miała się w czym pokazać. Ale jeszcze do fryzjera będę musiała skoczyć. Żebym tylko zdążyła...

—

Szkoda, że mam zebranie o czwartej, zapowiada się na kilka godzin, bo przyjechałbym po ciebie.

–

Taka mgła. Wieczorem będzie makabra. Jedź lepiej wprost do domu. Ja wrócę tramwajem...

Tak rozstaliśmy się. Ja wbiegłam do mojej przychodni, dopin-gowana docierającymi z korytarza aż na schody odgłosami płaczu zagrypiionych osesków – Andrzej pognął do swojej huty.

Oczywiście, ja nigdy nie mogę zdążyć ze wszystkim na czas.

Po dyżurze, wyjątkowo długotrwałym, nie jedząc obiadu, obsko-czyłam moich pacjentów w domowych pieleszach. Potem, pędząc jak koń wyścigowy i roztrącając po drodze ludzi, wpadłam do biblioteki, żeby wymienić na niedzielę książki: dla mnie i dla Andrzeja. Z pralni odebrałam jego garnitur, o co bardzo mnie prosił, bo zebranie do szóstej na pewno się nie skończy. Wreszcie wylą-

dowałam u krawcowej, gdzie dowiedziałam się, że moja garsonka jest właśnie „na wykończeniu”. Tylko guziki przyszyć. Usiadłam i czekałam, przeglądając najnowsze żurnale mody. Niewiele znam się na krawiectwie, ale moim zdaniem można byłoby całą moją kreację poobszywać guzikami wszere i wzdłuż w tym czasie, któ-

ry spędziłam na czekaniu w salonie pani Grażyny. Wściekła, co kilka minut zerkałam na zegarek. „Skończy się na tym – Myślałam

– że zostanę na niedzielę nie uczesana. A mnie jest bardzo nie do twarzy, kiedy mam rozczochrany łeb. Nie mogę przecież 185

przynieść wstydu panu inżynierowi”.

Spocona, mimo chłodnego powietrza, od szybkiego biegu i dźwigania pakunków, wdarłam się wreszcie do pana Feliksa –

przemocą, bo jedna z panienek-uczennic właśnie przekręcała klucz w drzwiach wejściowych.

– Już nikogo dziś nie czesemy – zapiszczało pannisko skrzekliwym dyszkantem.

Faktycznie, salon fryzjerski pustoszał z minuty na minutę.

Klientki opuszczały foteliki, przeglądały się kokieteryjnie w lustrach – od przodu, z boku i od tyłu, niewiele już nawet gryma-sząc, ubierały się pośpiesznie i znikwały za szklanymi drzwiami, żegnane przez kłaniających się uprzejmie panów – Bronisława, Zdzisława i mojego Feliksa. Wiadomo – sobota. Na każdą z nas czekają domowe obowiązki – albo ktoś, z kim się pójdzie do kina.

Albo do cukierni. Albo z wizytą.

Pan Zdzisław zdjął już biały fartuch i „w cywilu” sprawdzał li-stę zakupów, które poleciła zrobić mu tego dnia małżonka. Po sklepach biegła oczywiście jedna z uczennic, ale zanieść do do-mu ciężką

torbę musi już pan Zdzisław sam, osobiście i własno-ręcznie. W zakładzie bez litości pogania podległy mu personel kobiecy – ale w domu pokorniej – wiadomo w całym Świerniku, że nie ma drugiego takiego pantoflarza. Pan Bronisław liczył kasę, zerkając raz po raz ku drzwiom. Wiedziałam – czeka na narzeczoną. Miła dziewczyna, jedna z ekspedientek u Broni Wiśniewskiej.

Bardzo wymagająca. Pan Bronisław musi wyglądać jak manekin z witryny salonu mody – inaczej nigdzie z nim nie pójdzie.

Tylko mój pan Feliks miotał się jeszcze przy fryzurze jakiejś klientki. Uczesanie przypominało weselny tort u Hajduków, tylko srebrnej róży pośrodku brakowało i lukrowanego napisu. Nie 186 mogłam się nadziwić, że pan Feliks skonstruował takie szkara-dzieństwo. Ma przecież dobry gust.

–

Panie Feliksie! – złożyłam błagalnie ręce. – Litości dla kobiety, która ma jutro galowy obiad!

Łypnął na mnie złym okiem.

–

A litość dla mnie gdzie? Tyle godzin na nogach, że ledwo żyję. No, trudno. Siostra Anna wie, że mam do niej słabość. Ola, umyj pani głowę!

Ola o mało nie wydarła mi połowy czupryny. Nadaśana, burknęła niezbyt uprzejmie, oblewając mnie prawie lodowatym strumieniem wody:

–

Ale już nie zostanę. Do kina idę na ósmą.

– A idź, idź – mruknął pan Feliks. – Ja już sobie sam poradzę. No i widzi pani – perorował, kiedy za Olą zamknęły się z trzaskiem drzwi – jak to dziś jest z personelem. Nikomu robić się nie chce. Kiedy ja uczyłem się fachu, po pracy jeszcze dzieci pani pryncypałowej musiałem niańczyć. A pryncypał z małżonką udawał się do kina.

Zostaliśmy z panem Feliksem we dwoje, sami w zakładzie.

Zamontowane na przeciwległych ścianach lustra odbijały wielo-krotnie nasze postacie. Moją – siedzącą, i pana Feliksa – krążące-go dookoła mnie.

–

Czy mogę być szczerą, panie Feliksie? – zagadnęłam go, gdy cisza w zakładzie, tak zwykle rojnym i gwarnym, wydała mi się drażniąco nienaturalna.

–

Ależ oczywiście! – zakrzyknął entuzjastycznie.

–

To uczesanie, które pan wykańczał przed chwilą... bardzo było efektowne, ale nie podobało mi się.

–

Koszmarne! – potwierdził skwapliwie. – Ale co robić, siostrzyczko droga, kiedy ona koniecznie takie właśnie chciała mieć.

187

Przepraszam, że tak powiem, ale na babskie fochy i fupy nie ma lekarstwa. A ta, z tą kopą siana na głowie, wyjątkowo wredna grymaśnica.

–

Nadokuczają panu te babki przez cały dzień – powiedziałam współczująco.

–

Co robić – westchnął. – Trzeba się było przyzwyczaić.

Po męczącym dniu miałam ochotę na banalną, nie wymagającą fatygi pogawędkę, zauważyłam więc, nie siląc się na oryginalność:

–

Jak do każdej pracy, razem z tym, co w niej przyjemne i co niedogodne. Czy myśli pan, że ja tak od razu przywykłam do mojego zajęcia?

Pan Feliks obejrzał krytycznie stado wałków, w które uzbroił

już moją głowę. Coś mu się nie spodobało w tej konstrukcji. Rozwinął dwa wałki na samym czubku głowy i nadał im inny kierunek. Te manewry nie przeszkadzały mu jednak w podtrzymywaniu ze mną ożywionej konwersacji. Uśmiechnął się przymilnie:

–

Słyszałem o nowym sukcesie siostry. Kierowniczką kursu, ho, ho! Winszuję.

Było mi miło, że i pan Feliks o tym słyszał. W dzielnicy Stawy otwarto nowy szpital, bo nasz dawny, choć spory i dobrze wyposażony, przestał już wystarczać na potrzeby rozrastającego się miasta. Szczególnie ważny był nowy, duży oddział pediatryczny.

Brakowało tam pielęgniarek. Nasze władze zdecydowały, że do-szkolimy w tej specjalności we własnym zakresie część pracują-

cego już pielęgniarskiego personelu. Mnie powierzono zorganizowanie i poprowadzenie tego kursu. Rozpoczął się za dwa dni i miałam potężną treść, choć wyróżnienie mile polechtało moją zawodową ambicję. Podzieliłam się tą satysfakcją i obawami z 188

panem Feliksem. Andrzej nie bardzo miał czas na wysłuchiwanie moich histerycznych obiekcji. Mówił, że bym nie zawracała głowy jemu i sobie, bo na pewno dam radę. Za to pan Feliks słuchał życzliwie i uważnie. Nawet uzalił się nade mną:

–

Ależ to kawał drogi! I takie nieprzyjemne miejsce, pustkowie, prawie za miastem.

–

Chodziło o świeże powietrze dla pacjentów – pouczyłam go fachowo. – Ale pan ma rację, że droga daleka i niemiła.

Zwłaszcza że wykłady będą się odbywać wieczorami. Pierwszy pojutrze o szóstej.

–

Niech pani uważa... – ostrzegł z niepokojem.

Ale ja dzielnie nadrabiałam miną.

–

Na co mam uważać? Na wampira może? Już tyle czasu siedzi cicho. Mam nadzieję, że zwiął, gdzie pieprz rośnie. Za ciasno już się tu koło niego chyba zrobiło...

–

Tak pani sądzi? – mruknął zakładając mi siatkę i spinając ją z tyłu szpilką.

–

A pan jest innego zdania? – zapytałam wyzywająco.

–

A cóż ja mogę o tym wiedzieć, sestro? – fuknął prawie opryskliwie. – Mnie tam on się nie zwierzał. Przypuszczam jednak, biorąc rzecz na zdrowy rozsądek, że gdyby zwiął, zrobiłby głupio. Zwróciłby na siebie uwagę. Pani może o tym nie wie, lecz ja przypadkowo dowiedziałem się, że milicja

prowadzi bardzo ścisłą ewidencję wszystkich opuszczających nasze miasto.

—

Ale jest faktem – upierałam się przy swoim – że od kilku miesięcy w Świerniku mamy spokój. Nikogo nie zabił... Dlaczego? Musi istnieć jakiś powód.

—

Może mu się odechciało – zazartował pan Feliks i uruchomił suszarkę.

189

Szerokim gestem ramienia zaprosił mnie pod aparat. Wsunę-

łam się z trudem pod hełm. Jestem wysoka i dla mnie trzeba zawsze specjalnie go podwyższać. Zawsze robi to Ola, panu Feliksowi nie chciałam już o tym przypominać. Niech nie weźmie i mnie za grymaśnicę. Ale on sam o tym pamiętał. Przekręcił śrubkę. Odzyskałam swobodę ruchów głowy. Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością i sięgnęłam po „Panoramę”.

Niewiele jednak z tego, co czytałam, docierało do mojej świadomości. Myśli moje przeważnie unosiły się nad restauracyjnym stolikiem, stolikiem z małą chryzantemą w glinianym dzba-nuszku, przy którym zasiądę jutro z Andrzejem. Ileż się zmieniło w moim życiu przez ten rok... Doświadczylam ludzkiej wrogości i przyjaźni. Poznałam przy okazji ludzi lepiej i głębiej niż przez kilkanaście poprzednich lat, spędzonych w Świerniku. Wraz z całym miastem przeżywałam tragiczne morderstwa naszych kobiet. Ale przede wszystkim – jeśli idzie o mnie osobiście – nie jestem już samotna.

Krótką wymiana zdań z Feliksem poruszyła całe pokłady wspomnień.

Te kobiety... Rok temu, o tej samej mniej więcej porze, była tu wraz ze mną Mariolka. Była Julia Kordaszewska. Mariolki nie ma.

Kordaszewska nigdy już chyba nie pójdzie do fryzjera, bo za próg domu nie wychodzi.

Rok temu... Ależ to dziś właśnie jest ten dzień. Ta sama data.

Rok temu na Zalipiu, wśród takiej samej, jak dziś, mgły, natknęłam się na zwłoki Michaliny Brydowej.

Czy na to wspomnienie zrobiło mi się gorąco, czy po prostu aparat zbyt się rozgrzał, nie wiem, ale poczułam nagle, że płonę. Zawołałam kapryśnie:

190

—

Panie Feliksie! Strasznie grzeje!

Podbiegł usłużnie. Przekręcił gałkę. Pochylając się ku mnie powiedział:

–

Proszę, tu ma pani regulator.

Poprawiałam właśnie jeden z wałków, który zaczął się wysuwać spod siatki, gdy coś otarło się o moją uniesioną ku górze dłoń.

Wzdrygnęłam się. Coś gładkiego i twardego w tym samym czasie prześliznęło się po nagiej skórze szyi. Coś takiego już mi się kiedyś zdarzyło – pomyślałam – a może podobnie, tylko trochę inaczej. Zerknęłam. Przez moje ramię zwisał kabel z gałką regulatora na końcu. Tak, aby mi było wygodnie. Aby miałam go w zasięgu ręki, gdy dla odmiany zrobi mi się pod aparatem za zimno. Kabel!

Czarny kabel.

Koniec takiego samego czarnego kabla przesunął mi się po go-

łej skórze dłoni, gdy z wykopu wynoszono ciało pani Róży Czempińskiej. Reszta kabla ukryta była pod prześcieradłem, ale ja wiedziałam, czemu posłużyła ta reszta. Ciasnym węzłem obejmowała niemłodą już, dość pomarszczoną szyję naszej sympatycznej bi-bliotekarki.

Kabel, kabel, kabel, kabel – dzwoniło mi w uszach, jak gdyby ktoś szyfrem nadawał alarm.

Podniosłam głowę znad barwnych stron pisma. Obiegnęłam szybko oczyma cały lokal. Dlaczego nigdy dotychczas tego nie dostrzegłam? Kable, mój Boże, ile tu kabli, czarnych kabli. Przy suszarkach, przy jakichś jeszcze aparatach, których przeznaczenia nie znałam, przy elektrycznych maszynkach do podgalania szyi!

Właśnie w tej chwili pan Feliks włączył jedną z takich golarek, zapewne będzie chciał podgolić mi na szyi drobne włoski, które psują mu linię mojej fryzury. Powolnym, miękkim ruchem pan 191

Feliks przesuwając palce wzdłuż całego kabla, jak gdyby go głaskał.

Albo sprawdzał jego moc i giętkość. I oto słyszę tuż nad uchem jego głos:

–

Już wystarczy. Proszę panią na fotel.

Idę na uginających się pode mną nogach. Siadam. Pan Feliks zmienia wilgotny nieco ręcznik na kolorową pelerynkę. Robi to wszystko z niewysłowionym wdziękiem. Z gracją. Bierze szczotkę, rozczesuje mi włosy, jak gdyby je pieścił. Ta czynność sprawia mu widocznie niemałą przyjemność. Przechylając głowę w bok, raz w lewo, raz w prawo, z satysfakcją przygląda się swojemu dziełu.

A ja miotam się wzrokiem dookoła, siedząc w fotelu sztywno jak kukła, nieruchomo, z włosami uwiecznionymi w ładnych, kształtnych palcach pana Feliksa. Silne są te palce. Czuję to, gdy stanowczym ruchem dłoni każe teraz mnie z kolei pochylić głowę.

Czego szukają moje błakające się po fryzjerskim salonie oczy?

Jeżeli drogi ucieczki, to zdaje się, że jej nie ma. Drzwi wejściowe zamknęła na klucz Ola. Pan Feliks powiedział, że wyjdziemy tylnymi drzwiami, przez podwórze. Ale czy zdążyłabym do nich dotrzeć, gdyby Feliks chciał mnie zatrzymać?

—
Pani tak zbladła – zwraca się do mnie pan Feliks tonem czułym, wyrażającym głęboką troskliwość. – Czy źle się pani czuje? A może tylko zmęczona?

Przed chwilą był za mną z tyłu na lewo. Teraz już jest na prawo. Jak szybko, jak zręcznie on to robi. Prawdziwie artystyczne piruety. Mógłby... występować w balecie. Okrąża mnie jak w tań-

cu. Płynnym, zgrabnym ruchem. Taneczny krok. To kobieta ze Szczecina mówiła o tanecznym kroku swojego prześladowcy. A ten cień człowieka, który czaił się pod murem naszego bloku, gdy 192

wracałam z mojej pierwszej randki z Andrzejem? Cień, który tak mnie przestraszył i którego spłoszyły światła syrenki? Ruch, jaki wtedy ów cień wykonał, wydał mi się znajomy. Nie mogłam go tylko z nikim skojarzyć. A czy to nie jest ten sam sprężysty i jednocześnie płynny uskok, unik, jaki robi zawsze pan Feliks, cofając się od fotelika, by z oddalenia lepiej ocenić rezultaty swojej pracy?

Właściwie jaki on jest, ten Feliks? Nigdy mi nie przyszło do głowy przyglądać mu się. Która z nas przygląda się swojemu fry-zjerowi? Na siebie patrzymy w lustrze, czy nam ładnie. Patrę więc w lustro, lecz już nie na siebie, bo mi w tej chwili wszystko jedno, jakie mam uczesanie, tylko na pana Feliksa. Spojrzenia nasze spotykają się w posłusznym uczynnym szkle. Przystojny chłopak z tego Feliksa, chociaż wzrost ma niezbyt wysoki. Rysy twarzy prawidłowe, lekko falujące włosy koloru dojrzałego kasztana efektownie błyszczą w świetle jarzeniówek, tylko ładne usta układają mi się chwilami w nieprzyjemny grymas. A oczy? Oczy pan Feliks ma śliczne, chociaż trochę dziwne. Ocienione długimi rzęsami, jak u dziewczyny, i bardzo, bardzo jasne. Niebieskie w odcieniu zblakłego, jesiennego nieba. Miała rację kobieta ze Szczecina. Zanim jej oczy przestały widzieć, umiały dobrze patrzeć.

O panu Bronisławie wiem sporo, o Zdzisławie dużo, nawet o dziewczętach, myjących tu włosy i uczących się zawodu, mogę opowiedzieć niejedną historię. O panu Feliksie nie wiem nic. Prawie nic, bo tyle tylko, że mieszka samotnie. Czy rzeczywiście nie ma kobiet w jego życiu, które wśród kobiet upływa?

Zdaję sobie sprawę, że moje oczy w lustrze wyrażają skrajne przerażenie. Pana Feliksa to krępuje. Odrywa swój wzrok od 193

mojego i skromnie go spuszcza ku dołowi, by sprawdzić, czy fala nad uszami ma prawidłową linię.

Na jego twarzy dostrzegam uśmiech, który mi się nie podoba. W dawnym romansie napisało-by się: zagadkowy. Ja jednak powiedziałabym: jest to uśmiech złośliwy, ironiczny, uśmiech człowieka, czującego swoją wyż-

szość i przewagę.

Kompleks zależności od kobiet – czy nie może się przerodzić w chęć panowania nad nimi? A czyż nie panuje się najbardziej nad człowiekiem wtedy, gdy ma się w ręku jego życie? Zwycięstwo jest ostateczne wówczas, kiedy śmierć uniemożliwia już przeciwnikowi wszelką próbę rewanzu.

Mózg mój pracuje jak oszalały, przypomina fakty, wysnuwa wnioski, stawia hipotezy. Jedna myśl goni drugą. Jestem już nie sobą, lecz maszyną do myślenia, błyskawicznie działającym kom-puterem, który wymknął się spod kontroli programującego. Nie mogę się od tego powstrzymać. Pustka, którą stanowi dla mnie życie prywatne pana Feliksa, prowokuje do wypełnienia jej tre-

ścią. Szukam modelu. Kogo skrywa jego biały kitel skuteczniej, niż czyniłby to rycerski pancerz?

Karola Brydę – podrywacza, upokorzonego w swej męskiej ambicji tą rolą? Ryśka Jaskólskiego – z jego kompleksem i zapiekłą nienawiścią do „babeł”, od których młodzi, niedoświadczeni chłopcy zarażają się wstydliwą chorobą? Wojciecha Jarmila –

półimpotent, sadystę, trawionego obłądną manią zazdrości? Andrzeja Rota, mojego Andrzeja – odepchniętego już w chwili urodzenia przez świat kobiet i dręczonego obsesyjnym lękiem przed tym światem, który poskąpił mu miłości? A może mnie samą, 194

nienawidzącą małostkowej wegetacji, do której tak skłonna jest nasza płeć?

A może nie jednego człowieka ukrywa w sobie pan Feliks – do diabła, nie znam nawet jego nazwiska! – ale łączy w sobie osobowości wszystkich tych, których wymieniłam? Albo tkwi w nim przynajmniej jakiś element ich kompleksów, obsesji, udręk i pretensji, tych usprawiedliwionych i tych bezpodstawnych, wyduma-nych? Może innych jeszcze ludzi w sobie nosi, obolałych i rozją-

trzonych, których nawet nie znam, których istnienia nie mogę nawet podejrzewać? Poznałam kilku zaledwie. Poznałam tak ma-

ło. A ileż jeszcze może być różnorodnych przyczyn, rodzących nienawiść do kobiet tak gwałtowną i ślepa, że domagającą się wręcz ich zagłady?

Pan Feliks rozgniewał się. Na moje włosy. Niespodziewanie, jednym nagłym ruchem zębatej, plastikowej szczotki zburzył całe swoje dzieło, tak bliskie klasycznej doskonałości. Podparł ręką podbródek i zamyślił się.

Gdzieś głęboko w środku, może w okolicy serca narodził się we mnie ostry, drobny, dokuczliwy dreszcz – nie do opanowania.

Czułam, iż rozprzestrzenia się on po całym ciele. Już mam go w ustach, ząb przestaje trafiać na ząb. Lada moment zaczną szczekać tymi zębami, zaczną mi się trząść policzki i on to dostrzeże. Moc-niej

objęłam dłońmi poręczę fotelika.

Pan Feliks znów dotyka mojej głowy, obraca ją palcami w lewo, w prawo: tak robi zawsze, kiedy komponuje nowe uczesanie.

Ja poddaję się tym zabiegom bezwolnie. Gdybym powiedziała, że czuję się sparaliżowana, byłoby to jeszcze nie to. Jest to bowiem rodzaj fascynacji albo hipnozy. I zarazem obezwładniającego strachu,
195

jaki ogarnia nas, gdy mamy do czynienia z czymś dla nas niepojętym.

Ale fakty, za którymi dopiero, jak za zamkniętymi wrotami, rozciągają się nie znane mi obszary, są jednoznaczne i proste.

Łatwe do uchwycenia. Oto ktoś, kto może przebywać w mieście czy jego okolicach w dowolnych godzinach. Może pracować na zmianie przedpołudniowej lub poobiedniej. Może któregoś dnia w ogóle nie przyjść do pracy, wszystko zależy, jak ułoży się z kolegami. Oto ktoś, kto i pracuje, i mieszka w śródmieściu, w samym sercu Świernika – bo pan Feliks, jak kiedyś mimochodem wspomniał, ma pokój w tym samym domu co zakład. Stąd może swobodnie robić wypadki różnymi trasami, w różne końce miasta, a trasy te zawsze skrzyżują się w centrum. I oto wreszcie ktoś, komu niezbyt potrzebna jest pomoc lekarska przy mniejszych skaleczeniach. Ileż tu środków dezynfekcyjnych i materiałów, mogących stanowić opatrunek. Przypominam sobie nagle, że wtedy gdy o mały włos nie zginęła Kordaszewska i zamordowany został Rysiek, w zakładzie odbywał się remont i cały personel był na urlopie. Pan Feliks, zapytany potem przeze mnie, jak go spędził, wyznał skromnie, że był u rodziny na wsi, niedaleko, żeby móc wpadać do miasta i kontrolować przebieg remontu. Jeżeli nawet został

ranny podczas walki z Ryśkiem, łatwo mu było to ukryć. Mógł

powiedzieć krewnym, że skaleczył się przy porządkowaniu lokalu.

A wieś – czy to nie ta właśnie, z której wracała od siostry Jula?

Mogła już tam spotykać Feliksa i nie zdziwiło jej, że idzie on rano przez las. I jak to Jula, oczywiście zatrzymała się, żeby z panem Feliksem porozmawiać.

No i ta jego powierzchowność, ładna wprawdzie, lecz przeciętna, 196

a przez to jakby niedostrzegalna. Niedostrzegalny – czy może być uchwytny? Raczej nieuchwytny. Nieuchwytny – tak myślałam o nim często.

– Tak będzie dobrze – słyszę jego głos, trochę głuchy, jak gdyby dobiegający do mnie spośród mgły.
– Ale pani nic nie mó-

wi. Dlaczego? Nie cieszy się pani, że jutro będzie pani tak ładnie wyglądała na galowym obiedzie?

„On nie wie” – myślę. On nie wie, że go odkryłam. To dobrze, ale czy ja wytrzymam? A jeżeli nie wytrzymam, to jak ucieknę?

Nie znam nawet dobrze tego drugiego wyjścia, o którym mówił.

Grzmotnąć czymś ciężkim w szybę? Zanim to zrobię, on chwyci w rękę jedno z tych ostrych narzędzi, których tu pełno. Oto ostre, długie nożyczki. Oto brzytwa, lśniąca na szklanej półeczce łukowato wygiętym, srebrnym ostrzem. Oto...

Pan Feliks sięga po maszynkę do golenia. Zaraz dotknie nią mojej szyi. Zaraz poczuję na skórze śliski i twardy zarazem dotyk giętkiego kabla. Czarnego kabla.

Krzyczę. A może wydaje mi się tylko, że krzyczę. W istocie moje usta pozostają tylko otwarte, jak do okrzyku. Krzyczą za to moje oczy. Sama to w lustrze widzę. Mnie samą przeraża ich obłądny, ogłupiały strach.

Zrywam się z fotela, lecz natychmiast opadam z powrotem na miękkie zielone siedzenie. Zmuszają mnie do tego ręce mężczyzny. Silne, o stalowym uchwycie, o palcach wyprężonych jak szpony drapieżnego ptaka, atakującego zdobycz.

Tak, jestem bezbronna.

– Co pani robi? Co się pani stało? Byłbym panią niechcący skaleczył – mówi do mnie pan Feliks. W jego głosie brzmi naga-na. I pretensja. I pobłażliwość. Jest mną rozczarowany.

197

Przypominam teraz tobół, ciśnięty niedbale na fotel. Obserwuję widok w lustrze i zaczynam siebie za to niechlujstwo nienawidzić.

Chyba przegrałam. Wiem o tym. Muszę skapitulować, ale mo-

że jeszcze warto zagrać na zwłokę? Skupiam się, biorę się w garść i trajkoczę przekornie, udając nadąsaną:

–

Czy musi mi pan koniecznie golić te włosy na szyi? Ostatnio miałam podrażnienie skóry po goleniu. Wolałabym...

–

Jak pani sobie życzy.

Odłożył na bok maszynkę, ręce skrzyżował na piersiach, oparł

się plecami o szafkę, w której chowa się chemikalia. Przygląda mi się z zaciekawieniem. Mam

wrażenie, że bawi się ze mną jak kot z myszką.

Zastanawiam się: może to histeria z mojej strony? Gdy plotkowało się o panu Feliksie, padały określenia: układny, przemiły, nadskakujący, esteta, ciepła klucha... Dodatkowo opinie i ujemne, lecz żadna z nich nie nadawała się na ramkę do portretu „wampira”, mordercy kobiet. A przecież trzeba mieć diabelski spryt, żeby pozostać nieuchwytnym, będąc przez rok ściganym przez milicję.

Na przykład teraz. Czule i łagodnie brzmi jego głos, gdy przemawia do mnie, cedząc słowa z rozleniwieniem, jak gdyby był

bardzo zmęczony albo chciało mu się spać:

—

Pierwszy raz widzę panią rozkapryszoną... Zawsze taka dzielna, opanowana... moja siostra Anna grymasi jak pierwsza z brzegu paniutka... Co się stało?

Odpowiadam ze ściśniętym wciąż jeszcze gardłem:

—

Zdenerwowałam się. Sama nie wiem czym. Może to ta pogoda, ta mgła tak na mnie działa.

Pan Feliks porzuca swoją nonszalancką pozę i zbliża się do mnie, a ja znów drętwieję. Delikatnie muska czubkami palców

moje włosy, potem opuszcza ręce i oto widzę je w lustrze zbliżające się od przodu ku mojej szyi.

Przymykam oczy. Nie mogę, nie chcę tego widzieć.

Zaraz dowiem się, jak się umiera. Jak one umierały.

Czuję lekki ucisk. Więc to już?

Ale nie dzieje się nic strasznego, nic, co bolesne i co zapowiadałoby okrutne cierpienie. Odwrotnie. Odczuwam ulgę. Otwieram oczy. Pan Feliks rozplatał zbyt ciasno związany supełek kolorowej pelerynki i teraz zdejmuje mi ją z ramion. Patrzy mi w oczy w lustrze i uśmiecha się rozbrajająco. Jego ręce czuję jeszcze na ramionach, trzyma mnie jeszcze w uścisku, pieszczotliwym, lecz stanowczym. Zdejmuje ręce z moich barków, z mojego karku powoli, jakby z ociąganiem. On mnie po prostu głaszcze. To jest tak zniewalające, że truchleję i po chwili dopiero zdobywam się na desperacką reakcję. Energicznie potrząsam głową i zrywam się z fotelika.

Stoimy teraz naprzeciwko siebie. Pan Feliks z politowaniem kiwa głową:

—

Czy nie można poruszać się trochę mniej gwałtownie? Ze-psuje pani całe moje dzieło, a nie chwaląc

się, udała mi się dziś pani fryzura.

—

Tak, tak – bąkam zmieszana i posłusznie przeglądam się w lustrze. Nie mogę siebie poznać: czy to naprawdę ja? Czy uczesanie może aż tak zmienić wygląd?

Pan Feliks porządkuje stolik przed lustrem i mówi dobrodusznie:

—

Jest pani bardzo interesująca i sama pani o tym nawet nie wie. Już dawno chciałem to pani powiedzieć, ale nie przy ludziach. Przy ludziach to brzmiałoby jak zdawkowy, zawodowy komplement. A to jest żywa prawda.

Czuję się zażenowana, uśmiecham się niemądrze, zaskoczona 199

tym hołdem, a pan Feliks nagle zmienia ton. Padają słowa gwał-

townej, gorącej prośby:

—

Pani Anno. Chciałbym, żeby pani mnie wysłuchała. Ja muszę pani coś powiedzieć. Coś bardzo dla mnie ważnego.

Chodźmy teraz gdzieś na kawę. Zapraszam panią. Do kawiarni albo, jeżeli to dla pani niedogodne, niech pani wstąpi do mnie. Ja tu mieszkam, w tym samym domu, na pierwszym piętrze. Słowo daję, że nie będę pani uwodzić, zanadto panią szanuję... ale wolał-

bym być z panią sam na sam. Pani źle się czuje, kawa zaraz postawi panią na nogi. Umiem świetnie parzyć kawę. Wie pani, stary kawaler musi znać się na gospodarstwie. Błagam! – złożył ręce jak do modlitwy.

Oślupiałam. Tego mi jeszcze tylko brakowało! Pół życia strawiłam samotnie, a teraz jeden adorator po drugim.

Jak się go pozbyć bezboleśnie – tak żeby się nie obraził? Nie chciałam go urazić. Kobieta nie powinna zadzierać nie tylko z wampirem, ale i z człowiekiem, który dba o jej urodę – pomyślałam z wisielczym humorem.

Odpowiedziałam z serdecznością, na jaką tylko było mnie stać:

—

Widzę, że pan troszczy się nie tylko o moją głowę, ale tak-

że o dobre samopoczucie. To miło z pana strony. Dziękuję.

Ogromnie mi jednak przykro... Muszę panu odmówić.

Jego twarz wykrzywił nieprzyjemny, drwiący grymas. Rzucił

gorzko:

–

Rozumiem. Nie chce się pani afiszować...

–

Ależ nie! – przerwałam mu gwałtownie, wyciągając w jego kierunku rękę. – Nie! Nie tak. Nie zrozumieliśmy się. A raczej, pan mnie nie rozumiał. Po prostu... panie Feliksie, ktoś na mnie czeka.

200

–

Szkoda – skwitował ostro. Cierpkim tonem dorzucił: – Pan inżynier czeka na panią... tam? – ruchem głowy wskazał ulicę i skwerek za witryną zakładu.

–

Tak – potwierdziłam skwapliwie, chociaż wcale nie byłam pewna, czy Andrzej rzeczywiście czeka na mnie ze swoją syrenką.

– Widzi pan, ile mam pakunków. Nie zabrałabym się z tym wszystkim tramwajem.

Nie kapitulował. Nagle zmienił ton, perswadował gorąco, chaotycznie.

–

Jeżeli nie dziś, to może innym razem? Wiem, pan inżynier... Ale przecież to nie znaczy, że ma pani zerwać z całym światem. Że nie może pani pójść na kawę ze znajomym. Nie chcę pani narzucać się, nadskakiwać. To nie to... Potrzebna mi pani dobroć, życzliwa rada. A zresztą, gdybym nawet prosił panią o coś więcej, co do tego panu inżynierowi? Wiem, że tylko my dwoje możemy się zrozumieć. Więc kiedy, Anno?

–

Ani dziś, ani innym razem, panie Feliksie. Niezależnie od pana intencji. Nie chcę i nie będę stwarzać dwuznacznych sytuacji. Muszę być lojalna wobec mojego partnera.

Spojrzał na mnie spode łba, zniżył głos prawie do szeptu.

—
Czy to znaczy, że na przykład rok temu poszłaby pani ze mną na kawę? Mogłem liczyć chociażby na przyjaźń?

Nie chciałam go rozdrażniać. Wciąż pamiętałam o tym, że chcę stąd ujść cało. Dopiero dużo później dowiedziałam się, że zadzia-

łałam odwrotnie: dołałam oliwy do ognia. Odrzekłam ciepło:

—
Myślę, że tak.

To stwierdzenie z mojej strony było oczywiście absolutnie bez-podstawne. Nie zastanowiłam się ani przez moment, jak 201

zareagowałabym rok temu, gdyby pan Feliks zaproponował mi randkę. Ale teraz każdy wybieg, każde kłamstwo było dobre, by-leby tylko mnie wypuścił z pułapki.

Wyraźnie rozgniewał się. Pryśła jego uprzedzająca uprzejmość.

Nie pomógł mi przy wkładaniu płaszcza. Prawie niegrzecznym gestem wskazał zapasowe drzwi i mrukną szorstko:

— Tędy proszę wyjść. Prosto małym korytarzykiem, potem w lewo na podwórze. Z podwórza do bramy i na ulicę już chyba pani trafi...

Grzeczność nakazywałaby mu odprowadzić mnie do wyjścia, którego nie znałam. Nie zrobił tego. Nie dosłyszałam też, co odpowiedział na moje „do widzenia”, któremu z powodzeniem nada-

łam ton naturalny i swobodny. Po omacku prawie szłam przez ciemny korytarzyk rozkazując sobie w duchu: „Nie biegnij. Nie biegnij. Idź normalnym krokiem, ani za wolnym, ani za szybkim.

Tylko nie biegnij. Nie pokazuj po sobie paniki. Niech mu się nie zdaje, że wpadłaś w popłoch. Nie biegnij!” – ale za to, kiedy owionął mnie chłód podwórza i poczułam na twarzy wilgotną mgłę, kiedy w wylocie bramy zamigotały żółte krążki ulicznych latarni, pognałam jak szalona. Ulica! Ludzie! Myślałam, że nigdy już ich nie zobaczę. Gotowa byłam każdemu z przechodniów rzucać się w objęcia. Poczułam się bezpieczna.

Na skwerku, na ławce tuż naprzeciwko okien zakładu fryzjerskiego, gruchała przytulona parka. Zdziwiłam się: panna Ola, któ-

ra tak przeciwna była mojej wizycie u pana Feliksa, gdyż miała iść do kina ze swoim chłopakiem, zrezygnowała najwidoczniej z roz-rywki kulturalnej na rzecz czulej rozmowy sam na sam z lubym.

Rozglądałam się za taksówką. Nie będę przecież wlec tych wszystkich pakunków: od przystanku tramwajowego do domu spory kawał drogi. Tak to sobie tłumaczyłam. Istotnym bowiem powodem tej zamierzonej rozrzutności było zupełnie co innego.

Po prostu miałam stracha. I to potężnego.

W tym momencie nadjechał Andrzej. Jeszcze nie zdążył zahamować, gdy ja już szarpałam za klamkę syrenki. Z rozmachem wrzuciłam wszystkie pakunki na tylne siedzenie, z rozpędem wskoczyłam na miejsce obok kierowcy, z impetem zatrzęsłam drzwiczki wozu.

Spojrzał na mnie zdumiony i zawołał:

—

Anno! Co ci jest? Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczyła!

Łaskotało mnie w gardle, miałam wrażenie, że połknęłam kłęb mgły, ciężącej nad miastem. Dusiałam się. Była to niewątpliwie reakcja po chwilach napięcia i grozy, jakie przeżyłam. Spróbowa-

łam opanować się, ale nie bardzo mi się udało. Chciałam się roze-

śmiać, lecz dźwięk, który wydarł mi się z piersi, chyba podobniejszy był do szlochu. Ni to śmiejąc się, ni to płacząc wykrztusiłam:

—

Jedźmy! Błagam cię, jedźmy prędzej. Jak najprędzej. Do domu...

Włączył gaz i mruknął:

—

Dobrze ci mówić. Prędko nie można. Zobacz, co się dzieje na jezdni. Ale co się stało? Dlaczego mnie tak poganiaasz?

Ciągle jeszcze czułam dławiący ucisk w gardle. Musiało to brzmieć dość histerycznie, gdy załkałam załamującym się głosem:

—

Oświadczył mi się wampir!

Dziwię się, że Andrzej nie wybuchnął w tym melodramatycznym momencie gromkim śmiechem. Ale on twierdzi, że opuszcza 203

go poczucie humoru, gdy w grę wchodzi moje bezpieczeństwo.

—
Kto? – warknął przez zaciśnięte zęby, wymijając zręcznie wlokącą się przed nami w żółtym tempie ciężarówkę.

—
Pan Feliks, mój fryzjer.

—
Kpisz ze mnie, czy jesteś chora i bredzisz? Może masz gorączkę?

—
Ani bredzę, ani kpię. Boję się. Po prostu. Zresztą może nie mam racji. Może dostałam zwyczajnego bzika...

Zaczęłam już przemawiać normalnie, ale rzeczywiście czułam się tak, jak gdybym miała gorączkę. Paskudne uczucie: taki drobny, dokuczliwy dreszcz w całym ciele.

—
Wiesz co – odezwał się stanowczym tonem, jakim karci się niesforne dziecko – opowiesz mi to wszystko w domu. Teraz muszę uważać. Tak powinno wyglądać piekło automobilisty.

W piekle, które proponował Andrzej automobilistom, działy się rzeczywiście różne przykre i dziwne rzeczy. Widzialność nie sięgała chyba dwóch metrów. Samochody myliły kierunek i wjeź-

dzwały na chodnik. Jak duchy wyłaniały się nagle tuż przed maską wozu ludzkie postacie, rozpaczliwie wymachujące ramionami.

Andrzej nie był skłonny do wysłuchiwanie babskich bredni; twarz miał zaciętą i ponurą, brwi zmarszczone nad oczami, w których dojrzałam znane mi już od dawna bryłki lodu. Ostatnio ich nie widywałam. Stopniały. Dziś pojawiły się znowu. Nie miał dla mnie czasu: walczył z żywiołem.

A ja walczyłam z moimi wątpliwościami. Czy Andrzej nie uzna, że wyglupiam się? Jakże właściwie mam podstawy, żeby

oskarżyć pana Feliksa o mordowanie kobiet? Ma lekki, taneczny krok. Ale Rysiek też chodził, jakby miał sprężyny w nogach. Mo-

że jednak Rysiek był wampirem i nigdy nie dowiemy się, jak było z nim naprawdę? Może zabijał, mając zakłóconą świadomość.

Jakiś przypadek sprawił, że oprzytomniał, zanim zamordował

Kordaszewską. Zdał sobie sprawę z tego, co robił, i sam się zabił

w szale i rozpaczy. Ale jeżeli nie, jeżeli to nie Rysiek, dlaczego ma być mordercą właśnie Feliks? Kable, fatalne kable. I cóż z tego? W kawalerce Andrzeja też taki kabel widziałam przy ma-szyńce elektrycznej o zwiększonej sile grzania. Bryda ma do czynienia z takimi samymi kablami.

Jasne oczy, błyszczące włosy, miły wygląd... Ależ tak akurat prezentuje się narzeczony mojej nieodżałowanej Jasi Wąsikówny.

Różne pory napadów. Też mi argument! Ile to razy widywałam na mieście o różnych porach i mojego Andrzeja, i Franka Kucznię, adoratora Brydowej z lat młodości, któremu dała kosza, gdy poznała Karola Brydę. Franek mógł z zemsty zabić Michalinę.

Obiecywała mu, że wróci do niego po rozwodzie z Karolem. Zawiodła go, po raz drugi wystawiła do wiatru. Mógł Kuczma przenieść swoją zemstę po zabiciu Michaliny i na inne kobiety. Na wszystkie kobiety, które są zdradliwe i pełne fałszu – jego zdaniem, oczywiście. Różnie mogło być. Więc dlaczego uparłam się, że to poczciwy pan Feliks? Kretynka.

A może nie taka kretynka, za jaką siebie uważam? Feliks może mieć kompleks niższości. Chwilami dostrzega się, jak bardzo za-dowolony i dumny jest z siebie. Uważa się za artystę. Może mógł-

by, może chciałby nim być, ale nie w tym zawodzie, który wykonuje.

205

Wielkie wyobrażenie o własnej wielkości, pycha, niemożność osiągnięcia wymarzonych celów, niezadowolenie ze swój ego losu, pogarda dla swojego zawodu – tak mogłyby kolejno spię-

trzać się etapy jego drogi do zbrodni. Pożąda sławy, choćby była najczarniejsza. Mówił tyle razy o inteligencji, o geniuszu nie-uchwytnego mordercy – czy nie chwalił sam siebie, chełpiąc się wyzywająco i publicznie?

Poza tym niewątpliwie może być rozgoryczony w stosunku do kobiet. Wyczułam to, gdy zareagował tak ostro na moją odmowę.

Może niejednej już proponował spotkanie, lecz żadna z tych, które mu się podobały, nie traktowała go poważnie jako mężczyzny. A jednocześnie upokarzały. Jak może człowiek, przeznaczony do wyższych celów, znosić moment, gdy piękna pani wsuwa mu do kieszeni napiwek – niby dyskretnie, a zarazem ostentacyjnie. On zaś musi przyjmować, bo taki jest zwyczaj...

Wywaliłam to wszystko Andrzejowi, gdy tylko znaleźliśmy się w moim mieszkaniu. I jeszcze dodałam:

–

Zwróć uwagę na to pragnienie rozgłosu. On jest wprost zazdrosny o swoją sławę. Myślisz, że z litości dla niewinnego dał

alibi Brydzie? Nieprawda. Właśnie z tej swojej zazdrości. On przez cały czas mówi do nas: „Ja to zrobiłem. Nikt inny, tylko ja.

Wam się zdaje, że złapaliście mordercę, ale przekonajcie się, proszę, że to nie on zabija kobiety jedną po drugiej i pozostaje nieuchwytny. To ja!”...

—

Ale alibi było prawdziwe.

—

Skąd znowu! Wymyślone. Zbudowane z tego, co słyszał

od ludzi. Wyliczył sobie, kiedy Bryda przejeżdżał przez ulicę Kraszewskiego, ale wcale go tam nie widział.

—

Jaki masz na to dowód?

—

To alibi jest niedokładne. Feliks zeznał, że Bryda postawił

206

rower koło latarni. A mnie Bryda powiedział, że oparł rower o mur domu, kiedy wchodził do cukierni. A żeby jeszcze bardziej odciążyć Brydę, zabija Mariolę. Później zabija Heńkę, kiedy Rysiek siedzi i zwalnia Ryśka od podejrzeń. To samo robi z Jarmi-lem. Jarmil podszył się pod niego, pod jego metodę. Obawiał się, że milicja uwierzy Jarmilowi, kiedy ten brał na siebie wszystkie poprzednie morderstwa. Prawdziwy morderca szybko wyjaśnia sytuację. Napada na przyjezdną ze Szczecina. Żeby Jarmil nie zgarnął jego laurów.

Andrzej wzdrygnął się jakby z zimna. Spojrzał na mnie, jak mi się wydało, z mieszaniną lęku i podziwu. Głos jego miał głucho brzmienie, kiedy odezwał się z odcieniem smutku:

—

Straszne rzeczy mówisz, Anno. Skąd ta twoja przenikli-wość w roztrząsaniu motywów i uczuć takiego potwora?

—

Cóż chcesz – wzruszyłam lekko ramionami – musiałam o tym myśleć. Często i długo. Nie mogłam nie zastanawiać się nad tą sprawą. Przecież ja go szukałam i nadal szukam. Próbuję więc wyobrazić go sobie, żeby łatwiej rozpoznać.

Przez głowę zaś przeleciało mi: Feliks powiedział, że tylko my dwoje możemy się zrozumieć. Kim więc ja jestem, jeżeli Feliks jest wampirem?

–

Czy jednak nie popełniasz jednego zasadniczego błędu, Anno...

–

Jakiego? – zaperzyłam się.

–

Bierzesz pozory za fakty.

Podniósł się z fotelika, na którym kiedyś rozpierał się arogancko Rysiek Jaskólski, spowiadając mi się ze swoich urazów. Podeszedł do okna i stanąwszy tyłem do pokoju, wpatrzony w 207

mleczną ciemność za szybą, mówił rwącym się głosem jakby do mnie i nie do mnie:

–

Skojarzenia. Poszlaki. Pozory. To bardzo zdradliwa metoda. Niebezpieczna. Ogromnie kosztowna. Jak bardzo, wiesz sama najlepiej. Przekonałaś się sama. Też mówili – kto znalazł Brydową? Anna. Kto ostatni rozmawiał z Mariolą? Anna. Kto kręci się po mieście w różnych godzinach? Anna. Komu nikt nie jest potrzebny do opatrzenia sobie samej rany? Annie. Kto opowiedział

Kordaszewskiej najdrobniejsze szczegóły zabójstwa Heńki? Anna.

Jula to po całym Świerniku rozniosła.

–

Wiem! – przerwałam mu gwałtownie. – Ubiera się po mę-

sku – Anna. Nie lubi kobiet – Anna. Jance pozazdrościła szczęścia też Anna. Odwróć się do mnie, niczego tam za szybą nie wpa-trzysz. Tak... I teraz przyznaj się. Ty sam. Ty pierwszy mnie podejrzewałeś. Może nie? Powiedz prawdę!

Zerwałam się z tapczana i podbiegłam do Andrzeja. Szarpnę-

łam go za ramię. Odwrócił się. W jego spojrzeniu nie było już chłodu. Wyrażało smutek i cierpienie. Odpowiedział:

–

Nigdy dotychczas nie było między nami o tym mowy.

Pierwszy raz mówimy o tej sprawie. I nie wiem, czy dobrze robisz, poruszając ją. Kiedy postanowiliśmy, że spędzimy razem resztę naszego życia, ostrzegałem cię, Anno, że będzie ci ze mną trudno. Że jestem dziwakiem. Ale przede wszystkim bałem się, że kiedyś zadasz mi takie właśnie pytanie. Ja zaś będę ci musiał powiedzieć prawdę, bo nie umiem kłamać. I ta prawda nas rozdzieli, jeżeli nie potrafisz mnie zrozumieć i przebaczyć mi.

—

Ależ...

—

Nie przerywaj mi, proszę. Pozwól mi skończyć. To 208

niezupełnie było tak, jak sądzisz. To nie było proste. Bronilem się przed tą myślą, odpychałem od siebie plotki, które o tobie roz-puszczano. Powtarzałem sobie po tysiąc razy: „Nie, to niemożliwe. Tak być nie może, bo ja ją kocham”. Sam nie wiem, kiedy się w tobie zakochałem. Przed tą miłością też się bronilem, gdyż nie wyobrażałem sobie, że i ty...

—

I dlatego, za przeproszeniem, łąziłeś za mną jak cień? W

Świerniku, w Krynicy...

—

Tak. Musiałem zdobyć pewność, chciałem mieć żelazne dowody na twoją obronę. I bałem się o ciebie. Za blisko byłaś tej całej sprawie, mogło ci grozić niebezpieczeństwo. No i tak... w ogóle... nie mogłem wytrzymać bez patrzenia na ciebie.

To było kapitalne! Po prostu, po sztubacku przyznawał się do tęsknoty, która gołowąsym młodzieńcom każe błąkać się pod oknami mieszkania ukochanej... Poczułam się wzruszona. Jak mogło mi kiedykolwiek przyjść do głowy, że ten mężczyzna, na-ivny i sentymentalny jak uczeń, może mieć czyjąkolwiek śmierć na sumieniu?

Objęłam go za szyję i pół żartem, pół serio mruknęłam:

—

Nie pytasz mnie wcale, czy ja nawzajem nie podejrzewa-
łam cię o to, że jesteś wampirem...

Parsknął, oburzony do głębi:

—

No wiesz! Jeszcze by też! Byłabyś ostatnią kretynką...

Tak więc nie mogę mu wyznać prawdy: nie chcę być uważana za „ostatnią kretynkę”. Nigdy mu jej nie wyznam. Pod względem stopnia zarozumialstwa mój Andrzej w niczym nie różni się od reszty mężczyzn, jakiegokolwiek by go od nich różniły kompleksy z lat dziecięcych...

209

Zgodnie wybuchnęliśmy śmiechem. Śmieliśmy się po wariac-ku, jak dzieci. Ten śmiech, z pozoru taki szczerzy i beztroski, wyzwalał nas z jakiejś nieokreślonej, nie wypowiedzianej do końca, trwożnej nieufności.

Zajęliśmy nasze poprzednie miejsca, Andrzej na foteliku, ja na tapczanie, aby wypoczęły moje biedne, spracowane bieganiną nogi. Andrzej pospiesznie powrócił do pierwotnego tematu:

—

Mam nadzieję, że nie zdradziłaś się przed panem Feliksem swoim zachowaniem?

Wstyd mi było przyznać się do hysterii, więc wyjawiałam Andrzejowi tylko część prawdy:

—

No, może trochę głupio zachowywałam się, ale pozbiera-

łam się i wytłumaczyłam mu, że moje nerwy nie znoszą tej pogo-dy. W ogóle byłam ufna jak jagniątko. Powiedziałam mu nawet o tym kursie, który mam prowadzić... Chociaż nie... To było inaczej.

On mówił o kursie i wieszował mi sukcesu, ja tylko potwierdzi-

łam. I jeszcze ostrzegał mnie, żebym uważała, wracając ze Stawów wieczorami...

—

To ładnie z jego strony – mruknął mój ukochany dość niechętnie. – I co teraz masz zamiar zrobić z całą tą sprawą?

—

Chwilowo nic – odparłam zdecydowanie. – Ktoś tu dziś mówił o złudności pozorów. Dowodów nie mam. Same przypuszczenia. Czy można na tej podstawie pakować faceta w kabałę?

—

Ale jednak... – oponował nieprzekonany. – Może powiedziałaś o tym chociaż Zdebniakowi?

Sama nie wiem czemu, zacięłam się na dobre.

–

A cóż to ja, detektyw? To prawda, że chcę wykryć tego mordercę, ale do milicji pójde tylko na pewniaka. Zresztą, gdzie 210

tam mnie, maluczkiej, szarej obywatelce do tego ich całego aparatu i techniki! Wyglupię się i tyle.

– Jak uważasz – westchnął z rezygnacją i spojrzął na zegarek. – Czy wiesz, że już północ? Połóż się i zaśnij. Chcę, żebyś jutro ładnie wyglądała.

Za Andrzejem zatrzasnęły się drzwi, a ja w tym momencie dopiero zdałam sobie w pełni sprawę z potwornego zmęczenia. Swoją drogą przyjemnie jest mieć świadomość, że ktoś martwi się o nas, dbały i o wielkie uczucie, i o zwykłe znużenie. Wiem, że tej nocy wolałby zostać przy mnie, ale zależy mu, abym wypoczęła po doznanym strachu. Dziwne to nasze małżeństwo. Już od miesiąca jesteśmy po ślubie, lecz wciąż jeszcze mieszkamy osobno.

Co robić, trudności lokalowe. W jego albo w mojej kawalerce byłoby nam obojgu za ciasno. Czekamy więc na zamianę naszych obu mieszkań na jedno większe.

Irena żartuje: „Właściwie macie wspólne mieszkanie, tyle tylko, że dwupoziomowe. Wybijcie w suficie u Anny dziurę i przy-stawcie drabinę”. A Stasiak gratuluje Andrzejowi i wzdycha z melancholią: „Ty to masz dobrze. Niby mieszkacie razem, ale nikt ci bez przerwy nad uchem nie trzeszczy, kiedy chcesz się przespać albo popracować spokojnie w domu”...

Pomyślałam o Zdebniakach i nagle uświadomiłam sobie, że nie słyszałam, jak Andrzej idzie po schodach do siebie na górę. Nie dotarł do mnie trzask zamykanych przez niego drzwi jego kawalerki. A ja zawsze pilnie nasłuchuję tych odgłosów. Mam wtedy przyjemną pewność, że Andrzej jest tuż, obok, blisko mnie. Czasami rozmawiamy jeszcze przez otwarte okna, czasem dajemy znać o sobie nawzajem, ja – stukając w sufit, on – w podłogę.

Ułożyliśmy sobie nawet szyfr: co znaczy jedno puknięcie, co 211

znaczą dwa i trzy, i cztery. Zastukałam jeden raz, pytając: „Czy jesteś?” – ale odpowiedziała mi cisza.

Wtedy uprzytomniłam sobie, że nie słyszałam również kroków Andrzeja w dół po schodach, a on lubi czasem wieczorami pospa-cerować przed snem. Gdzież więc się podział? Nie stoi chyba na podeście? Uchyliłam drzwi. Nie było za nimi nikogo. Wytluma-czenie mogło być jedno: wstąpił, wychodząc ode mnie, do Zdebniaków. Wstrętny plotkarz. Nie wytrzymał nerwowo. Naopowiada Staśkowi bzdur o Feliksie, powtórzy mu wszystkie moje brednie i ja będę potem świecić oczami, jeżeli wyjdzie z tego jakaś nieprzy-jemność. Żałowałam teraz, że zwierzyłam się Andrzejowi. Ostatecznie, czy mąż rzeczywiście musi wiedzieć o tym, że jakiś inny mężczyzna darzy sympatią jego żonę? Widać, że nie mam wprawy w małżeńskiej dyplomacji...

Następny dzień kazał mi jednak zapomnieć – i o pretensji do Andrzeja o niedyskrecję, i o Feliksie, i

w ogóle o wszelkich sprawach przykrych.

Wiatr zdmuchnął mgłę, pogoda była chłodna, lecz słoneczna, niedzielne tłumy wyległy na ulice. Dwoje ludzi zaś, nie starych jeszcze, choć już nie młodych, z których każde odbyło uciążliwą i dość długotrwałą praktykę życia w samotności – mogło być przez cały dzień ze sobą razem i uczyć się niełatwej sztuki szczęścia.

W poniedziałek rano Andrzej wyjechał do Szczecina. Ja poma-szerowałam do ośrodka.

Po południu odbyła się inauguracja kursu w nowym szpitalu na Stawach. Wszystko udało się znakomicie: i moje zagajenie, i wy-kład doktora Kosmy, i praktyczny pokaz obchodzenia się z niemowlakami.

212

Po kursie, gdy jego uczestniczki, porywając ze sobą doktora Kosmę, pognały spieszenie do swych domów, ja musiałam jeszcze przez godzinę pozostać w szpitalu. Trzeba było uzgodnić z administracją różne sprawy gospodarcze.

Gdy wyszłam przed szpital, zobaczyłam przed sobą pustą połąć przedmiejskich ugorów i mizernych łączek. O kilkanaście metrów w bok od drogi ciemniały spłaszczone już przez czas stare hałdy kopalni, która tu kiedyś istniała. Za tymi hałdami ciągnęły się sławetne resztki dawnych stawów. Pomyślałam: dobrze, że nie idę tamtędy. To tam zamordowano Heńkę i Jasię. W sporej odległości ode mnie majaczyła kępa drzew rozpoczynającego się tu miejskiego parku. Spoza nich dopiero jaśniała, podobna do blasku wschodzącego księżycy, luna świateł nad miastem. Zła byłam na miejskie władze. Skoro już zbudowano szpital na tym odludziu, należało jednocześnie przeprowadzić linię tramwajową albo uruchomić autobus. Obiecują, że to zrobią, ale kiedy? Kto widział, żeby aż taki kawał iść ze szpitala pieszo do najbliższego przystanku?

Rozejrzałam się dookoła. Byłam zupełnie sama. Trochę mnie to uspokoiło, ale zarazem nie poprawiło humoru. Mogłam jeszcze wrócić do szpitala i poprosić, żeby odwieziono mnie do centrum karetką. Mogłam też zatelefonować po taksówkę. Nie zrobiłam jednak tego. Nie będę urządzić przedstawienia. Mało to razy tłu-kłam się nocą po okolicach, w których diabeł mówi dobranoc?

Ruszyłam zwawo naprzód.

Uszłam taki kawał drogi, że ani mnie nikt by już nie dostrzegł

ze szpitalnych okien, ani nie usłyszał, gdybym wołała nie wiem jak głośno, kiedy tuż za moimi plecami rozległ się czyjś głos.

213

Tak mnie to zaskoczyło, że nie potrafiłam w pierwszej chwili skojarzyć tego głosu z jakimkolwiek mi znanym. Ale znałam ten głos. Znałam dobrze.

Kroków słyhać nie było, ale głos mówił. Tak jak gdyby nie człowiek go wydawał, lecz ciemność za

moimi plecami. Albo jak gdyby rodził się tylko w moich myślach, moich wyobrażeniach czy wspomnieniach. Słyszałam go jednak bardzo wyraźnie. Jak na mój gust, i jak na treść wypowiedzianych przezeń słów – za wyraż-

nie...

–

A jednak mi się udało, Anno. Jesteśmy sam na sam. Moja Anno. Już tylko moja i niczyja więcej, bo twoje życie należy do mnie. Nie chciałaś mnie słuchać. Teraz musisz. Nie ma rady. Powiedz mi tylko, od kiedy zrozumiałaś, że to ja?

Przegrałam, to jasne – pomyślałam. I on ma rację: nie ma dla mnie ratunku. Dziwne, ale nawet się już tak nie bałam, jak przed lustrem w zakładzie fryzjerskim, kiedy pan Feliks uwijał się koło mnie, ja zaś snułam swoje ponure domysły. Postanowiłam jednak walczyć. Spróbuję udawać głupią, niczego nieświadomą. Zagram na zwłokę. Bąknęłam, nie odwracając się:

–

Co miałam zrozumieć? O co chodzi?

–

Nie udawaj, siostró. Przecież rozumiemy się. Czy to ja raz widziałem taki strach w oczach jak twój? Tamte też miały przera-

żone oczy, gdy poznawały mnie i wiedziały, że muszą umrzeć.

Ale ciebie nigdy bym nie zabił. Ty sama wydałaś siebie na śmierć, bo się domyśliłaś. I ujawniłaś się przede mną. Żebyś chociaż przede mną ukryła ten strach... Myślę, że nie dałaś jeszcze znać o tym milicji, bo już by mnie zgarnęli. A może powiedziałaś? Przyznaj się. Bo czasami zdaje mi się, że ktoś za mną łązi.

214

–

A może powiedziałam o tym mężowi – próbowałam za-szachować.

–

Ale pan inżynier pojechał do Szczecina. Nic ci nie pomoże.

Wiedział o wszystkim. Musiał mnie chyba wytrwała i dokładnie śledzić. Ciągnął dalej spokojnym, równym tonem, jak gdyby prowadził towarzyską pogawędkę:

–
Sama rozumiesz, że muszę cię zabić. Nie bój się, to nie będzie tak, jak z tamtymi. Między nami inna sprawa. Jestem, jak widzisz, spokojny i przytomny. Zrobię wszystko z rozmysłem. Na trzeźwo. Bo ja tylko czasami jestem szalony...

–
Pan jest chory! – zawołałam ostro.

Przyśpieszyłam kroku, zaczęłam prawie biec. Złapał mnie brutalnie za ramię i zatrzymał na środku drogi. Miałam go już teraz nie za plecami, ale tuż przed sobą. Prawda: nie wyglądał na opęta-nego szaleństwem. Roześmiał się gorzko:

–
Ja, chory? Chorobę można leczyć. A mnie nie można. Tak mówi medycyna. I sam się przekonałem. Więc to nie żadna choroba. Po prostu: taki już jestem. A chce pani wiedzieć, dlaczego?

Jeszcze jeden do spowiedzi? O, nie! Nie chcę, nie będę tego słuchać! Nie mam nic do stracenia: stać mnie na protest. Wykrzykuję na cały głos:

–
Nie chcę wiedzieć! Nie jestem ciekawa! Wiem, co pan ro-bił i jak... Wystarczy. „Dlaczego”! A co to mnie obchodzi?

Wszystko mi jedno, czy jest pan impotentem, czy półimpotentem, czy erotomanem-sadystą! Czy nie kochała matka. Czy zaraziła prostytutka. Czy zdradziła żona. A może jeszcze coś innego, czego nie można sobie wyobrazić. Ileż może być powodów, żeby z 215

nienawiści zabijać kobiety! Ale nie chcę, żeby mi pan o tym mó-

wił! Bo to nieprawda, że nie można z tego się wyzwolić. Znam takich, którym się udało...

–
Stop! – syknął z wściekłością. – Dość! Teraz ja nie chcę.

Nie chcę słuchać tego pitolenia. Obejdę się bez spowiedzi i roz-grzeszenia. I bez morałów. Jak dotychczas.

Ale ja nie ustawałam. Krzyczałam, wymachiwałam rękoma, z trudem goniłam słowami moje myśli i myślami słowa. Jeszcze, jeszcze. Może coś się stanie. Może coś mnie ocali. Nie miałam ochoty ginąć, gdy życie nareszcie zaczęło się do mnie uśmiechać.

Plotłam, że to największa zbrodnia zadawać komuś śmierć w imię instynktu, który ma służyć

pomnażaniu życia... Że nic mu nie przyjdzie z tego, iż mnie uśmierci. Namawiałam usilnie, aby dobrowolnie przyznał się do wszystkiego. Przrzekałam, że na śmierć go nie skazą i przekonywałam, iż dla własnego dobra powinien pozwolić izolować się od społeczeństwa. W końcu zmę-

czyłam się śmiertelnie. Ramiona mi opadły, plecy zgarbiły się. Na czole czułam występujący zimny pot. Cofałam się, a on, milczący przez cały czas mojego daremnego kazania, następował, jak bezrozumny żywioł. Nacierał na mnie powolnym, nieco leniwym, pełnym gracji krokiem skradającego się drapieżnego zwierzęcia.

Zduszonym półszepcetem, łagodnie i pocieszająco wypowiadał słowa:

–
Nie bój się. No, nie bój się. To nie będzie bolało... tak bardzo. Powiedz coś jeszcze, chociaż nie rozumiem, co mówisz. Ale mów jeszcze trochę, póki żyjesz. Chcę zapamiętać jak najwięcej z twego głosu...

Czułam już na twarzy jego przyśpieszony, podniecony, gorący oddech.

216

W tym momencie otaczająca nas ciemność pękła w kilkunastu miejscach, jak gdyby nas opasał wieniec, uwity ze świateł. Stali-

śmy w jego środku, w blasku reflektorów i promieni silnych lata-rek ręcznych, jak para artystów na scenie.

Szarpnął się w lewo, w prawo, skurczony, nagle zmaląły z panicznego przerażenia. W jaskrawym świetle reflektorów w jego uniesionej ręce błysnęło coś jak długa iskra.

Nie zdążył jednak zranić swą piękną, lśniącą brzytwą ani siebie, ani mnie. Z najwyższym zdumieniem stwierdziłam, że człowiekiem, który zadał Feliksowi obezwładniający cios, był mój mąż, który powinien był teraz właśnie kłaść się grzecznie do hotelowego łóżka w Szczecinie.

Spoza świateł zaczęły wyłaniać się postacie mężczyzn. W

mundurach i po cywilnemu. Wychodzili z cienia starych hałd, podnosili się z ziemi, z płytkich wklęsłości i wgłębień, których nie brak na żadnej łące.

Kiedy Andrzej zapytał mnie w samochodzie, jak się czuję, odpowiedziałam, że jak po ciężkiej chorobie. Nogi z waty, ręce z ołowiu. A w ogóle – słaba i nieporadna, jak bezbronne pisklę.

Stasiek, jako drugi pasażer, siedział obok mnie naburmuszony i milczał. Był na mnie ciężko obrażony. Musiałam go jakoś ugłaskać. Zapytałam potulnie:

–

Skąd wiedzieliście, że on tu na mnie napadnie? Że właśnie tu należy zrobić zasadzkę?

Złość na mnie jeszcze mu nie przeszła. Mruknął niechętnie:

–

Od niego – kiwnął głową w stronę Andrzeja. – Każdy mądry człowiek powinien współdziałać z nami w takich wypadkach.

217

A Eulalia Pstryk powinna przeprowadzić gruntowną samokrytykę.

Za mądrzenie się po kryjomu, na własną rękę.

Ze skruchą zwiesiłam głowę. Stasiek miał rację. Gdyby ktoś zdecydował się wcześniej zwrócić milicji uwagę na drobny nawet szczegół, który zdemaskowałby mordercę, nie tylko zapobiegłby dalszym zabójstwom, lecz także przysłużył się nieszczęsnemu szaleńcowi. Mniejszy byłby ciężar jego win. Może i w moim ręku była jedna z wielu nitek prowadzących do kłębka?

Widząc moje zakłopotanie, Stasiek nieco rozchmurzył się i pocieszył mnie:

–

Mieliśmy Feliksa od pewnego czasu na oku. Był jednym z podejrzanych. Obserwowaliśmy go, chociaż raz czy drugi udało mu się nas zmylić. Gdyby Andrzej nas nawet nie uprzedził, że panu Feliksowi trafi się okazja spotkania z tobą w tym odludnym miejscu, też nie byłibyście sam na sam. Byłby jeszcze jeden cień, może nawet dwa. Ryzyko tylko byłoby większe i walka mogłaby być bardzo ostra. Tak... on był już właściwie przez nas osaczony.

Nasz człowiek pracował w zakładzie...

„Aha – przemknęło mi przez myśl – Ola. Dlatego pewnie siedziała na skwerku naprzeciwko drzwi, gdy wychodziłam z zakładu w sobotę wieczorem. Kto by to pomyślał?”

–

Ale ciekawe, co pomógłby mi wasz człowiek, kiedy przed-wczoraj byliśmy z Feliksem we dwoje zamknięci w zakładzie?

–

Rzecz w tym, że wcale nie zamknięci. Klucz w drzwiach nie był przekreślony i nasi ludzie w każdej chwili mogli interweniować, gdyby zauważyli, że w środku dzieje się coś podejrzanego. Szyba witryny jest wprawdzie matowa, ale ma gładki wzorek.

Wystarczy przez niego czasem zerknąć. – Zdebniak, dumny, iż może mi zaimponować sprawnością swoich ludzi, ciągnął dalej: –

Nasz pracownik wykrył, gdzie chował Feliks swoje pamiątki. Te drobiazgi po zamordowanych kobietach. Trzymał je w szufladzie, do której kładzie się drobne przedmioty, zgubione przez roztrągnięte klientki. Klipsy, spinki, szminki i takie tam różne wasze głupstwa. Sprytnie, co? Zgarnęliśmy te jego skarby. Dowody rzeczowe. Godzinę temu, kiedy on tu na ciebie czatował.

–
Tak mi przykro, Stasiu – szepnęłam.

–
Dobrze ci tak – odparował. – Przynajmniej twój mąż nie ma się czego wstydzić. Zgłosił się do pomocy po drugim zabójstwie. Sprawił się na medal. A ty zawdzięczasz mu życie... Nie tylko dziś. Feliks krążył wokół ciebie już nieraz.

Co zawdzięczałam Andrzejowi, to ja sama dobrze wiedziałam.

Nie musi mnie Stasiak pouczać. Przycięłam mu złośliwie:

–
Jeżeli wiedzieliście już, że to Feliks, to po co mnie narażaliście? A jeśli idzie o współdziałanie i pomoc, przypominam ci, że ja też zgłaszałam się do ciebie w tej sprawie.

–
No tak... – powiedział z wahaniem. – Trochę racji masz i trochę nie masz. Mieliśmy podejrzenia, ale nie mieliśmy pewno-

ści. Ani dowodów. Na przykład narzędzie zbrodni. Czym ogłuszał

swoje ofiary? Nie wiedzieliśmy. Trudno się było domyślić, że używa do tego kawałka niklowanej rurki z uchwytem, części ramy przytrzymującej lustro w zakładzie.

Coś podobnego! Teraz przypominałam sobie, że przy lustrze, 219

ostatnim w rzędzie, rzeczywiście brakowało tego fragmentu. Nikt jakoś na to nie zwrócił uwagi. Stasiak wyjaśniał cierpliwie:

–
Miał to zawsze przy sobie, kiedy szedł mordować, wsunię-

te w rękaw. Co do ciebie, byliśmy pewni, że nie zdąży zrobić ci nic złego. Za mocna była tym razem nasza obstawa. Mówisz o twojej gotowości. To prawda, twierdziłaś, że chcesz nam pomóc.

Ale konsekwentna to ty nie byłaś. Dobra dusza, dobra siostra An-na, powierniczka zboląłych serc... spowiadał ci się Bryda, opowiadał o sobie Rysiek Jaskólski, no i inni też... Nic z tego od ciebie do nas nie przewędrowało. A przecież to mogły być ważne wiadomości, istotne dane dla śledztwa. Dyskrecja... piękna rzecz.

Ale czy zawsze? Czy wtedy, gdy chodzi o ludzkie życie, o niejedno życie, też godna pochwały? No pomyśl. Zachowałaś się, za przeproszeniem, po babsku. Już ci nawet nie wypominam, że przez to sama wpadłaś w tarapaty. Ech wy, wy, kobiety! – machnął lekceważąco ręką.

–

Z kobietami to tak zawsze – przytaknął mu gorliwie mój Andrzejek.

Milczałam wyniośle, ale w duchu przyrzekłam sobie: już my z Irką nauczymy was obu moresu.

Czyjeś palce dotknęły ukradkiem mojej dłoni. Ich uścisk był serdeczny, krzepiący, opiekuńczy. Z mężczyznami to tak zawsze.

Rozdział 11

Minęło kilka miesięcy od tego dramatycznego wieczora. Pewnego dnia otrzymałam przesyłkę, na której widniała więzienna pieczęć i adnotacja urzędowa, głosząca, że zawartość sprawdzona została przez cenzurę więziennej dyrekcji. Duża, szara koperta była grubo wypchana luźnymi kartkami, zapisanymi ręcznie nierównym charakterem. Do pliku kartek dołączony był następujący list:

„Szanowna i droga siostró Anno – albo po prostu: siostró Anno

– albo jeszcze krócej i prościej: Anno!

Zdziwi się Pani na pewno, że mam tyle odwagi, aby przesłać te moje bazgroły. Właśnie Pani, którą chciałem zabić i zabiłbym, gdyby mi nie przeszkodziło.

Dlaczego właśnie Pani to przesyłam? Dwukrotnie nie chciała mnie Pani wysłuchać. Odrzuciła Pani moją prośbę o rozmowę, o którą prosiłem, kiedy ostatni raz Panią cesałem. A ja tak bardzo chciałem... Tak bardzo potrzebowałem chwili, w której mógłbym zrzucić z siebie moje jarzmo. I życzliwego człowieka, który po-mógłby mi zrozumieć siebie. Pani nie chciała być wspaniałomyśl-na. Przez jakiś czas czułem do Pani o to żal, ale teraz już mi to minęło. Pomyślałem, że i Pani przeze mnie nacierpiała się niema-

ło. Chociażby wtedy, gdy całe miasto posądzało panią o to, co robiłem ja. Należy się Pani ode mnie za to jakieś zadośćuczynienie. Myślę, że musiała mnie Pani szukać wśród swego otoczenia.

Że nieraz musiała Pani zastanawiać się długo, co też może pchać człowieka do takich czynów, jak moje. Chciałbym zaspokoić Pani ciekawość, bo wiem, że nie płynie ona ze zwykłych, babskich, wścibskich pobudek.

Od wielu tygodni nic innego nie robię, tylko odpowiadam na pytania. Milicji, prokuratora, lekarzy, mojego adwokata. Ale przede wszystkim lekarzy. Zajmują się mną jako „obiektem”. To gratka dla nich, taki okaz zwyrodnialca jak ja. Wożą mnie na róż-

ne badania do szpitali, na tak zwane obserwacje. Kazały mi opowiadać wszystko o moim życiu: co pamiętam od najmłodszych lat.

Muszę im opisywać poszczególne stadia i etapy mojej drogi. Raz

– tak, jak czułem wtedy; kiedy indziej – jak widzę i oceniam dziś moje czyny. To wszystko jest szalenie męczące. Czasami maci mi się już tak w głowie, że myślę czas i płaczę fakty. Dlatego pozwolono mi robić notatki. Oni je oczywiście jak najdokładniej przeglądają, robią z nich odpisy.

Pomyślałem: co się stanie z tymi szpargałami, kiedy moja sprawa zostanie zamknięta? Może powędrują do akt, a może ktoś zupełnie niepowołany i przypadkowy dostanie je do ręki, będzie czytać ze wstrętem i będzie się ze mnie natrzasać. Ta myśl jest dla mnie nie do zniesienia. Być pośmiewiskiem – to gorzej, niż budzić grozę. Przesyłam zatem moje notatki na Pani rękę. Wiem, że Pani mnie potępia, ale nie chcę, żeby Pani osądzała mnie niezgodnie z prawdą.

A oprócz tego... Był czas, kiedy naprawdę wierzyłem w cud.

Znajdzie Pani taki fragment w tej mojej spowiedzi, w jej końcowym fragmencie. Dziś, gdy wiem, że nigdy się już nie zobaczymy, mam odwagę wyznać: kobietą, o której piszę, mogłaby być 222

tylko Pani. Pani jedna – taka odmienna od wszystkich znanych mi i nie znanych kobiet. Nigdy – znając Panią od kilku lat – nie ośmieliłem się nawet sam wobec siebie pomyśleć o Pani jako o tej, która mogłaby do mnie należeć i mnie uzdrowić. Dlaczego?

Bo bałem się. Bałem się siebie. Tej mojej drugiej, ciemnej natury.

Tego, że nie zdołam się powstrzymać, nie utrzymam siebie w cuglach i zrobię z Panią to, co zrobiłem z tamtymi kobietami. A jakżebym mógł zabić moje jedyne marzenie? Marzenie, które jeszcze pozwalało mi żyć, chodzić, oddychać, pracować – chociaż lepiej byłoby dla mnie i dla ludzi, gdybym zginął dużo wcześniej.

Chciałem Pani o tym wszystkim powiedzieć, gdy prosiłem, że-by poszła Pani ze mną na kawę. Zraniła mnie Pani wtedy śmiertelnie. Nie odmową – ale przyznaniem się, że jeszcze rok temu miałbym szansę zbliżenia się do Pani.

To było najgorsze ze wszystkiego, co mnie spotkało. Więc kiedyś istniał dla mnie ratunek, a ja z tej szansy nie skorzystałem...

Nie sądziłem, nie przewidziałem, że w Pani życiu pojawi się w końcu mężczyzna. Uważałem Panią

za kogoś w rodzaju dawnych świętych. Za taką „nadkobietę”, wolną od babskich słabości, gardzącą prozaicznym stadłem małżeńskim. Z początku zdawało mi się, że muszę Panią zabić po prostu tylko dlatego, żeby mnie Pani nie zdradziła. Teraz jednak rozumiem: porwałem się na Panią z tego mojego największego żalu. Ogarnęła mnie piekielna zawiść, że komuś innemu odmieniła Pani życie, a nie mnie. Bo jeżeli już miała Pani rezygnować ze swojego wspaniałego samotnictwa, to tylko dla mnie, nie dla byle kogo!

O ileż łatwiej byłoby mi pokutować ze świadomością, że tak, 223

jak ze mną było – musiało być. Że nigdy nie mogłoby być inaczej, że mój los był nieodwracalny. Pani zaprzeczyła temu przekonaniu.

Moim najgłębszym pragnieniem stało się zabić Panią, zniszczyć ten najcięższy wyrzut sumienia. Cierpię, jak potępieniec, kiedy o tym myślę.

Żegnaj, Anno... Feliks

Ps.: Myślę, że najlepiej by Pani zrobiła, paląc te notatki po przeczytaniu. Podpisałem się moim imieniem i przyszło mi do głowy, że »Felix« znaczy: szczęśliwy. Czy to nie ironia losu?

Więc kończę, podpisując się już tylko jedną literą: F.

Byłam w mieszkaniu sama. Andrzej znów dostał delegację do Szczecina. Przez otwarte okno z podwórza dobiegały odgłosy zwykłej ludzkiej, powszedniej krzątaniny. Ktoś trzepał dywan; ktoś gwizdał na psa; ktoś nawoływał kogoś młodzieńczym głosem; ktoś karcił rozbrykane dzieci; ktoś śmiał się za głośno.

Mnie zaś przypadło w udziale zostać powierniczką tragicznych tajemnic człowieka, który to zwyczajne ludzkie życie odrzucił, który je w okrutny sposób kaleczył i łamał, skazując sam siebie jak gdyby na śmierć za życia.

Czytałam, buntując się raz po raz przeciwko temu, co czytam...

„Chciałbym go zobaczyć. I nie mogę. Nie dlatego, żebym był

ślepy. Gdybym był ślepcem, mógłbym chociaż przy pomocy do-tyku palców poznać wyraz jego twarzy. Podobno palce niewido-mych tak są czułe, że pozwalają uzmysłowić dokładnie kształt przedmiotu. Koloru tylko nie odróżnią. Ale co mi po kolorze 224

– mnie interesuje, jak wygląda wtedy jego twarz. Czy bardzo ze-szpecona grymasem? Czy zastyga jak nieruchoma maska? Czy zniekształca ją skurcz? Nie dowiem się nigdy. Chciałbym do niego mówić – i też nie mogę, bardziej niż gdybym był niemy. Bo gdybym był niemy, przemówiłbym do niego chociaż gestem. Albo podsunął mu przed oczy skreślone na kartce pytanie: »Powiedz, dlaczego to robisz?...« Nie przemówię do niego nigdy, w żadnym języku, w żaden sposób. I on mi nigdy na moje pytanie nie odpowie. Jestem wobec niego bezsilny.

Dzieje się tak dlatego, że kiedy ja jestem – on nie istnieje. Kiedy on zaczyna istnieć – ja niknę. Niknę

bardziej, niż gdybym był

martwy. Bo kiedy człowiek jest martwy, przez długi jeszcze czas egzystują jego szczątki, resztki jego ciała. A ja przestaję być po-siadaczem mojego ciała, chociażby jednej, najmniejszej cielesnej komórki, kiedy on się pojawia. On wchodzi w moje ciało, bierze je w posiadanie i panoszy się w nim. To taki dziki lokator mojego ciała, który wyobraża sobie, iż jest jego prawym właścicielem.

Po prostu: ja w pewnych chwilach staję się nim. A potem on znów z powrotem staje się mną. I tak nigdy nie możemy spotkać się twarzą w twarz. Ja, kiedy patrzę w lustro, moimi oczami widzę tylko siebie. Zwykłego, nie młodego, ale i nie starego jeszcze mężczyznę, o przeciętnej urodzie – chociaż ja osobiście tę moją urodę dość lubię. I niektóre kobiety mówią, że im się podobam. W

tłumie jednak takich twarzy, jak moja, są tysiące. Nijaka, zwy-czajna twarz. Prosty nos, jasnoniebieskie oczy, włosy rudawe, ciemnoblonde, »Znaków szczególnych żadnych« – jak mi milicja napisała w dowodzie. Moje usta, ani duże, ani za małe, lubią się 225

uśmiechać i łatwo płyną z nich uprzejme, miłe słowa. Oczy moje lubią patrzeć na rzeczy ładne. Nie znoszę brzydoty i nieporządku.

Niektórzy koledzy żartują, że mam starokawalerskie narowy. Być może. Taka opinia jest dla mnie bardzo dogodna. Jest jak nawias, w którym zamykam moją tajemnicę. Więc, gdy patrzę w lustro – a robię to dość często – widzę siebie. Zawsze tylko siebie. No bo kiedy przychodzi ten czas, że staję się nim, to już nie są moje oczy, które patrzą w lustro. To są jego oczy. I on patrzy swoimi oczami na siebie. On siebie widzi – nie mnie. I on tylko wie, jaki jest.

Jest nas jakby dwóch w jednym ciele. Tacy bracia – bliźniacy, pozornie jednakowi, ale w rzeczywistości zupełnie odmienni. W

każdym razie ja wypieram się jakiegokolwiek z nim współnictwa.

O moim bliźniaku, który żyje we mnie, tylko ja jeden wiem. Ludzie o nim nie wiedzą. Widzą moje jedno tylko ciało, we mnie widzą jednego człowieka i mają prawo myśleć, że mam też jedną tylko duszę. A ja mam dwie. Jak mogła natura aż tak się pomylić i zamknąć w jednym ciele aż dwie dusze?

Czasami czuję moment, gdy on się zbliża. Gdy nadchodzi tym swoim najcichszym z cichych, bezszelestnym krokiem, aby zająć moje miejsce w naszej wspólnej cielesnej powłoce. Odczuwam wtedy niepokój, podniecenie, jak przed daleką podróżą. Nie jest to przykre. Raczej dostarcza mi pewnej przyjemności. Przenika mnie dreszcz oczekiwania: coś się stanie. Ale nigdy nie jestem przy nim, kiedy on wyrusza, żeby t o zrobić. Jest więc tak, jak gdybym pozostawał na brzegu, żegnając tego drugiego, odpływającego okrętem do dalekich i nie znanych mi krajów. Co tam zdziała? Co zobaczy? Co przeżyje? Gdyby mi nawet opowiadał – nie wiem, 226

czy potrafiłbym go zrozumieć. Moja wiedza o motywach jego działania jest bardzo ograniczona, składa się w dużej mierze z przypuszczeń i mglistych podejrzeń.

O wiele gorszy jest moment po jego powrocie z podróży. Porzuca mnie i znika bez śladu, a ja mam

wrażenie, iż budzę się z jakiegoś okropnego snu, w którym ktoś bliski zdradził mnie, naraził na niebezpieczeństwo, ba: nawet na śmierć! Boli mnie wtedy i gniecie poczucie zawodu, niedosytu, niezaspokożenia. Nie odczuwam żadnej ulgi z tej racji, że oto znów jestem tylko sobą, zwykłym, przeciętnym, spokojnym człowieczkiem. Miałbym ochotę nawymyślać tamtemu łązędze: »No i znów się nie udało. Niczego to nie rozwiązało. Nie jest lepiej. Nie załatwiłeś tej sprawy ostatecznie. Widocznie nie zrobiłeś tego tak, jak trzeba. Przypuszczał-nie można byłoby zrobić to inaczej, lepiej. Coś wprawdzie się spełniło, ale okazało się, że to nie to, o co chodziło. Tak jakby się marzyło o wygraniu miliona na loterii, a wylosowałyby się na wiejskim odpuszcie tombakowy pierścionek ze szkiełkiem. Trudno, trzeba będzie próbować jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz«.

Lecz gdzie jest to dno, na które on musi zejść po to, abym ja mógł wreszcie zaznać uspokojenia na powierzchni życia? Po to, aby on pozostał już na zawsze w tej jakiejś swojej przepaści, która go ukrywa – i nigdy już więcej z niej do mnie nie powracał... Żeby mnie bezpowrotnie porzucił. Żeby pozostał nareszcie sam: jeden człowiek, jedno ciało z jedną tylko duszą...

Kilka razy oglądałem film pod tytułem «Doktor Jekyll i mister Hyde». Uczony, zacny człowiek, wynajduje eliksir, zdolny do zmieniania ludzkiej powierzchowności i charakteru. Wypróbowuje 227 go na sobie. I oto przyjemny, szlachetny facet przekształca się w bestię, uprawiającą rozpustę i popełniającą przestępstwa. Po upływie pewnego czasu uczony, zażywając odtrutkę, staje się znów sobą. Ale w końcu odtrutka na bestię przestaje działać, okresy zezwierżenia wydłużają się. Uczony w ogóle nie jest już w stanie wrócić do własnej postaci. Odzyskuje ją dopiero po śmierci.

Ciekawe, jak ja będę wyglądał po śmierci? Czy będzie mógł kto-kolwiek powiedzieć, patrząc na moje skamieniałe rysy: oto był

sprawca tylu okrutnych zbrodni...

Ja nie łykam żadnych eliksirów. Nie ma mojej wolnej woli w tym, że się zmieniam nagle i dla mnie czasem zupełnie nieoczeki-wanie. (A może mi się tylko tak zdaje, że tej woli nie ma? Może sam siebie oszukuję? Może lubię ten niby przymus zmiany mojej osobowości?) Niczego takiego nie wynalazłem, jak ten londyński doktor. Po prostu któregoś dnia i o którejś godzinie mijam się ze sobą, jak mijają się przypadkowi przechodnie na ulicy. Przekra-czam w sobie jakąś linię graniczną, jakiś próg i wchodzę w świat, który jest tym samym światem, w którym żyję na co dzień, i poru-szam się w nim tak samo pewnie, a może jeszcze sprawniej niż zazwyczaj – ale wszystko dookoła mnie wygląda inaczej. A raczej to moje drugie wcielenie widzi inaczej. Inna jest dla niego waga i wartość spraw, ludzi i rzeczy. Z londyńskim doktorem łączy mnie jedno. Po każdej eskapadzie mój bliźniak coś mi pozostawia, jakby na pamiątkę. Coś w środku. Jakiś strzęp przeżycia, tak że jednak czuję się inny, niż byłem przedtem. Te ułamki nawarstwiają się we mnie, jest ich coraz więcej i czuję, jak pod ich ciężarem 228

zmienia się to moje zwykłe ja. Coraz bliższe jest »tamtemu« –

może nastąpi moment, że staniemy się jednością?

Kiedy to się zaczęło? Bo przecież nie zawsze tak było, nie od początku mojego życia. Kilka lat temu.

Jakaś kobieta popatrzyła na mnie, a ja pomyślałem, że tak samo patrzyła na mnie kiedyś moja macocha – i że w ogóle ta kobieta podobna jest do mojej macochy Stanisławy. Poczułem, że tego nie zniosę. Zabiłem tę kobietę, tak jakbym zabił Stanisławę.

A właściwie nie ja ją zabiłem. Zabiło ją moje tamto drugie Ja.

Zbrodniarz, który się we mnie ukrywa, przyszedł wtedy pierwszy raz, żeby mnie zastąpić. Ale kiedy to już się stało i tkwiłem nieruchomo nad nią, nieżywą, tamten uciekł, bo może przestraszył się tego, co zrobił – ja zaś byłem znów sobą, zwyczajnym sobą i nawet nie bardzo wiedziałem, dlaczego jestem na pustkowiu sam na sam z trupem. I pytałem go: »Po coś ty to zrobił? Przecież ona nie jest Stanisławą. Gdybyś zabił Stanisławę, naprawdę Stanisławę, ją samą – o, to co innego! Byłbyś na zawsze wyzwolony i spokojny.

I może mógłbyś być jak inni ludzie, jak inni, normalni mężczyźni.

Ale nie zabijesz Stanisławy, bo się jej boisz, jak nigdy i nikogo na świecie «.

Przez całe lata chciałem zapomnieć, jak to było ze Stanisławą.

Prawie mi się już udało. Czasami tylko wracało do mnie to widmo we śnie i wtedy cały dzień następny chodziłem jak pijany. Ale coraz rzadziej. I dopiero ta kobieta... Stało znów wszystko tamto stare przede mną, jakby czas się cofnął.

Nie pamiętam matki. Umarła, kiedy miałem dwa lata. Nie była 229

z naszych stron; ojciec poznał ją, gdy pracowała we dworze jako pokojówka. Jej rodzice byli bardzo biedni, mieli małą gospodarkę daleko od naszej wsi, bo aż pod Świernikiem.

Nie wiem, dlaczego i jak umarła moja matka. Sąsiadki powiadały: »miała coś na wnętrzu«. To było podczas wojny, kto tam na wsi wtedy leczył się, kto wzywał lekarza. Komu było sądzone –

ten umierał. I tak zawsze za dużo gąb było w chałupach do wy-karmienia. Ale w naszym gospodarstwie odejście matki znaczyło wiele. Ubyły ręce do pracy. Gospodarka spora, było co w niej robić. Ja byłem pierwszym dzieckiem, starszego ode mnie w cha-

łupie nie było nikogo, sam tylko ojciec i ja. Naraiły mu sąsiadki żonę, wdowę z trochę ode mnie starszą córką. No i ożenił się ojciec ze Stanisławą. Nie była jeszcze stara, mogła rodzić. Więc posypały się następne dzieci, ale same dziewczyny. Trzy pod rząd.

Co roku jedna. Tak że razem ze Stanisławą i jej najstarszą, Łucją, było ich pięć, pięć bab na nas dwóch... Stanisława duża była, silna, wysoka, po każdym porodzie coraz tęższa w sobie. Nawet niebrzydka, tylko coś złego miała w oczach i w ustach. Jak zacisnęła wargi, tylko taka wąska, bladuróżowa kreszczka była widoczna na jej twarzy. A zaciskała tak usta, jak mnie widziała.

Nienawidziła mnie. Biła mnie od pierwszej chwili. Odkąd pamiętam. Nie żałowała ani pięści, ani pasa, ani kija. Ojcu tłumaczy-

ła, że ze mnie nicpoń, a to była nieprawda. Bałbym się jej sprzeciwić w czymkolwiek. Wszystko robiłem, jak chciała. Nawet to, co mnie przerażało, czego się brzydziłem, co sprawiało mi okropny ból. Kazała mi na przykład kurom łby ucinać, świniaka zakłuć.

A ja widoku krwi nie znosiłem, mdlałem, przytomność traciłem.

230

Ojciec był temu przeciwny, sam miękkie serce miał i świniaka nigdy nie zabijał ani cielaka, tylko takiego człowieka wołał, który u nas we wsi te sprawy innym gospodarzom też załatwiał. Sprawnie, fachowo. Ale Stanisława tłumaczyła ojcu: co to za gospodarz z chłopaka będzie, jak z inwentarzem sobie nie poradzi? Przecie to gospodarski syn, dziedzic... To »dziedzic« wymawiała zawsze ze śmiechem, z takim złym śmiechem. Jak już podrosłem, zrozumia-

łem, o co jej chodziło. Że niby ja gospodarkę po ojcu wezmę, jej córkom spłaty tylko przypadną. I o siebie się bała: jaki ja będę dla niej, jeżeli ojciec umrze. A ojciec był chory. Coraz słabszy i słabszy. Teraz gdy już w świecie się otarłem i przypominam sobie chorobę ojca, myślę, że musiał mieć gruźlicę. Może moja matka też ją miała. Ale po sąsiadach gadali po cichu, że Stanisława ojca podtruwa, bo chłop już z niego i pracownik w polu żaden, a ona kobieta jeszcze do rzeczy i na miłość łąsa. Znalazłaby sobie szybko następnego męża. Ze mną tylko miała kłopot, stałem jej na przeszkodzie.

Te swoje córki, a moje przyrodnie siostry, też nauczyła, że ma-ją mnie nienawidzić. Co innego przecież, gdyby mnie nie było: któraś z nich, za męża odpowiednio wydana, gospodarkę by odziedziczyła. Panowałaby sobie wtedy nad całym naszym dobrem.

Pamiętam nasze rodzinne posiłki. Ojciec leży w łóżku, mało już co wstaje, o kubek mleka prawie żebrze... Ona spode łba na niego patrzy, oczy się jej po wilczemu świecą, kubek podaje mu tak, że całe mleko po brodzie ojcu płynie, a ona donderuje. »Nie-zdara!« – krzyczy, i zapowiada, że więcej mleka mu nie da, bo on je tylko marnuje. A przy stole naprzeciwko mnie siedzą rządkiem cztery dziewczuchy... I patrzą na mnie wszystkie, jakby zjeść mnie 231

chciały. Albo gapią się tak głupawo, nieruchomymi ślepiami. Ona

– i te cztery. Pięć par oczu. A wszystkie czarne. Dziesięcioro czarnych oczu... Ile razy uciekłem od stołu, nie zjadłszy i połowy tego, co mi się należało, bo mi nawet klucha kością w gardle stawała.

Na szesnasty rok mi szło, kiedy ojciec z łóżka już się nie ruszał. Dziewczyny we wsi mówiły, że na ładnego chłopaka wyrosłem, na tańce mnie ciągnęły, w krzaki, żeby się z nimi całować.

Stanisława zaczęła wtedy na mnie jakoś dziwnie spoglądać. Nie, żeby życzliwiej czy serdeczniej. Nie. Po staremu gniewnie, ale jakoś inaczej. Bić już nie biła, za mocny byłem, nie dałaby rady.

Zdawało mi się jednak, że jakby zaczepki szuka. To przechyli się nad moim ramieniem, żeby miskę na stół postawić, tak że całe gorąco jej piersi na plecach czuję; to w stajni otrze się o mnie biodrem... Głupi byłem, nie przychodziło mi do głowy to, co jej się roilo.

Któregoś dnia zasnąłem w stodole na sianie. Lato było, upał, parno przed burzą. Coś mnie budzi, ciężar czuję na sobie, jakby zmora mnie dusiła. Otwieram oczy i widzę: Stanisława na mnie się wali. Twarz czerwona, aż purpurowa, oczy czarne błyszczą jej, jakby kto węgle żarzące z pieca powygarniał i w oczodoły jej po-nasypywał. I dyszy, i sapie, jakby się jej nie wiem dokąd śpieszyło. Wstrętna była, aż mnie zemdliło. Szturchnąłem ją z całej siły, ale ona się nie dała ze mnie zepchnąć. Zacząłem się jej wrywać.

To ją jeszcze więcej podnieciło. Zerwała się, złapała widły, co je obok siebie miałem, bo siano przetrząsałem, zanim zasnąłem, i grzmotnęła mnie nimi po głowie, a potem biła, gdzie popadło.

Zalałem się krwią i straciłem przytomność.

232

Życie mi uratowała Łucja, Stanisławy najstarsza, z poprzedniego małżeństwa. Ona z nich wszystkich jeszcze dla mnie najlep-sza była. Usłyszała, że w stodole coś się dzieje, przybiegła, odcią-

gnęła ode mnie matkę. Mówiła mi potem, że Stanisława jakoby plan miała taki, żeby mnie w amory wciągnąć i przed ojcem skompromitować. Żeby mnie wydziedziczył. Ale bo ja wiem, jak to było naprawdę? Uradziły, kiedy ja nieprzytomny, krwią zalany w chałupie leżałem, że to niby wypadek był. Że śpiąc spadłem z sásieku prosto na widły. Czy ja mogłem prostować, kiedy dwa tygodnie o świecie bożym nie wiedziałem? Chorowałem bardzo.

Do szpitala musieli mnie oddać. Jak wróciłem, ojciec już nie żył.

Ksiądz mi tylko jego wolę ostatnią przekazał: że mnie błogosławi i że boi się o mnie. Wie, jaka Stanisława jest dla mnie nieprzy-chylna: wcześniej czy później zgładzi mnie ze świata. Więc żebym lepiej gospodarkę jej zostawił, a sam do miasta poszedł i zawodu jakiegoś się uczył. Nie wiem, czy naprawdę ojciec tak przykazał. Może Stanisława podmówiła księdza? A może ksiądz się dowiedział, jak to było w stodole, i z życzliwości mi radził, żebym Stanisławie z oczu zszedł? Zresztą wiedział, że ja zawsze do nauki byłem zdalny, szybki, dobrze w szkole uczyłem się.

Książki lubiłem czytać jak nikt we wsi.

Mnie tam do roboty, do tej całej gospodarki nie paliło się.

Zbrzydła mi. Łaziłem z kąta w kąt, siły nie miałem, żeby brać się do czegokolwiek. Łucja mnie ostrzegła: »Jedź – powiedziała w sekrecie – do miasta. Bo ona ciebie zabije, boi się, że ją do sądu podasz«. Te młodsze dziewczyny gapiły się na mnie jak na raroga, uciekały przede mną, piszcząc ze strachu. Czy ja wiem, co Stanisława im o mnie naplotła... Po wsi gadka poszła, że w głowie mi 233

się popsuło i że kaleka ze mnie na całe życie. Co miałem robić?

Pewnego dnia zebrałem moje rzeczy do kuferka i wyszedłem z domu. I już nigdy nie wróciłem. Nie wiem nawet teraz, co się tam dzieje, kto gospodarzy, czy Stanisława jeszcze żyje.

Najpierw na wieś do dziadków pojechałem pod Świernik. Ale nie miałem tam co robić. Kilka mórg ziemi, jedna krowa, pięć kur.

Konia nawet nie było. Nie chciałem być ciężarem. Pofrunąłem w świat.

Różnych próbowałem fachów. W różnych miejscach bywałem.

Lepiej mi się zdarzało i gorzej też. Do wojska mnie nie wzięli. Z

powodu zdrowia. Niezdatny do służby, napisali. A jak się okazało, do czego innego też niezdatny...

Spodobała mi się raz jedna dziewczyna. Ożeniłem się z nią.

Miałem wtedy dobrą pracę, kawałek własnego kąta, maturę robi-

łem w wieczorówce. Jedną noc trwało nasze małżeństwo. Jedną noc. Krótką, straszną. O jedną, o tę jedną noc – za długo. Rano moja młoda żona wróciła do rodziców. Cóż jej po mężu, który nie potrafi być mężczyzną?

I nie próbowałem już z żadną kobietą więcej, dopóki nie zabi-

łem tej, co to taka podobna mi się wydała do Stanisławy, mojej macochy. Nie pamiętam wszystkiego ze szczegółami: co robiłem, jak ją zabiłem – ale jedno mi zostało w pamięci jak ze snu, jak przez mgłę, jak z innego jakiegoś świata: kiedy czułem pod moimi rękoma zamierające w niej życie i kiedy wyobraziłem sobie, że tak oto kończę moje porachunki ze Stanisławą, poczułem się mężczyzną. Nie zgwałciłem tej kobiety, nie odbyłem z nią stosunku, ale poczułem, że ożywa we mnie to, co było dotychczas martwe, co uśmierciła we mnie moja macocha.

Więc może – pomyślałem sobie po paru dniach – jestem już 234

wyleczony? Chciałem się sprawdzić. Poszedłem do jednej takiej, o której się mówiło, że była «nieciężkich obyczajów». Miała dobre serce i nikomu miłości nie odmawiała, szczególnie, jeżeli się jej za to płaciło. I co? I nic. Klapa. Powiedziałem jej: »Nie mogę!«. Dobra dziewczyna, zlitowała się, starała się rozruszać mnie. Nic z tego. Wyszedłem od niej złachmaniony, zawstydzony, naj-nieszczęśliwszy na świecie.

Te sprawy – z moim ożenkiem, z tą pierwszą zabitą kobietą, z tą prostytutką, działy się nie w Świerniku, ale gdzie indziej, daleko od Świernika. Miasto było duże, lubiłem je. Nie chciało mi się stamtąd wyjeżdżać. Zabitej kobiety nie znałem. Ot, babka, przypadkowo spotkana w tramwaju. Dopiero po dwóch dniach dowiedziałem się, kim była, jak się nazywała. Mnie tym tylko poruszyła, że miała spojrzenie Stanisławy. Wieczór był późny, wagon pusty, nas tylko dwoje w nim. Wysiadłem za nią na przystanku gdzieś na przedmieściu. Nikt nas nie widział idących razem. Lasek, pola po bokach drogi. Bezludzie. Tam ją zabiłem. Wróciłem kawałek drogi pieszo, potem wsiałem do autobusu. Nie miała żadnych szans milicja, żeby mnie wykryć.

Postanowiłem zostać i wziąć się w garść.

Wszyscy zawsze mi mówili, że jestem bardzo inteligentny, i nawet dziwili się niektórzy, że ja ze wsi. Akurat, jakby na wsi matolki rosły, a w mieście same mądrale. Ciekaw byłem świata, ludzi. Gdyby nie moje nieszczęście, poszedłbym może na wyższe studia. Ale wtedy kiedy właśnie zdałem maturę, zamroczyła mnie ta sprawa, o niczym innym nie mogłem myśleć, tylko o mojej słabości.

Zacząłem zastanawiać się: jak to jest ze mną? Czy jest jakaś

rada? Przeczytałem, co na ten temat zostało napisane w różnych książkach i pismach medycznych, ale nie wszystko do mnie pasowało. Nie rozumiałem wielu naukowych określeń.

Postanowiłem więc pójść do lekarza, specjalisty od takich za-burzeń jak moje. Najpierw wybrałem młodego. Myślałem: lepiej mnie zrozumie. Ten mi dał szkołę! Kazał wszystko opowiadać, opisywać dokładnie, co, kiedy i jak.. To od niego nauczyłem się tak mędrkować na temat mojej choroby. Bo on orzekł, że to taka choroba. Nawet nie jedna, tylko »zespół schorzeń«. Ale oczywi-

ście o tej zabitej kobiecie mu nie powiedziałem. Niby lekarza obowiązuje tajemnica, ale ja tam nikomu nie wierzę. Może dlatego, że zataiłem się, że wszystkiego mu nie powiedziałem, niewiele mi pomogła jego metoda. Nazywał ją psychoanalizą. Zniechęciłem się. Poszedłem do innego doktora. Starszy gość, niegłupi, nie wścibski. Dał mi pigułki, witaminy, zastrzyki kazał brać. Nie mia-

łem cierpliwości. Po jakimś czasie rzuciłem to wszystko do diabła.

A kiedy potem jeszcze raz zgłosiłem się na wizytę, dowiedziałem się, że starszy pan umarł. Widać, nie było sądzone, żebym się leczył. Powiedziałem sobie: basta. Żadnych więcej współników do mojego sekretu. Szanowna małżonka wniosła skargę rozwodową.

Przy okazji ten i ów dowiedział się o moim felerze. Zaczęły się uśmieszki, drwinki, półsłówka. Po sprawie wyjechałem z miasta; nie zostawiłem nikomu adresu.

Przyjechałem do Świernika. Dlaczego właśnie do Świernika, jak gdyby innych ładniejszych miast w Polsce nie było? Coś mnie ciągnęło w te strony. Tym czymś – a raczej kimś – była moja babka. To jedyny człowiek na świecie, który mnie kocha. I ja też, 236

jeżeli chcę coś przyjemnego, dobrego, pocieszającego pomyśleć, myślę: »moja babka«. Jestem jej jedynym wnukiem, bo moja matka była jej jedynym dzieckiem. Babka mówi zawsze, że wdałem się cały w matkę, taki jestem do niej podobny z urody. Łądując w Świerniku, lokowałem się w pobliżu babki, bo wieś, w której mieszka, ciągnie się tuż za zalipiańskim lasem. W tej samej wsi miała siostrę Jula Kordaszewska, ta, co właśnie wracała przez las o świcie, kiedy mnie opętało, żeby za nią pójść... Nawet Jula nie zdziwiła się, kiedy mnie w lesie zobaczyła. Wiedziała, że bywam w tej wsi. Pomagam babci, jak mogę, bo dziadek już nie żyje i ona jest sama. Sama na świecie, tak jak ja. Dlatego nie trzeba nam wielu słów, żeby się porozumieć. Ona mnie rozumie i ja ją. Kiedy tylko coś złego mi się przytrafi, idę do niej. Jak ranne zwierzę leśne do nory: łapę lizać w ukryciu. Tym bardziej że w tej wsi czułem się bezpieczny. Wioseczka mała, kilkanaście gospodarstw, biedna. Co było młode, uciekło w Polskę. Sami starzy zostali, skłopotani, schorowani, jak moja babka, ani im w głowie dokąd-kolwiek się ruszyć, nawet do Świernika, czy w cudze sprawy się wtrącać. Patrzyli na mnie czasem, jak szedłem przez wieś do babki, nie widząc mnie. Obojętni. Nie do nich szedłem, to

co im do mnie. Tylko Julia Kordaszewska wiedziała o tym moim azylu, ale to nie miało znaczenia przed jej sprawą ze mną.

Kiedy pierwszy raz zabiłem, przy najbliższej okazji, będąc u babki, nie wytrzymałem. Powiedziałem jej o tym. Płakała nade mną. Spytałem, dlaczego nade mną płacze, a nie nad tą nieszczę-

śnicą, którą pozbawiłem życia. Odpowiedziała mi, że nad złym życiem moim płacze, a tamtej żadne i niczyje łzy już w niczym nie 237

pomogą, więc po co je przelewać. Ale ja żyję, i skoro już raz taki grzech wzięłem na moje sumienie, może być ze mną jeszcze gorzej. Bo diabeł, mówiła babka, nie rezygnuje, jeżeli już raz mu się z kimś udało; zabrał mi duszę i na pewno będzie kusić mnie znowu i znowu. Taka już diabelska natura: nigdy nie ma dość. Musi wciąż się sycić grzechem, bo gromadząc grzechy ludzkie chce swoją władzą Panu Bogu dorównać: ilu Tamten ma świętych, tylu ten chce mieć potępionych.

Słuchałem babcinego gadania i robiło mi się lżej na duszy.

Wierzyłem jeszcze wtedy w to i owo, więc pomyślałem: a może to rzeczywiście diabelska sztuczka i diabelska pycha, i diabelska pokusa to, co mnie spotkało? Człowiek lubi zepchnąć na kogoś swoje winy, choćby na diabła. Wygodne i nic nie kosztuje.

Zerwałem całkowicie z dawnym zawodem, z nauką, ze środo-wiskiem. Wyuczyłem się fryzjerstwa i osiadłem w Świerniku na stałe. Powiadam już teraz: »w naszym mieście«. Miasto jak miasto, ludzie jak ludzie: Nikt o mnie nic nie wie, z nikim nie miewam zatargów, ze wszystkimi jestem dobrze.

Tyle tylko, że jestem piekielnie samotny wśród ludzi. Patrzę nieraz na nich i myślę: »Ach, gdybyście wy o mnie wiedzieli...«

Patrzę trochę z góry, no bo jestem inny niż wszyscy. Ta odmien-ność mnie samemu imponuje. Nie każdego byłoby stać na to, co robię. Chociaż... Chociaż z niejednego też dobry łajdak. Najgorzej nienawidzę małych łajdaczków, pogardzam nimi. Bo jak już ma się robić źle, niech to ma przynajmniej jakiś kaliber...

Jakiegokolwiek przyjaźni czy komitywy z kimkolwiek unikam, 238

gdyż boję się. Przede wszystkim siebie. A nuż w jakiejś chwili nie wytrzymam tego napięcia, ciężaru, który mnie gniecie, i poczuję potrzebę zwierzenia się przyjacielowi z moich zbrodni? Tak jak mi się już raz zdarzyło: z babką... Może też zagrać we mnie chęć pochwalenia się. Taka potrzeba spowiedzi czy przechwałki może się przecież okazać nie do przewyciężenia. Dlatego gadam bardzo często sam z sobą. Żeby sobie ulżyć. O wszystkim dyskutuję –

ale przede wszystkim o sobie samym. Kłócę się z sobą o siebie, oskarżam się, usprawiedliwiam, przechwalam się, chełpię – żeby tylko nie litować się nad nieszczęściem, które jest we mnie i które sieję po ludziach.

Mówią, że w moim zawodzie mam zdolności, że ze mnie arty-sta, że potrafię dogodzić kobietom. »Czeszę panie – jak to się mówi – artystycznie«. Lubię to. Głaszczę i pieszczę ich głowy, bawię się

ich włosami. Nęci mnie gładkość, połysk, miękka pu-szystość kobiecych włosów. Niczego w życiu nie pragnę bardziej niż kobiecej pieśczości i czułości, których właściwie nigdy nie zaznałem.

Miałem nadzieję, że zmiana otoczenia, zawodu, trybu życia zbuduje nieprzebyty mur pomiędzy mną i tym, co było. Ale nie okazało się to prawdą. Bo znów nadszedł któregoś dnia taki moment, jak wtedy, w tamtym mieście, na widok nieznaomej kobiety w tramwaju. Tym razem sprowokowała mnie drobna, nieważna scenka uliczna.

Miałem wolne popołudnie. Łaziłem po mieście, załatwiałem różne sprawy i sprawunki. Zatrzymałem się przy sklepie mięsnym.

Akurat przyjechała ciężarówka z towarem. Konwojenci wnosili do wnętrza sklepu świńskie półtusze. Dostawę odbierała wysoka, postawna kierowniczką sklepu i energicznie pokrzykiwała na 239

personel. Z figury podobna była do Stanisławy, mojej macochy. I przypomniało mi się, jak Stanisława kazała mi kiedyś zakłuć pro-siaka, bo szły święta. A ja tego prosiaczka bardzo lubiłem, był

zmyślny i wesoły, biegał za mną jak pies... W oczy mi patrzył.

Mógłby inny zamiast niego iść pod nóż, ale Stanisława uparła się.

Chciała zrobić mi na złość.

Gdy tak to sobie przypominałem, ktoś we mnie, w środku, jakby na alarm zadzwonił. Albo krzyknął: „Ratunku!..” zacząłem biec. Uciekałem. Przed czym – nie wiem. Gnało mnie coś. Przez całe miasto. I nie wiedziałem, czy to ja biegnę, czy ktoś inny, a ja tylko na to patrzę z boku i dziwię się takiej ucieczce. Znalazłem się wreszcie w okolicy odludnej, koło Zalipia. Myślę, że instynk-townie biegłem wtedy w stronę wsi, gdzie mieszka babcia. Tam chciałem szukać schronienia i ratunku przed tym, co moja dobra staruszka nazywa »diabłem«. Ale nie zdawałem sobie jasno sprawy z tego, czego chcę. I do mojego azylu nie dobiegłem.

Było już ciemno i na miasto schodziła mgła. W tej mgle, na drodze, zobaczyłem samotnie idącą kobietę. Była taka zamyślona, że nie słyszała, jak idę za nią. Wtedy zrozumiałem, czego mi potrzeba i co muszę zrobić. A właściwie nie ja – ten drugi, ciemny bliźniak mojej wcale nie okrutnej duszy. Nie wiem jak, nie wiem, skąd nagle się wziął – i znalazł się na moim miejscu. Nie wiem też, w jakiej formie mam się o nim wyrażać: »ja« czy »on«. W

każdym razie zaprzeć się go nie mogę i chyba powinienem mówić o nim też »ja«, bo on przecież nie ma innego imienia, tylko moje.

Niech więc będzie, że ja, JA, tam, na tej drodze wiedziałem: muszę tę kobietę mieć. Obojętne, jaka ona jest: stara czy młoda, 240

ładna czy brzydka. Mieć ją muszę na własność, w całości, ją –

razem z jej życiem, bo jeżeli nie mogę mieć ciała kobiety, muszę mieć jej życie. A z kolei: mieć coś

na własność, znaczy, iż mogę robić z tym, co zechcę. Mogę zachować dla siebie albo zniszczyć.

Na co mi posiadanie życia tej kobiety na stałe czy też na jakiś czas? Cóż bym z nim począł, z tym życiem? Zniszczę je.

To był przypadek, że miałem przy sobie w kieszeni kawałek kabla. Potrzebny mi był w domu do jakiejś reperacji. Odciąłem go z zapasowego zwoju w zakładzie. W rękę trzymałem zawiniętą w gazetę niklowaną rurkę z uchwytem, część ramy od zakładowego lustra. Ten uchwyt odłamał się któregoś dnia, więc oddałem rurkę do rzemieślnika, żeby zlutował obie części. Będąc na mieście, odebrałem ten kawałek ramy z reperacji, ale nie chciało mi się już wstępować do zakładu.

Pomyślałem, że wystarczy, jeżeli zmontuję lustro następnego dnia rano. Może, gdybym nie miał przy sobie tego kabla i tej rurki, do niczego na szosie by nie doszło. Ale te przedmioty były na podorędziu, jak gdyby mi je ktoś naumyślnie w rękę wcisnął...

Nie poznałem, że to Brydowa. Niewiele za to brakowało, abym ja został rozpoznany. Dosłyszałem warkot motoru. To była Anna.

W ostatniej chwili udało mi się ukryć w zaroślach obok drogi.

Pomogła mi mgła. Gdy Anna odjechała w stronę Zalipia, uciekłem... Wsiadłem do tramwaju, gdy przy świetle latarni przekona-

łem się, że nie mam zakrwawionych rąk. Rurkę wsunąłem w rę-

kaw marynarki – gdybym ją zostawił na miejscu albo wyrzucił

gdzieś po drodze, milicja szybko trafiłaby na mój ślad. Od tego czasu nie mogłem już pozbyć się tej rurki. Stała się moim nieod-

łącznym towarzyszem drogi. A po pewnym czasie – po prostu 241

moim znakiem rozpoznawczym. Pieczęcią poświadczającą, że to ja, jeszcze raz ja, ciągle ja. Nieuchwytny. W zakładzie powiedzia-

łem, że rurka pękła podczas reperacji, więc trudno: pozostanie lustro bez bocznej osłony.

Nie pamiętam, dzień minął czy dwa od tego wieczoru... Stana-

łem w drzwiach naszego zakładu fryzjerskiego trochę spóźniony, pracować miałem na drugiej zmianie. Spojrzałem na salę. Była pełna kobiet. Siedziały rządkiem. Klientki. Jedne, czekając na mycie głów. Inne pod aparatami. Jeszcze inne na fotelikach przed lustrami. W tych lustrach odbijały się ich twarze, ich oczy. Patrzy-

ły nam nie albo zdawało mi się tylko, że we mnie się wpatrują.

I już nie widziałem, że to klientki, tylko poznawałem w nich tamte: Stanisławę, Łucję, moje trzy przyrodnie siostry. Tak samo jak tamte kiedyś – patrzyły teraz kobiety, siedzące przede mną rzędem

koło luster. A jedna z nich, z klientek, czekających na mnie, miała czarne oczy.

Coś we mnie pękło. Znow chciałem uciekać. Ale nie dało rady.

Nie puściły mnie, chociaż mówiłem, że źle się czuję. Nie wiem, jak dotrwałem do końca pracy. Wykonywałem moje czynności odruchowo, poruszałem się jak automat. Pod koniec pracy poczu-

łem w sobie dreszcze. I to podniecenie – niepokojące, sprawiające mi drażniącą przyjemność na pograniczu bólu. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że to już zawsze tak ze mną będzie – ale w każdym razie upewniłem się, że to jest właśnie ten krytyczny moment, kiedy ja odchodzę, opuszczając moje ciało, i przychodzi na moje miejsce ten drugi, mój duchowy bliźniak, z którym nigdy się nie 242

rozumiem w dniu powszednim. Ten, na którego przychodzenie muszę się godzić i z którym moja walka jest daremna, z góry przegrana, gdyż on jest ode mnie silniejszy. Ale ulegam mu z rozkoszą.

Wybiegłem z zakładu jak wariat, pozostawiając rozliczenie na następny dzień. Prosiłem kolegów, żeby zamknęli zakład. Mówi-

łem, że spieszę się na randkę, a oni śmieli się ze mnie, bo wszyscy uważają mnie za dziwaka i bardzo skromnego człowieka. Rozpierała mnie niecierpliwość. Porywczo i brutalnie roztrącałem przechodniów. Podążałem za Mariolą, bo tak miała na imię dziewczyna z czarnymi oczami. Chyłkiem, żeby się nie spostrzegła, wskoczyłem do drugiego wozu tramwaju, którym jechała do domu w towarzystwie siostry Anny. Szedłem tropem obu kobiet aż do bloków, w których mieszkają. Po drodze zatrzymały się i rozmawiały. Przeczekałem w ukryciu, aż skończą trajkotać, a trajkotały chyba z godzinę. Kiedy rozstały się i ta mała najpierw ruszyła w stronę swojego bloku, a potem zrezygnowała z pójścia do domu i zawróciła w kierunku osiedlowej kawiarni – zabiegłem jej drogę.

»Dobry wieczór – powiedziałem do niej. – To miło, że znow się spotykamy. Nie wiedziałem, że pani tu mieszka. « Odrzekła mi, że idzie właśnie na randkę z narzeczoną. Ofiarowałem się, że odprowadzę ją, bo ciemno, włóczą się pijacy i chuligani. Nie chciałem robić z nią nic w pobliżu domu. Wyczekałem, aż znajdziemy się w bardziej pustym i ciemnym miejscu. Broniła się, ale szybko z nią skończyłem.

I znow doznałem tej nieziemskiej rozkoszy, która sprawia, że człowiek widzi się panem całego świata, władcą nad władcami, 243

bo czuje się zdolny do dawania życia innej, nowej istocie. Aż w oczach ciemnieje od zachwyty, że się żyje i że ma się zdolność przedłużania swojego życia w potomstwie. Dla mnie nie miało znaczenia, że mój akt płciowy odbywa się jakby symbolicznie, bo nie łączę mojego ciała z ciałem kobiety i w rzeczywistości żadna nowa istota, będąca przedłużeniem mojego istnienia, z tego się nie narodzi. Najważniejsze ze wszystkiego było to, iż męskość moja zdolna jest do przejawienia się.

Zabijając czarnooką dziewczynę, która mi nic nie zawiniła i do której o nic nie mogłem mieć pretensji – zabijałem znow Stanisławę i te jej dziewczuchy, czarnookie i chciwe jak ona. Zabijałem symbol mojej niemocy i wspomnienie strachu. Przekreślałem wstyd i hańbę ostatnich lat, czułem w sobie siłę i moc. Mógłbym stwarzać świat, jak Bóg. Stwarzałem ten świat, nowy świat, dla siebie

przynajmniej. Stwarzałem sobie nowego wbrew naturze, która mnie skrzywdziła. Im bardziej wila się pod moimi nogami i wiotczała ta konająca dziewczyna, tym bardziej odczuwałem moją władzę nad nią. Nad nią, a więc nad Stanisławą. Nad Łucją. Nad siostrami. Nad kobietą w ogóle. Odbierając im życie, czułem się zdolny do dawania życia.

I wtedy zrozumiałem. Ja nigdy nie będę miał zwykłego, normalnego stosunku z kobietą. O takim normalnym stosunku z kobietą zachowałem tylko mętne wspomnienie z lat szczenięcych, kiedy ścisnąłem się po krzakach z jedną koleżanką. To nie było nic wielkiego ani wstrząsającego. Żadnego porównania z tym, co czułem teraz. Więc ja już zawsze tylko przez śmierć kobiet będę doznawał miłosnego szczęścia. Przez ich mękę, która zmywa ze mnie ślady mojej męki, zadanej mi przez Stanisławę. Przydała się 244

szkoła Stanisławy, gdy kazała mi zarzynać świniaki i bić kury.

Przydał się i mój własny przykład. Robić kobietom muszę to sa-mo, co mnie robiła Stanisława. I zabijać je tak, jak ona chciała mnie zabić. Ciosem w głowę, od tyłu. Tędy prowadzi droga do mojego wyzwolenia – myślałem.

Anna miała rację, gdy mówiła do mnie tego wieczora, kiedy chciałem ją zabić: to, co robiłem, jest zbrodnią nad zbrodniami.

Jakby sumą wszystkich zbrodni, jakie tylko zdolny jest popełnić człowiek. Nie wolno mordowaniem i zadawaniem tortur bezcze-

ścić miłosnego instynktu, który jest siłą rozrodczą wszystkiego, co żyje. Jakaś klientka w zakładzie, w tych dniach, kiedy całe miasto mówiło o wampirze, powiedziała, że w dawnych wiekach gwałt na kobiecie, nawet jeżeli napastnik jej nie zabił, karany był śmiercią jako jedno z najcięższych przestępstw.

Skoro jednak tak jest – po co, dlaczego dane mi zostało pożą-

danie, które czyni mnie słabym, dopóki nie zaspokoję go w sposób budzący zgrozę? Tylko wtedy odzyskuję siły i sprawność umysłu, gdy ulegam mojemu popędowi. Wprawdzie tylko na jakiś czas, do następnego razu – ale odzyskuję.

Kobiety... Jak bardzo je kocham i jak bardzo ich nienawidzę.

Za bardzo kocham w nich to, co kobiece. Zastanawiam się czasami, czy nienawiść nie jest czasem spotęgowaną miłością? Skłonni bywamy nienawidzić to, co nas przerasta. Moja miłość do kobiet mnie przerasta, zamęczyłbym się nią na śmierć. Więc nienawidzę mojej miłości i jednocześnie coraz bardziej kocham tę nienawiść.

Czy nie dlatego niszczę źródło tego dwoistego uczucia: kobiecość?

245

Sam nie wiem. Gubię się w sobie jak w labiryncie.

W każdym bądź razie teraz już ściga mnie wieczny głód. Coraz częściej czuję, jak zbliża się do mnie tamten, ten drugi. Moje drugie JA. Muszę mu czasami odmawiać gościny, kiedy zbyt wy-raźnie zdaję sobie sprawę, że okoliczności nie są dla mnie sprzyja-jące. Ale on przyczaja się i czeka. Napiera na mnie. Jest nieubłagany i natrętny. Prosi i grozi. Czasem aż skomli, jak pies za drzwiami, żeby go wpuścić do ciepłej chaty. Drocę się z nim. A potem mu mówię: »No to hulaj, bracie«. Jeżeli zbyt długo się nie zjawia, tęsknię za nim. Mam potworne bóle głowy. Jestem rozbity, ponoszą mnie nerwy.

Im częściej jednak hulam, tym jaśniej za każdym razem zdaję sobie sprawę, że głód i pożądanie we mnie rosną i że coraz trud-niej mi je zaspokoić, chociaż staję się coraz okrutniejszy. I że wszystko to, co osiągam, wciąż nie jest tym, czego pragnę najgoręcej. Że gonię cel niedościgniony, coraz bardziej dla mnie nie-osiągalny. Że moje zaspokojenie jest sztuczne, takie na niby. Że żaden z tych mordów, nawet najbardziej brutalny, nie wyzwoli mnie z moich pęt, nie rozerwie zahamowania, nie nasyci mnie, nie przywróci mi równowagi i nie da prawdziwego uspokojenia. Nie robi mnie normalnym mężczyzną, nie uczyni normalnym, pełno-wartościowym człowiekiem.

Każdej z moich ofiar zabierałem jakiś drobiazg. Najpierw robi-

łem to bezmyślnie, bezcelowo. Potem stało się to odruchem, sta-

łym moim zwyczajem. I również sygnałem, powtarzającym się przy każdym kolejnym morderstwie, że nikt inny nie jest jego sprawcą, tylko ja, znowu ja. Znak rozpoznawczy. Pomyślałem kiedyś: a może po to, aby przerwać ten łańcuch moich zbrodni, 246

wystarczyłoby mi, żebym popatrzył na rzecz, która należała do jednej z moich kobiet? Patrząc, odtworzę sobie w pamięci to, co z właścicielką kolczyka czy lusterka robiłem – i to mi wystarczy, żeby poczuć jeszcze raz zaspokojenie. Nie będę musiał szukać następnej ofiary, żeby wprowadzić siebie w kolejny trans. Pomyli-

łem się jednak i tym razem. Gdy brałem do ręki te drobiazgi, od nowa napadała mnie żądza, jeszcze silniejsza, nie do odparcia.

Ruszałem po nową zdobycz. Zacząłem sobie cenić te drobiazgi.

Przyśpieszały okrutnie przyjemny cykl przepoczwarzania się.

Doszedłem wreszcie i do takiego momentu, kiedy przestałem odróżniać: »ja« i »on«. Coraz niklejszy staje się między nami przedział. »On« zniszczył moją dawną, odrębną od niego duszę.

Może ona w ogóle we mnie zamarła i teraz jest już we mnie tylko ten, który chce, lubi i umie zabijać kobiety. To, co z początku było tylko słabością, a potem jakimś zapamiętywaniem się, stało się przekleństwem. Nałogiem. Ten proces we mnie przypomina rozra-stanie się raka w organizmie. Normalne, zdrowe komórki zostają zniszczone bezpowrotnie, aby stworzyć miejsce dla żarłocznego nowotworu, dla jego zdeformowanych, wynaturzonych, zabój-czych macek. Nie umiem i nie chcę z nim walczyć. Co by mi pozostało ze smaku życia, gdybym wyrzekł się tego, co robię? A zarazem – duszę się. Ze zmęczenia tą daremną gonitwą, tym życiem na huśtawce mojego szaleństwa, kiedy raz spadam w dół, a raz unoszę się do góry. Duszę się z przerażenia. Ze strachu przed tym, co by

nastąpiło, gdyby mnie odkryto.

Czuję się ścigany jak zwierzę. Wmawiam w siebie, że jestem osaczony ze wszystkich stron, chociaż nie mam na to żadnych 247

dowodów. Każdego podejrzewam, że mnie rozpoznał. We wszystkich ludziach otaczających mnie widzę osoby, naślane przez ścigającą milicję, aby mnie śledziły. Oto przygląda mi się zbyt natarczywie inżynier Rot. Oto Ola, nowa uczennica, szpera nie wiadomo po co w szafach i szufladach. Czego szuka? Oto jedna z klientek pyta mnie, co nowego słychać w sprawie »wampira«... Na pewno chce mnie pociągnąć za język. Czy można tak żyć?

Chwilami jednak rozpiera mnie duma, że nic to milicji nie po-może. Zamaskowałem się idealnie. Pozostaję nieuchwytny. Mogę sobie pozwolić na przekomarzanie się z tymi, którzy mnie szukają.

Jestem wielki. Czuję się równy geniuszom wszystkich czasów. Aż w głowie mi się kręci, gdy pomyślę, czego to mógłbym dokonać, gdyby mi życie poszło inaczej. Gdybym był wielki w tworzeniu czegoś tak, jak jestem wielki w aktach niszczenia. A jednak oni wygrali i wszyscy twierdzą, że to było do przewidzenia... A ja rozmyślam: jakie popełniłem błędy techniczne i taktyczne, że mnie rozpracowali?

Miewałem okresy załamania. Miewałem wszystkiego dość, wiele razy pragnąłem po prostu, żeby mnie nareszcie złapali i żeby było już po wszystkim. A ile razy sam chciałem się przyznać...

Czesła się u mnie Irka Zdebniakowa, żona porucznika, który pracuje w ekipie, prowadzącej moją sprawę. Już otwierałem nieraz usta, żeby jej powiedzieć: »Idź, miła, do swojego męża, powiedz mu, żeby mnie już dłużej nie szukał. Będę tu na niego czekać...«

Ale w ostatniej chwili cofałem się. Nie wiem, z przekory, z pychy czy ze strachu. Albo z żalu za tamtym, że jak mnie zamkną, nie doznam już nigdy mojego wniebowzięcia?

Mam żal do babki. Oto jak ślepa miłość może zniszczyć obiekt 248

uwielbienia. Od kiedy zaczęły ginąć kobiety w Świerniku, babcia coraz jaśniej zdawała sobie sprawę, że to ja je zabijam. Mało mia-

ła na to dowodów czy poszlak? Przy wypadku Kordaszewskiej i tego chłopaka, którego zabiłem, bo mnie zaskoczył i rzucił się na ratunek morderowanej – moja babka nie mogła już mieć w ogóle wątpliwości. Przybiegłem do niej z ramieniem skłutym przez sprężynowy nóż przeciwnika. A ona do mnie powiada: »Wiem, że ty to robisz, ale nie ja cię sądzić będę, Bóg ciebie osądzi. Więc jak ja mogę cię wydać, mój wnuczku, mój skarbie jedyny, bo ty jeden mi zostałeś na świecie... Oni cię ukrzywdzą. Sąd boski bywa sprawiedliwszy i łagodniejszy od ludzkiego, już ja o tym wiem...«

Milicja przetrząsała wtedy całą wieś, ale mnie nie znaleźli. Tak się złożyło, że nikt z sąsiadów nie zauważył, kiedy wśliznąłem się do babki obejścia. Na pytanie, czy bywa tu kto ze świernikowian, ludzie odpowiedzieli, że nie. Bo też ja dla nich nie byłem nikim

»ze Świernika«, tylko tutejszym. Wnuczkiem starej Kaliniakowej.

Tak jak Jula Kordaszewska była nikim więcej, jak siostrą zezowa-tej Walerki. A ja miałem u babki skrytkę, której do dziś dnia nikt nie odkrył. W czasie wojny partyzant jeden radziecki, ranny, tam się chował, kiedy Niemcy do wsi wpadali. W studni w ocembro-waniu dziura była wybita i jama w bok poziomo wykopana. Coś w rodzaju jaskini albo komory. Zabezpieczona deskami. Wystarczy-

ło po łańcuchu spuścić się parę metrów w dół i deskę odsunąć. Z

góry nie widać. I żaden pies nie wywęszy. Cały dzień tam przesie-działem, kiedy milicja u babki rewizję robiła.

Pytają mnie wciąż lekarze, dlaczego wtedy, kiedy poradziłem 249

już sobie z tym smarkaczem Ryśkiem, co mi od pewnego czasu po piętach deptał, nie skończyłem sprawy z Julą Kordaszewską. Widziałem, że ona jeszcze żyje. To było ryzyko. A nuż ją odratują i ona mnie wyda. Ale nie mogłem. Po prostu nie potrafiłem. Walka na noże z Ryśkiem (ja miałem brzytwę) ocuciła mnie z zamroczenia, z transu. Bo to było co innego niż walka z kobietą. Walczyli-

śmy na śmierć i życie. I chodziło o moje życie. O moje ciało. Kiedy zwyciężyłem, byłem z powrotem zwyczajnym sobą, którego uratował instynkt życia. A gdy jestem rozładowany, nie umiem zabić. Ani kobiety, ani nikogo, ani niczego, co żyje. Nie dałoby mi to żadnej satysfakcji. Poza tym byłem ranny. Przestraszyłem się tej krwi, co ze mnie ciekła. Zapomniałem o Juli, o tym, czego od niej chciałem. Chciałem tylko jak najprędzej skryć się, żeby opatrzyć rany. To chyba ludzkie, nie?

Z tą babką z parku, którą udało mi się tylko ogłuszyć, sprawa była prostsza. Zwyczajnie, zjawili się jej kompani, a taki wypreparowany z poczucia rzeczywistości mój wynaturzony bliźniak nie jest, żeby wdawać się w bójkę z trzema osiłkami. Myślę, że zawsze dotychczas, jak i w tym przypadku, ratował go instynkt samo-zachowawczy. On, ten instynkt, szeptał mu na ucho, kiedy można atakować, a kiedy nie. I co robić, jak się kryć, żeby nie wpaść.

Miałem stracha, kiedy okazało się, że ta ze Szczecina żyje. Ale to było bardzo podniecające uczucie. Jak hazard. Opisze mnie czy nie potrafi? Widocznie nie dała rady. Rozlazło się po kościach.

Nie powiem, odetchnąłem z ulgą.

Coraz jednak dotkliwiej dręczyła mnie z biegiem czasu bezcelowość mojego działania. Znalazłem się w ślepym zaułku bez 250

wyjścia. Jak na karuzeli, której nie potrafiłem zatrzymać. Rozumiałem, że moje upojenie dlatego nie jest i nie będzie nigdy pełne, bo w moich aktach miłości brak jednego: właśnie miłości. Życie jest gruntem, na którym wyrasta miłość, niosąca radość i ukojenie.

Śmierć, zadawanie śmierci nie urodzi nie tylko nowego życia, ale i żadnej miłości.

Ale ja wciąż jeszcze, prawie do końca, do mojego schwymania miałem nadzieję. Wciąż jeszcze czekałem, jeszcze się spodziewa-

łem, jeszcze czaiłem się jak rabuś zza węgła: może stanie się kiedyś coś takiego, jakiś cud się spełni, jakiś moment nadleci – i zła-pię to, na co czyhałem, nie wiedząc, czym ono jest. Przeczuwałem tylko, że to »coś«, czego mi w życiu brakowało, abym mógł do-pełnić tym elementem moje istnienie do prawdziwego ludzkiego formatu – jest miłe, jest ciepłe i łagodne, jest miękkie, jak na przykład małe puszyste zwierzątko, które mogłoby ogrzać moje wystygłe wnętrze. Liczyłem na to, że jakaś kobieta zachwyci mnie i tak porwie swoim urokiem, siłą uczucia, dobrocią, bo ja wiem zresztą, czym – że przestanę tak bardzo nienawidzić kobiet i tak okrutnie ich pożądać. Że jedną z nich po prostu – pokocham.

Opowiada się przecież w bajkach, jak dobre i piękne dziewczyny z litości kochają potwora. Ich miłość zdejmuje z bestii zły czar i wtedy potwór staje się na powrót pięknym i szlachetnym młodzieńcem.

W pewnej chwili odkryłem, że kobieta, o której marzyłem –

istnieje. Chciałem, żeby była przy mnie, ze mną. Było mi obojętne, czy zostanie moją żoną, czy kochanką, czy tylko serdeczną przyjaciółką i opiekunką. Nawet bardziej potrzebowałem jej zrozumienia, współczucia, tkliwości niż miłości. Ale nie spełniła 251

moich nadziei. Teraz już za późno na jakiegokolwiek marzenia. Za późno na wszystko.

Zazdroszczę zwykłym ludziom, że nie mogłem być szczęśliwy, jak oni. Czy naprawdę nie mogli niczego dla mnie zrobić? Powinien być jakiś sposób na takich innych, jak ja, żeby nie krzywdzili otoczenia. Eliminować ich fizycznie, to proste, ale czy jedyne wyjście? A ja jestem człowiekiem »na odwrót«. Mój świat jest negatywem normalnego świata. To, co dla zwykłych ludzi jest jasne, dla mnie jest ciemne – i odwrotnie. Może jestem »antyczłowiekiem«? Ktoś w śledztwie powiedział, że jestem kaboty-nem, a kiedy spytałem, co ma na myśli, odrzekł, że zgrywam się, że dorabiam literaturę do zwyczajnej okropnej zbrodni, że chcę wydać się ciekawszy, bardziej skomplikowany, a jestem po prostu łotr i morderca. Głupi prostak: co on może wiedzieć o takiej sprawie jak moja?

Wzywałem czasami Boga, chociaż do mnie przystęp ma chyba tylko szatan, jak powiedziała moja babka. Ale ja wiem co innego: żadna moc nie uwolni mnie skuteczniej ode mnie samego, gdy sam tego nie zdołałem zrobić – jak ludzka. Tylko ludzka. Nawet jeżeli będzie tylko wymierzeniem sprawiedliwości za śmierć, któ-

ra zadawałem. Więc niech się tak stanie. I to jak najszybciej. Jestem już śmiertelnie zmęczony. Mówią, że nie należy mi się prze-baczenie, że nie mam do niego prawa i że zasłużyłem na śmierć. A ja też wcale nie pragnę żadnego przebaczenia. Są takie dźwięki, których nie jest w stanie słyszeć normalne ucho ludzkie – tylko niektóre gatunki zwierząt, no i bardzo czułe aparaty, skonstruowa-ne przez ludzi, są zdolne je odbierać. Są też takie rodzaje przeżyć, takie rodzaje doznań, takie rodzaje życia, które niedostępne są 252

tak zwanym zwykłym śmiertelnikom. Niepojęte są dla nich i nie-osięgalne. Ja żyłem takim życiem nasyciłem się nim po uszy, jeden haust więcej i chyba zachłysnąłbym się. Wypiłem do dna to, co miałem do wypicia, i to było z niczym nieporównywalne, chociaż była to swego gatunku trucizna. Po ostatniej mojej historii z tą kobietą, której o mało nie zabiłem (choć z innych powodów niż tamte),

nie wiem, czy byłbym jeszcze zdolny do dalszych eskapad. Coś się we mnie czy wypaliło, czy załamało, nie mam poję-

cia. A skoro nie mógłbym już przeżywać życia jak dotychczas, cóż mi po nim? Nie chciałbym też, żeby mnie na przykład skazano na 25 lat więzienia albo osadzono do końca życia w jakimś «wariatkowie» jako osobnika niebezpiecznego dla otoczenia. Też miałbym związane ręce, już nigdy nie mógłbym nimi dotykać kobiecych włosów, skóry żywych czy nieżywych kobiet. Więc już wolę śmierć.

Głupi ludzie. Kiedy będą wykonywać na mnie wyrok, swój wyrok, odbiorą mi tylko to życie, które mógłbym jeszcze ciągnąć przez ileś tam lat. Ale nie odbiorą mi, bo nie potrafią, tego, co miałem. Mojego ultrażycia...

Inna rzecz, że, czekając z utęsknieniem na koniec koszmaru, w jakim tonie podczas śledztwa, badań, rozprawy, kiedy byle kto, każdy: sędzia, milicjant, dziesiątki lekarzy, konwojent, świadkowie, publiczka, kochany mecenasik broniący mnie z urzędu, dłu-bią we mnie jak we własnym nosie – boję się. Boję się śmierci.

Jaka ona będzie, jeżeli ma brać na mnie odwet za tamte wszystkie śmierci, które zadawałem? Może ten strach nazwie ktoś pokutą?

Jeżeli tak, to jest ona straszna i okrutna. Przeraza mnie samotność, w jakiej się obracam i która towarzyszyć mi będzie w ostatniej 253

sekundzie mojego czasu. Oczywiście, jak zawsze w takich wypadkach, będzie przy mnie cały korowód z urzędu. Ale to nie to, o czym myślę, czego pragnę. Żeby ktoś o mnie pomyślał. Oni będą o mnie myśleli, bo muszą, będą wykonywać swoje funkcje w stosunku do mnie. Ja jednak bym chciał, żeby ktoś pomyślał o mnie nie jako obiekcie wymiaru sprawiedliwości, wraku, który się po-syła na złom, gdyż tarasuje ludziom drogę – lecz o mnie jako o mnie. Jako o człowieku. Obojętne mi przy tym, czy ten ktoś bę-

dzie myślał o mnie dobrze czy źle, z gniewem czy litością.

Jest ktoś taki... Poślę jej te bazgroty. To ją zmusi do pomyślenia o mnie. Niczego mi więcej nie potrzeba.” No cóż... Nie pozostaje mi nic innego, jak spełnić prośbę nadawcy tego rękopisu. Nie powiem o nim ani słowa Andrzejowi.

Nie pokażę go Staškowi Zdebniakowi. Choćby obaj nie wiem jak kpili z mojego kobiecego sentymentalizmu, nie zawiodę zaufania, którym mnie obdarzono – aczkolwiek jest ono ciężarem nie lada.

Nie wolno nam bowiem wybierać: czyje zaufanie wolno nam zawieść, czyjego zaś nie wolno – w zależności od tego, z kim mamy do czynienia: ze świętym czy ze zbrodniarzem. Czy ze zwyczajnym człowiekiem. To niebezpieczna droga.

Przykładam zapałkę do stosu luźnych kartek. Żegnaj, nieuchwytny.

Nie umiem rozeznąć się w tym, co przeczytałam. Ile jest na tych kartkach chorobliwego majaczenia, ile usiłowania dotarcia do sedna swoich namiętności, ile próby usprawiedliwienia swoich zbrodni. Ale czy w tym wyznaniu nie góruje ponad wszystkim innym gorzka pycha – odwieczna animatorka wielorakiego zła, 254

towarzyszka drogi nie tylko wielkich tyranów, ale i drobnego gatunku człowieczego?

Autor spowiedzi snuje opowieść o krzywdzie, jaka go spotkała w młodości. Lecz iluż było i jest na świecie ludzi stokroć boleśniej doświadczonych przez los i na ogół nie zostają mordercami. Żadna krzywda, doznana od ludzi, nie uprawnia do szukania na nich samowolnie odwetu. Gdyby to praktykowano, ludzkość pograży-

łaby się w chaosie i samozniszczeniu.

Nie umiem, nie potrafię, Feliksie, ani ulitować się nad tobą, ani ci wybaczyć, ani przyjąć nawet do wiadomości twojej pokuty, jak nazywasz swój strach przed śmiercią. Trudno, każdy z nas odpowiedzialny jest za swoje czyny, ponosi konsekwencje wyboru takiej, a nie innej drogi życiowej.

Spółeczeństwo zaś ma prawo w obronie życia i jego najcenniejszych wartości eliminować degeneratów, zwyrodnialców nie-poprawnych, nie rokujących nadziei na odmianę. Może kiedyś medycyna osiągnie stopień sprawności, pozwalający na wczesne rozpoznawanie groźnych odchyłeń patologicznych i charakterologicznych, na zapobieganie ich rozwojowi, unieszkodliwianie nosicieli psychicznych odchyłeń, zanim pograżą się w swych zbrodni-czych, złowrogich poczynaniach. Słowem: leczyć będzie umiała ducha i prostować ścieżki ludzkich losów zawczasu, zanim staną się zdradliwym labiryntem, z którego nie ma wyjścia. Dziś jeszcze nie potrafimy tego robić. W każdym więc wypadku zbrodni jeste-

śmy sam na sam: my, społeczeństwo, i on, zbrodniarz, morderca.

Jest to za każdym razem pojedynek, który społeczeństwo musi wygrać i prawie zawsze wygrywa, jakimkolwiek geniuszem byłby 255

przestępca, łamiący ustanowione przez zbiorowość prawo współ-

życia między ludźmi. Jest to po prostu konieczna samoobrona przed złem, które zagraża życiu i temu, co ludzkość wypracowała przez wieki: człowieczeństwu w najszerszym znaczeniu tego słowa.

Brwinów, kwiecień 1971 r.